

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 8 (347) • ROK XXX • SIERPIEŃ 2024



SIERPNI
JASNYCH LAT



Żegnamy



Dr Urszulę Annę Wende

9 stycznia 1930 – 26 czerwca 2024

lekarzkę niosącą ratunek górnikom kopalni „Wujek”
podczas pacyfikacji strajku przez ZOMO
16 grudnia 1981 r.



Józefa Buszmana

22 września 1946 – 21 czerwca 2024

samorządowca oddanego sprawom śląskim,
przewodniczącego Sejmiku Samorządowego
Województwa Katowickiego (1990–1994),
wiceprezydenta Katowic (1998–2002),
współzałożyciela (1989) i prezesa (1998–2002)
Związku Górnośląskiego,
przyjaciela naszego pisma.

Byli z nami, pozostaną z nami.

Nr 8 (347). Rok XXX. SIERPIEŃ 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaJAROSŁAW STYPA
KulturaKRYSTIAN WĘGRZYNEK
RegionTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biuraStali współpracownicy:
EWA BARTOS
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKAFelietoniści:
TOMASZ BOCHEŃSKI
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane tekstyWarunki prenumeraty:
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Piotr Skowronek* KOBIETY W WIECZNYM ŁODZIE. O POLARNICZKACH I MUZEUM
BADAN POLARNYCH. ROZMOWA Z DAGMARĄ BOŻEK
8 *Krystian Węgrzynek* ROZBAWIANIE LUDZI TO NIEŁATWA SZTUKA. ROZMOWA
Z MARIANEM MAKULĄ, SATYRYKIEM I ZAŁOŻYCIELEM TEATRU GÓRNOŚLĄSKIEGO
10 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* MAZUR TO OSTATNI... O KRYSYŃNIE WAŃKOWICZÓWNI
„ANNIE”
16 *Katarzyna Szkaradnik* O KAZANIACH CIESZYŃSKIEGO BARTELMUSA
Z DWUJĘZYCZNOŚCIĄ, MEMENTO MORI I PATENTEM TOLERANCYJNYM W TLE
20 CZYTELNI JEDNEGO WIERSZA *Mirosława Szott* W LABIRYNCIE DĄBROWSKIEGO.
ROZMOWA Z JÓZEFEM BARANEM
22 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA *Radosław Kobierski* TKANKI ŁĄCZNE MAŁGORZATA
WANDASIEWICZ I SYLWIA JAWORSKA
26 IN MEMORIAM WITOLD IZDEBSKI 27 PAŹDZIERNIKA 1962 – 14 MAJA 2024
28 *Ryszard Twardoń* EKSPRESJA (2)
30 XXX FESTIWAL SZTUK PERFORMATYWNYCH A PART *Radosław Kobierski* SCENA
WEWNĘTRZNA I SCENA PERFORMANSU TO JEDNO
45 *Zbigniew Lubowski* PODWÓJNE URODZINY BLUESOWE
46 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* TESSA Z „SOLIDARNOŚCI”
49 TEATR *Wojciech Lipowski* ZASTYGNĄĆ W BEZRUCHU
52 *Weronika Górka* TAJEMNICA ZAGINIONYCH SKARPETEK ODKRYTA!
56 CHIŃSKIE LEKTURY *Dariusz Tomasz Lebiada* ŚMIERĆ WIOSKI DING
58 CHIŃSKIE LEKTURY *Dariusz Tomasz Lebiada* CHIŃSKA ŻABA
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PONOWNE LEKTURY PANA TADEUSZA
POLISEMIA I POLIPTOTONY W EPOPEI
66 *Stefan Gierlotka* SMOLARNIA W KOBIÓRZE
78 *Andrzej Jarczewski* APOLOGIA KOREKTOLOGII (X) HIPERDOKŁADNOŚĆ
NIEPOSKROMIONA
79 Z ŻYCIA ŚLĄSKICH MIAST *Małgorzata Lichecka* NOWA IKONA GLIWIC:
KOŚCIUSZKI 44–46

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 *Maria Blanka Grzybowska* JUŻ MI PRZESZŁO, PRZESZŁO MI MALARSTWO
JOANNY AMBROZ
69 GALERIA: JOANNA AMBROZ – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 *Bogdan Prejs* WIERSZ NA OTWARCIE
14 *Bogdan Prejs* WIERSZE
23 *Sylwia Jaworska* WIERSZE
24 *Małgorzata Wandasiewicz* WIERSZE
40 *Tomasz Działowicz* WSPOMNIENIA URWISA
54 *Konrad Kitliński* FALE 3 CZYLI DYSKURSYWNIK, TAK JAK CAŁA RESZTA
74 *Witold Izdebski* WIERSZE

FELIETONY

- 35 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* OPERY WSPÓŁCZESNE NA
POLSKICH SCENACH
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna *Jan Miodek* CERKWIE I IWANY NA ŚLĄSKU
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* DLA OPRAWCÓW EPIZOD, DLA
OFIAR ŚMIERĆ
38 MAŁE NARRACJE *Tomasz Bocheński* HYBRYDY (12)
39 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* NA BARKACH OLBRZYMÓW
44 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA *Tomasz Słupik* KRADZIEŻ PATRIOTYCZNA
67 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* NIEJAKI OLEK
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* CZŁOWIEK W CIENIU
76 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* „PRACA NUDNA, MOZOLNA I NADER PRZYKRA”
O DYKCYONARZYKU JEOGRAFICZNYM JÓZEFA LOMPY

KSIĄŻKI

- 62 *Agnieszka Nęcka-Czapska* Z(A)NIKAJĄCY ŚWIAT
64 *Dariusz Nowacki* TRZECH ERWINÓW, DWÓCH SZCZEPANÓW
65 *Weronika Górka* ZAJRZEĆ ZA MUR

Na okładce:

Joanna Ambroz ZE WSZYSTKIM SOBIE PORADZISZ olej na płótnie, 90×100 cm, 2024Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmiaryDofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Czwarta nad ranem

1 Ród Anhellich. – „Pług wojny potamał sierpień jasných lat”. Ten wers z *Rodu Anhellich* Zdzisława Stroińskiego stale towarzyszy mi w symbolicznym miesiącu polskim. Przypomina o pokoleniu, które szykowało się do wejścia w dorosłość (stąd „sierpień”, biorący swoją nazwę od „sierpa”, tak ważnego w czasie żniw). Młodzi dopiero zrobili maturę, wybierali się na studia. Stroiński miał na myśli rok 1939 (napisał swój wiersz w roku 1942), niemniej jego słowa szczególnie mocno wybrzmiały 1 sierpnia 1944 roku. Dzisiaj, kiedy ze smutkiem i nieuchronnie przychodzi nam żegnać ostatnich „z rodu Anhellich”, którzy – jak napisał poeta w innym wierszu – przemienili się „z Hiobów w Konrady / szaleni przez wielkość”, wspominamy także tych z sierpnia 1980 roku, sprzeciwiających się zniewoleniu i oczekujących, by „pługi wojen” (zwłaszcza wewnętrznych) nie orały więcej ludzkich życiorysów. Stroiński pisał w roku 1942: „rzucamy Polskę w twarz zimnego Boga – / obelgę”. W roku 1980 rzuciliśmy Polskę w twarz zimnego, totalitarnego systemu. – Nie ma przegranych pokoleń, hart wcześniejszych przechodzi na kolejne.

2 Codziennosc. – Zawsze to samo pytanie: na ile w czasie wielkiego wyzwania patriotycznego byliśmy heroiczni, a na ile zwykli? Z jakiej perspektywy należy patrzeć na nasze życie: herosów czy cywili? Zwykle zwycięża ta pierwsza perspektywa. Jesteśmy bohaterami, niezłomni i okrutnie doświadczeni. Ale pospolitość okrutnie skrzeczy, Białoszewski w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* pokazał, że perspektywa cywila jest inna niż ta, jaką później przekazują ocalańcy. A Hanna Krall z jej *Zdążyć przed Panem Bogiem?* – Jesteśmy narodem okrutnie kochającym się we własnej słabości. Ten bił, tamten bił. A świat toczył się przez wiele dni, strach rósł przez wiele dni i trzeba było żyć. – Jak opisać codzienność w strachu, kiedy jedni strzelali, a inni ukrywali się, by nie zostać zabitym. – Historia jest okrut-

na opowieścią. Tylko ci, którzy znają świadectwa pokonanych i zwyciężonych wiedzą, że nie ma jednej prawdy, której można by zaufać.

3 Wina pokolenia. – Jeżeli obdarczamy winą jakieś pokolenie, to także z pamięcią o tym, że ta generacja coś zatajać i przemilczać, nie jest monolitem, ale wspólnotą antagonistyczną. Karl Mannheim w *Problemie pokoleń* [1928] dokonał świetnego rozróżnienia na „umocowanie pokoleniowe” i „powiązania pokoleniowe”. Pisał (przeł. Jerzy Kałużny): „Umocowanie zawiera tylko potencjalne możliwości, które mogą się urzeczywistnić, zostać stłumione albo połączyć się z innymi siłami społecznymi i występować w zmodyfikowanej postaci”. „Powiązania pokoleniowe są [...] czymś więcej niż zwykła obecność w określonej wspólnocie historyczno-społecznej”. Mannheim miał na myśli „udział we wspólnym losie”. I zaznaczał, że w obrębie powiązań pokoleniowych ludzie (zazwyczaj młodzi) „należeli do różnych wspólnot pokoleniowych, w zależności od tego, czy reprezentowali postawę konserwatywną czy liberalną”. – Warto się nad tym zastanowić również dzisiaj, w kontekście Sierpnia, kiedy młodzi oskarżają starzych, a starzy młodych, a nikt nie myśli, że w obrębie wspólnoty różnica nie przebiega na linii starzy i młodzi, ale na linii tego samego pokolenia (Karl Mannheim, *Problem pokolenia*, w: *Pokolenia albo porządkowanie historii*, oprac. Hubert Orłowski, przeł. Izabela Drozdowska-Broering, Jerzy Kałużny, Rafał Żytyńiec, Poznań 2015, s. 110, 114).

4 Do piachu. – Pierwszy raz wystawiono sztukę Tadeusza Różewicza w roku 1979. Tadeusz Łomnicki, dyrektor teatru na Woli, zresztą także członek KC PZPR, długo tłumaczył przybyłym na premierę widzom, o czym ta sztuka jest. Kombatanci zaatakowali Różewicza. Różewicz nie chciał awantury, poprosił, żeby sztukę zdjąć z afisza. – A dzisiaj prawda jest po stronie Różewicza. Ten nieudany związek AK i NSZ, inteligentnego oraz chłopsko-robotniczego wojska, tych, którzy swoje narodowe, antysemickie i radykalne poglądy chcieli przenieść na wspólną rzeczystwość, okazał się katastrofą. – Sztuka Tadeusza Różewicza jest wielkim przypomnieniem czasu, kiedy wszystko – jak dzisiaj – zakotłowało się. Wystawiono ją tylko cztery razy, teraz grana jest w Bielsku-Białej.

5 Lek tury. – Znów (generacyjnie) zaczynamy się kłócić o kanon lektur, który

w edukacji szkolnej znacznie obowiązywać od września 2024 roku (przy każdej zmianie w resorcie edukacji ta kłótnia się odnawia). Ostatnia wypowiedź ministry Barbary Nowackiej była niefortunna. Podobno powiedziała: „Lista lektur była gigantyczna i niestety nieczytana. Były pewne pomysły indoktrynacyjne, na przykład w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego Rymkiewicza. Eksperti bardzo rekomendowali usunięcie. Podpisałam dokument, gdzie pan Rymkiewicz czy pan Dukaj się nie pojawiają”. – Literaci, dziennikarze, poloniści zagotowali się w sobie. Michał Szułdrzyński z „Rzeczpospolitej” napisał: „Głupiej się nie da”. I miał rację, bo w tym skreślanu wcale nie chodzi o nazwiska, ale o etykietowanie: „niejaki Rymkiewicz”, „pan Rymkiewicz czy pan Dukaj”. Jeżeli będziemy z taką protekcyjnością podchodzić do pisarzy, nie zdziwimy się, że uczeń nam powie: „mom vos kajś”. Tak powie na Górnym Śląsku w języku nieuznawanym przez głowę państwa. W języku uznanym zabrzmi to o wiele dosadniej.

6 Przeczytane. – „W ósmej księdze *Państwa* Platona Sokrates stwierdza, że w naturze człowieka nie leży samorządność, a raczej poszukiwanie silnego przywódcy, za którym można by podążyć. Demokracja, zapewniając wolność słowa, otwiera demagogom furtkę do wykorzystania ludzkiej tęsknoty za silnym wodzem; silny wódz może zaś wykorzystać tę wolność, żerując na zbiorowym resentymentie i strachu. Gdy już zdobędzie władzę, kładzie kres demokracji, zastępując ją tyranią. Mówiąc w skrócie, ósma księga *Państwa* opisuje demokrację jako samopodważający się system, którego własne ideały popychają go ku zatracie” (Jason Stanley, *Jak działa faszyzm. My kontra oni*, przeł. Antoni Gustowski i Aleksandra Stelmach, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021, s. 60).

7 Odpywamy w wieczność. – W *Urwanym psalmie* Arnolda Śluckiego, w poincie tego wiersza, pojawia się konstatacja: „Patrz, / jak płynie miasteczko / we łzach po szyję, / patrz, / jak odpywa w wieczność: // do Ziemi Niczyjej – – –” (w: *Promienie czasu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959, s. 55). – To nie jest wiersz o umarłych miasteczkach żydowskich, to jest wiersz o świecie odchodzącym w niebyt. Sami przyczyniamy się do tego, zaślepieni w pysze, nieuznający racji innych. – Nie ma przegranych pokoleń, są przegrane idee.

Jeślibym wówczas, hasając przez życie, zahaczył stopą o szlaban, wyrznął między tory, jatki dokonałby towarowy sznur z czarnym złotem. Czterdzieści wagonów cięłoby ciało w poprzek tramwaju (za „Stolik na stacji lekko się kiwa” Probierezyk przysłał 400 zł). Trójka, jak sędzę, odjechałaby zgodnie z rozkładem, czyli osiem minut po czasie, bez najmniejszego wpływu na kolejne wahania obrotów trzeciej od Słońca zapierniczającej 1700 kilometrów/h.

– Widzisz, a ja dziś ani grama – odpisuje mi Wojtek. – Współczuję, zdarzają się takie dni, napawają trwogą, po nich nic nie pozostaje.

– Wiesz, trójka robi teraz na pętli odwrotne kółko – zmienia temat.



rys. Bogna Skwara

Żurek na kielasce.

Bogdan Prejs, ur. 1963, mieszka w Mikołowie. Autor kilku arkuszy poetyckich oraz tomów: *sms do ludożerców* (2009), *ce ha* (2012), *biernik* (2015), *objawy pierwotne* (2017), *Nic więcej* (2018), *wanna na balkonie* (2020) i *lękopisy dla kotanki* (2022); wydał również parę innych książek. Prezentowane w tym numerze wiersze pochodzą z przygotowywanej do druku publikacji *Gdy goniliśmy z Wojtkiem trójkę, nie wiedzieliśmy, że przeskakujemy cały świat*.

Kobiety w wiecznym lodzie

O polarniczkach i Muzeum Badań Polarnych
z DAGMARĄ BOŻEK rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Mam przed sobą książkę *Polarniczki. Zdobywczyńnie podbiegunowego świata*, niedawno dopełnił ją film „Polarniczki”. Kiedy powstał reportaż?

Projekt *Polarniczki* to rok 2019. Wtedy powstała strona polarniczki.pl, gdzie są wszystkie informacje dotyczące uczestnictwa kobiet w polskich wyprawach polarnych. Jest tam cała baza nazwisk, dat, wypraw i nazw stacji. Sama koncepcja pojawiła się trochę wcześniej, bo w 2017 roku, kiedy ukazała się moja książka biograficzna o Ryszardzie Czajkowskim. Wówczas wpadłam na pomysł, że kolejnym tematem będzie obecność kobiet w historii polskich wypraw polarnych.

Dlaczego podjęła się pani tego tematu?

Ponieważ według informacji, do których dotarłam, o tym temacie w ogóle się nie pisało. To, że kobiety były na wyprawach polarnych, było faktem. Natomiast panie nie pozostawiły po sobie – i właściwie do dzisiaj tak jest – ani wspomnień, ani dzienników, ani publikacji, z wyjątkiem tych stricte naukowych. Wszystkie publikacje popularnonaukowe, publicystyczne, do których dotarłam w ciągu kilku lat mojego głębokiego zainteresowania tematem historii polskich wypraw polarnych, nie zawierały wątków kobiecych. Zastanawiałam się dlaczego, skoro kobiety jeździły na wyprawy, ich nazwisk nie ma w literaturze, tak jak znanych polskich polarników: Stanisława Siedleckiego, Henryka Arctowskiego czy Krzysztofa Birkenmajera. Kiedy zorientowałam się, że udział kobiet w wyprawach to biała plama w historii polskiego polarnictwa, nie było innej możliwości, jak zająć się tym tematem.

Od czego pani zaczęła?

Najpierw musiałam poukładać sobie parę kwestii w głowie. Zrozumieć, co tak naprawdę oznacza bycie kobietą na wyprawie polarnej. Sama uczestniczyłam w dwóch takich wyprawach. Wtedy wydawało mi się – to był oczywiście konstrukt w mojej głowie, bo trafiłam na fantastycznych kolegów, z którymi utrzymuję w większości kontakt do dzisiaj – że muszę być twarda, pokazać się z jak najlepszej strony, dowieść swojej wartości. Zupełnie niesłusznie, bo okazało się, że wystarczy być dobrym w tym, co się robi i naprawdę reszta się sama układa.

Oczywiście mówimy tutaj o współczesnych wyprawach polarnych. Zmiana myślenia umożliwiła mi zrozumienie tego, co się działo wcześniej. Jak trudny był udział kobiet w wyprawach, kiedy nie miały takiego komfortu, jaki my, ich następczynie, mamy obecnie.

Kolejnym etapem było zbieranie materiałów, co zajęło mi mniej więcej 2 lata. Postanowiłam rozpocząć od najstarszych uczestniczek wypraw, bo stwierdziłam, że z polarniczkami, które są w podobnym wieku jak ja lub trochę starsze, jestem w ciągłym kontakcie. Wytypowałam kilka nazwisk już emerytowanych pań naukowców i od nich zaczęłam. Pierwszy mój kontakt był z prof. Marią Agatą Olech, wybitną lichenolog, polarniczką, która uczestniczyła w ponad 20 wyprawach. Od niej otrzymałam informacje, z kim powinienam się skontaktować. Drugą osobą była dr hab. Wiesława Ewa Krawczyk z Uniwersytetu Śląskiego, również emerytowana geochemik, która z kolei ma ogromną wiedzę, jeśli chodzi o polską historię wypraw polarnych. Tak się właściwie zaczęło – po nitce do kłębka. Potem pojawiały się kolejne rozmowy i wątki i tak dotarłam do czasów współczesnych. Myślę, że udało mi się zgromadzić bardzo ciekawy materiał.

Czy panowie chcieli wyłącznie sobie przypisać sukcesy naukowe, czy też historia badań polarnych do tej pory pisana była „męską ręką”?

Myślę, że ta druga opcja rzeczywiście jest możliwa. Wynika to z faktu, że czasami zapominamy o sobie. Nie mam tu na myśli nadmiernego chwalenia się, ale umiejętności pokazywania wyników swojej pracy. Tego nikt za nas nie zrobi. Jako pracownik Instytutu Geofizyki PAN zajmuję się komunikacją naukową i widzę, że naukowcy, którzy są aktywni w mediach społecznościowych, umieją pokazać, jakie projekty zrealizowali, jakie mają publikacje, są w świadomości społecznej widoczni. Jeżeli tego sami nie zrobią, nikt za nich tej pracy nie wykona. Wydaje mi się, że wtedy było podobnie. Panie, z którymi rozmawiałam, w większości podkreślały, że wykonywały pracę naukową, miały na koncie specjalistyczne publikacje, więc właściwie po co więcej o tym mówić i pisać? W pewnym sensie ów brak potrze-



by tworzenia tekstów popularnonaukowych i publicystycznych spowodował, że ich widoczność była mniejsza i niejako z własnego wyboru nie zaistniały w opinii publicznej. To szeroki problem, któremu poświęciłam w książce sporo miejsca, bo nie da się go potraktować jednowątkowo. Na pewno wyprawom z udziałem kobiet towarzyszyła również pewnego rodzaju niechęć, bo zawsze tak jest, kiedy narusza się zastany porządek i ktoś próbuje coś zmienić, wprowadzić coś nowego... Z pewnością wynikało to ze stereotypowego podejścia. Natomiast jeżeli chodzi o chęć przypisania sobie osiągnięć, to jest już kwestia bardziej indywidualna i w mojej opinii nie tyle dotyczy płci, co konkretnych osób. Wówczas bardziej mężczyźni, bo po prostu więcej ich jeździło na wyprawy. Kobiety, które wtedy badały rejony polarne, miały siłą rzeczy niższą pozycję. Często były doktorantkami czy młodymi badaczkami zależnymi w hierarchii od swoich przełożonych, a ci byli niestety bardzo różni. Nie umiem ocenić tego zjawiska. Nie wiem, na ile ono było duże i kiedy pojawiał się szklany sufit, ale o takich przypadkach słyszałam. Niestety również obecnie niektórzy przełożeni potrafią młodszy pracownikom naukowym ten szklany sufit tworzyć i to zjawisko nie jest zależne od płci.

Utrudniać życie?

Tak, zgadza się.

Czytając książkę, czy oglądając film śledzimy nie tylko przebieg i rozwój badań polarnych, ale ścieranie się dwóch żywiołów: męskiego i kobiecego. Dlaczego w ekstremalnych warunkach pracy naukowej jest to tak istotne? Czy przyroda arktyczna i antarktyczna wyodrębia w nas pewne cechy?

Dawniej wyprawy były głównie konstruowane pod mężczyźni. Ekwipunek

czy brak kosmetyków do pielęgnacji twarzy, która w przypadku kobiet jest delikatniejsza, innego rodzaju leki – to wszystko było organizowane z uwzględnieniem męskich potrzeb. Kobiety, które pojawiały się na wyprawach musiały się nie lada nagimnastykować, aby w ich osobistym ekwipunku znalazły się rzeczy dostosowane do nich. Wówczas istotne było także postrzeganie ról społecznych niezwiązanych stricte z pracą w regionach polarnych. Rola kobiety była bardziej związana z domem i rodziną i nie współgrała z obrazem badaczki i polarniczki. Dziś funkcjonowanie w warunkach polarnych kobiet i mężczyzn wygląda zupełnie inaczej. Na pewno przyroda, klimat nie rozróżniają pomiędzy płciami. Prowadzone międzynarodowe badania dotyczące funkcjonowania organizmu ludzkiego w rejonach polarnych wykazują, że pod tym względem między płciami nie ma wyraźnej różnicy. Na przykład zimno kobiety i mężczyźni mogą znosić zarówno dobrze, jak i źle. Tutaj fizjologia jest do-
sć mocno wyrównana.

A kto lepiej znosi osamotnienie? W książce porusza pani wątek obecności na męskich wyprawach alkoholu. Dlaczego? Żeby sobie radzić z rzeczywistością i wygłuszyć tęsknotę za domem?

Tak, alkohol na polskich wyprawach polarnych był elementem wyposażenia. Myślę, że to się brało z wypraw radzieckich, na których wówczas się wzorowano. Polska jako państwo w obozie socjalistycznym miała kontakty z radzieckimi naukowcami. Inna kwestia jest taka, że na początku w organizację wypraw, zwłaszcza tych całorocznych, było zaangażowane wojsko od strony logistycznej i administracyjnej. I na podstawie tego, w jaki sposób realizowano zaopatrzenie dla wojskowych, analogicznie postępowano w przypadku polarników. W tamtych czasach rutynowo nie prowadzono

testów psychologicznych dla kandydatów, stwierdzających czy ktoś się na wyprawę polarną nadaje, czy nie. Teraz są organizowane obozy szkoleniowe dla uczestników wypraw całorocznych i często uczestniczą w nich psycholodzy specjalizujący się w psychologii środowisk zamkniętych, ekstremalnych. Ich wiedza i obserwacje są bardzo cenne podczas szkoleń przygotowujących do wyprawy. Takie obozy szkoleniowe trwają około 10 dni. Kiedyś zdarzało się, że podczas podobnych wyjazdów organizowanych przed wyprawą serwowano alkohol i obserwowano, kto się jak po alkoholu zachowuje, ile pije i jak na drugi dzień funkcjonuje. To były prostsze, nienaukowe metody.

Pamiętam, że jednak z badaczek wspominała, że panowie byli w stanie specjalnie pociąć sobie rękę, byle tylko opatrzyła ich kobieta.

Przykład, który pan wymienił, pochodzi z opowieści profesor Anny Kołakowskiej, pierwszej kobiety, która zimowała, czyli uczestniczyła w wyprawie całorocznej w latach 1983–1984. Z jednej strony to doświadczenie możemy zrozumieć sensualnie, fizycznie. Komuś mogło brakować relacji o podtekście erotycznym. Kiedy prowadziłam webinarium o polskich polarniczkach, uczestnicy bardzo żywo zareagowali na ten przykład. Sporo z nich rozumiało to jako brak bliskości odmiennej płci. Dodajmy, że profesor Kołakowska na wyprawie była z mężem. Normalnie w społeczeństwie mamy przedstawicieli różnych płci, natomiast na wyprawie środowisko pod tym względem było homogeniczne i sam fakt funkcjonowania w nim kobiety, która ma zupełnie inną emocjonalność, wrażliwość, inaczej się zachowuje, nasilał potrzebę kontaktu, także fizycznego w postaci dotknięcia, złapania za rękę, pogłaskania. W trakcie wyprawy był bardziej odczuwalny brak czułości, której każdy z nas potrzebuje.

To trochę przypomina sytuację więźnia w zakładzie karnym, który nie ma kontaktu z płcią przeciwną

Tak, można to porównać, aczkolwiek jest jedna zasadnicza różnica. Więźniowie osadzeni są za karę, natomiast polarnicy sami decydują o udziale w wyprawie. Myślę, że kiedyś ludzie nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, jak taka wyprawa wygląda. Teraz mamy już wiedzę psychologiczną, a kandydaci na polarników otrzymują pełne przeszkolenie. Oczywiście nie wszyscy wytrzymują i czasami są tacy, którzy chcą szybko wrócić do kraju, ale jednak wyposaża się ich w wiedzę, jak to jest spędzać z małą grupą osób tak długi okres. W przypadku wypraw organizowanych w latach 70. czy 80. uczestnicy wyprawy znajdowali się w większości po raz pierwszy w sytuacji „zamknięcia” i nikt ich do tego specjalnie nie przygotowywał, więc to musiało być trudne.

No właśnie, co jest najtrudniejsze w wyprawie polarnej? Czytając książkę odnosiłem wrażenie, że zimowanie podobne jest do podróży kosmicznej?

To są podobne doświadczenia. Wydaje mi się, że obecnie jest trochę łatwiej, bo mimo wszystko są ścieżki procedury ewakuacyjnej na wypadek, gdyby coś się komuś stało lub zaszła jakaś wyjątkowo trudna sytuacja, np. rodzinna, w kraju. Wówczas takie przypadki są indywidualnie rozpatrywane i osoba ma możliwość bycia ewakuowaną ze stacji. Jeżeli chodzi o podobieństwo wypraw do misji kosmicznych, to rzeczywiście jest tutaj widoczna pewna analogia. Mówi się, że regiony polarne i przestrzeń kosmiczna pod względem psychologicznym są środowiskami bardzo podobnymi. Badania psychologiczne prowadzone z udziałem polarników i kosmonautów pozwalają zauważyć mnóstwo zbieżności. Mówi się o depriwacji sensorycznej, o izolacji, a jeżeli dochodzi do tego noc polarna, w grę wchodzi reakcje fizjologiczne tak odmienne od tych, które uważamy za normę. Polarnik i kosmonauta mają więc wiele wspólnych doświadczeń i badania zachowań tych pierwszych pomagają przy przygotowywaniu przyszłych podróży kosmicznych.

Czy na stacji jest specjalistyczna opieka medyczna?

Aktualnie w wyprawach całorocznych do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego biorą udział lekarze bądź ratownicy medyczni. Stacja ma także bardzo dobrze wyposażone ambulatorium. Natomiast w wyprawach, na przykład do Polskiej Stacji Polarnej Hornsund im. Stanisława Siedleckiego czy stacji sezonowych na Spitsbergenie lekarze nie biorą udziału, ponieważ tam jest możliwość szybkiego udzielenia pomocy medycznej przez Norwegów.

foto. Piotr Andryszczak



Polska Stacja Antarktyczna im. H. Arctowskiego

Oczywiście w składzie wypraw są osoby, które mają odpowiednie przeszkolenie i mogą udzielić pierwszej pomocy, ale nie są lekarzami. W stacjach są także podstawowe zapasy leków, z których można korzystać.

Jakie dyscypliny naukowe uprawiały, uprawiają polarniczki? Czy są takie zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn np. technicznie lub tylko dla kobiet? Czy też takie myślenie jest kwestią stereotypów w postrzeganiu płci?

W stacjach polarnych prowadzi się badania z zakresu m.in. geologii, oceanografii, ekologii morza, magnetyzmu ziemskiego, geochemii czy hydrologii. Są to nauki głównie ścisłe i nauki o Ziemi. Oprócz naukowców w stacjach pracują technicy: mechanicy, energetycy, elektronicy, informatycy, którzy zapewniają ich funkcjonowanie. Na tych stanowiskach pracują głównie mężczyźni, a kobiety rzadko zgłaszają swoje aplikacje do pełnienia takich funkcji w ramach wyprawy. Natomiast panie w zdecydowanej większości pracują na stanowiskach naukowych i administracyjnych. W książce jest fragment rozmowy z doktorem Dariuszem Puczeko, kierownikiem Stacji Arctowskiego z ramienia Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN na ten temat. Jego zdaniem, choć w Polsce nie brakuje kobiet z wykształceniem technicznym, nie każda z nich ma w sobie tę pewność siebie i chęć, żeby aplikować do stacji polarnej na stanowisko techniczne.

Czy możliwa jest sytuacja, w której załogę stacji stanowiłyby wyłącznie kobiety? Myślę, że nikt nie chciałby takiego scenariusza łącznie z samymi zainteresowanymi. Podobny eksperyment już zrealizowano w ramach niemieckiej wyprawy w latach 1989–1991 do stacji Georg von Neumayerna na Antarktydzie. Powstała nawet na ten temat książka „Neun Forscherinnen im ewigen Eis” („Dziewięć

badaczek w wiecznym lodzie”), niestety nie tłumaczona. Niestety nie była to próba udana. Mimo postępów naukowych załoga była mocno skonfliktowana.

To oznaczałoby, że są potrzebne parytety pomiędzy płciami.

Jestem zdecydowanie przeciwna parytetom w tym zakresie. Na wyprawy powinno się dobierać kandydatów wyłącznie na podstawie ich kwalifikacji, jak to jest obecnie realizowane.

Jakie są uprawnienia szefa takiej wyprawy? Czy jest kimś w rodzaju kapitana na statku?

Nie. Kierownik wyprawy ma nad sobą instytucję zarządzającą stacją, która znajduje się w Polsce. Na przykład nasze stacje całoroczne – Stacja Arctowskiego i Polska Stacja Polarna Hornsund – są zarządzane przez działy logistyczne odpowiednio w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN i w Instytucie Geofizyki PAN. To do kierownika pionu logistycznego należy ostatnie słowo. Na pewno kierowanie stacją nie jest łatwe, dlatego że osoba będąca na miejscu widzi pewne rzeczy inaczej i może odmiennie ocenić sytuację niż ktoś, kto patrzy z punktu widzenia Warszawy. Oczywiście współdziałanie ma na celu dobro stacji, załogi i infrastruktury. Wiele więc zależy od tego, jak kierownik danej wyprawy współpracuje z administracją i logistyką. W warunkach idealnych, kiedy ta współpraca dobrze się układa, to wsparcie z jednostki macierzystej bardzo pomaga.

Ze zdziwieniem odkryłem, że na losy stacji mają także wpływ zawirowania polityczne.

Ma pan na myśli okres zmian ustrojowych w Polsce. To była wyprawa Marii Agaty Olech w latach 1991–1992 do Stacji Arctowskiego. Ona nie dość, że była wtedy pierwszą kobietą na stanowisku kierownika, to jeszcze musiała rozwiązać

mnóstwo problemów. Najpierw okazało się, że brakuje paliwa na zimę, a chwilę później z Warszawy kierownik otrzymała decyzję o likwidacji stacji i odesłaniu części załogi do Polski. Maria Agata Olech postawiła się. Powiedziała, że parę osób wróci do kraju, jak chcą przeżyci, ale ona sama stacji nie opuści. Wiedziała, że jeżeli się podda, to nie wiadomo, kiedy stacja zostanie ponownie uruchomiona. Wtedy dużo państwowych przedsięwzięstw zostało wyprzedanych za bezcen, więc jednostka badawcza w odległej Antarktyce, nie wiadomo po co i do czego przydatna, zdaniem polityków, winna być zlikwidowana. Na szczęście zamknięcie stacji się nie udało. Brak stacji w Antarktyce byłoby wielką szkodą dla nauki polskiej.

Czy polarnictwo ma coś wspólnego z himalaizmem? Raz połączony bakcyl, łączy ciągle tam wracać?

Tak. To się nazywa „gorączka polarna” albo „syndrom polarny”. Różnie się na to mówi. Rzeczywiście osoby, które jeżdżą w rejon polarny, bardzo za nimi tęsknią. Tam jest po prostu pięknie. Rejony polarne mocno na człowieka oddziałują pod wieloma względami, zmieniają plany życiowe, zawodowe. Jednak polarnictwo to badania naukowe, praca w stacji i w przeciwieństwie do himalaizmu nie ma tego współzawodnictwa i adrenaliny. Działania polarników są długodystansowe, a wspinaczy górskich krótkodystansowe. To są główne różnice, ale myślę, że fascynacja miejscem, naturą i chęć bycia tam jest tym dwóm pasjom wspólna.

Pani najpiękniejsze, najtrudniejsze i najbardziej wzruszające chwile na wyprawach?

Najpiękniejsze chwile związane są z przyrodą, która w tamtych rejonach jest niezmienna, nietknięta ręką ludzką i bardzo mocno oddziałuje na emocje i wyobraźnię. Teraz, kiedy moja wiedza z psychologii i doświadczenie życiowe są większe, mogę powiedzieć, że odczuwałam, będąc tam, stan bliski medytacji, pełnej świadomości bycia w miejscu i czasie całą sobą. To są absolutnie niesamowite doświadczenia. Było też sporo dobrych historii związanych z ludźmi, z którymi pracowałam. Pamiętam, kiedy w Stacji Arctowskiego, gdzie zajmowałam się administracją, pomagałam w kuchni i byłam asystentką terenową, razem z hydrolog Joanną Plenzer, z którą przyjaźnimy się do dziś, chodziliśmy razem w teren. Pomagałam jej zbierać i nosić próbki wody. Raz wróciliśmy z terenu pod wieczór, było przed kolacją, więc ona miała chwilę, żeby się przygotować do posiłku, a ja musiałam posprzątać stację i przygotować jedzenie. Byłam tak zmęczona, że ledwo widziałam na oczy. I ona wtedy bez słowa wzięła drugie wiadro i mio-

fot. Piotr Andryszczak



Polska Stacja Polarna Hornsund im. S. Siedleckiego

tłę i zaczęła razem ze mną sprzątać. To było piękne i mocno wzruszające. Natomiast te najtrudniejsze sytuacje były związane z zagrożeniami w terenie. Ta konkretna wynikała pewnie z brawury albo chęci zrobienia czegoś głupiego. Chodziłam na nartach po zamrożonej Zatoce Admiralicji w strefie brzegowej i to jeszcze w pojedynkę. W pewnym momencie poczułam, że brejowaty łód ugina się podę mną. Przemknęło mi przez myśl, że to wszystko się teraz podę mną załamie. Kiedy już przeszedł ten moment grozy i wracałam do stacji, a dodam, że wybrałam tę część zatoki, gdzie nie było łączności radiowej ze stacją ze względu na okoliczne wzniesienia, wiedziałam, że z mojej strony była to absolutna głupota. Tak nie powinno się robić. Jest to naganne. Jednakże bycie w miejscu, gdzie człowiek się przyzwyczaja do trudności terenu, usypia trochę jego czujność. To jest ta słynna rutyna, która dopada osoby pracujące w różnych niebezpiecznych zawodach. Pod koniec zimowania bardzo często poczucie uważności i odpowiedzialności wśród polarników zaczyna spadać.

Jakie są polarniczki? Jakie cechy charakteru mają wspólne? Co sprawiło, że poradziły sobie nie tylko z nauką ale i zarządzaniem zespołem?

Myślę, że polarniczki są bardzo ambitne i pracowite. Oczywiście generalizuję, ale niewątpliwie praca w regionach polarnych jest wymagająca. To organizowanie wypraw, jeżdżenie, pakowanie ekwipunku, a potem powrót do macierzystej uczelni, instytutu badawczego i opracowywanie danych. Kolejną cechą polarniczek jest skromność i to czasami nadmierna. Miałam z nią lekki problem, kiedy próbowałam dotrzeć do niektórych z moich rozmówczyń. Na początku mówiły: „Pani Dagmaro, o czym tu rozmawiać. Ja nic szczególnego na tym Spitsbergenie nie robiłam!”. Potem się okazało, że pani miała absolutnie fantastyczne dokonania i historię do opowiedzenia. Teraz, kiedy książka od kilku lat jest obecna na rynku, starsze polarniczki potrafią do mnie zadzwonić i powiedzieć: „Pani Dagmaro, teraz dopiero do mnie dotarło, że ja w życiu coś osiągnęłam”. Myślę, że panie bardziej powinny się cenić, czuć, że to, co robiły czy robią jest ważne. Powinny to komunikować, mówić o tym, bo to są historie, które warto opowiadać.

Skromność widać także na filmie. Polarniczki opowiadają prostym językiem o niezwyklej sprawach.

Tak, powiedziałabym, że to jest właśnie rys charakterystyczny polarniczek. Sporo wywiadów przeprowadziłam i nie zdarzyło mi się spotkać badaczki polarnej, która chęłpiłaby się swoimi dokonania. Oczywiście, nie oznacza to, że takich osób nie ma.

W Puławach w lutym tego roku otwarto Muzeum Badań Polarnych. Jaką rolę ma ono do spełnienia?

Myślę, że przede wszystkim przed pracownikami Muzeum stoi ogromna misja, aby uświadomić polskiemu społeczeństwu, że polskie badania polarne mają ponad 100 lat. Jest to kawał czasu, kiedy nasi naukowcy pracowali i pracują w rejonach polarnych i ogromny dorobek badawczy. To też pokazanie, że stacje badawcze i nauka w rejonach polarnych są istotne, zwłaszcza, że część pieniędzy polskich podatników jest przeznaczana na te cele. Polska obecność w rejonach polarnych jest istotna z punktu widzenia dyplomacji naukowej, geopolityki oraz nauki. Muzeum Badań Polarnych już świetnie swoje cele realizuje, bo pracownicy i pan dyrektor dr Piotr Kondraciuk robią doskonałą pracę, ale myślę, że jeszcze sporo przed nimi.

Muzeum to także miejsce, gdzie można spotkać polarników. Poznać ich. Porozmawiać z nimi.

Tak, ponieważ w placówce organizowane są różnego rodzaju spotkania. Wiem, że ma być ich jeszcze więcej. Planowane są konferencje naukowe, spotkania autorskie i eksperckie. Są także plany, żeby zaangażować chętnych polarników – a myślę, że jest duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród starszych z nich – do oprowadzania po wystawach. Mogliby opowiadać, jak praca w rejonach polarnych wyglądała z ich punktu widzenia i dzielić się swoimi doświadczeniami. Myślę, że odbiór ze strony środowiska polarników jest już pozytywny i sporo osób zdecyduje się na taką współpracę. Widzę także otwartość ze strony Muzeum.

To także miejsce, w którym można wyeksponować zbiory polarników.

Zgadza się. Ja akurat mam ogromną przyjemność być sekretarzem Rady Muzealnej przy Muzeum Badań Polarnych i ile mogę, to w środowisku polarnym agituje



wśród kolegów i koleżanek, żeby przekazywali tego typu artefakty. To faktycznie już się dzieje. Oprócz darczyńców indywidualnych, instytucje również przekazują swoje zbiory. Instytut Geofizyki PAN, którego jestem pracownikiem, przekazał część pamiątek z Polskiej Stacji Antarktycznej im. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego na Antarktydzie Wschodniej. Zostały przywiezione przez wyprawę, która wróciła do Polski w 2022 roku. Te zbiory już znajdują się w Muzeum i są w trakcie opracowywania.

Na koniec zapytam panią o śląskie ślady, o Ślązaczki-polarniczki.

Oczywiście jest bardzo dużo Ślązaczek wśród polarniczek. Te dane można znaleźć na stronie www.polarniczki.pl. To są panie związane głównie z Uniwersytetem Śląskim, które od końca lat 70. uczestniczyły w wyprawach letnich do Stacji Polarnej im. Stanisława Baranowskiego, tzw. „Baranówki”. Były wśród nich m.in. wspomniana już Wiesława Ewa Krawczyk, Elżbieta Majchrowska, Elżbieta Bukowska-Jania.

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę
Dziękuję.

Dagmara Bożek – popularyzatorka nauki, polarniczka, autorka książek o tematyce polarnej. Uczestniczyła w 35. Wyprawie Polarnej IGF PAN do Polskiej Stacji Polarnej Hornsund na Spitsbergenie i 40. Wyprawie Antarktycznej do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego. Laureatka Nagrody Magellana 2020 za biografię Ryszarda Czajkowskiego. Na projekt Polarniczki poświęcony kobietom pracującym na stacjach polarnych otrzymała stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Finalistka konkursu Popularyzator Nauki 2022 w kategorii „Animator”.

Czy mógłbyś opowiedzieć naszym czytelnikom, jak odkryłeś rękopis „Pomsty”, ten, który później Aleksander Fredro przełożył na język polski?

Historia „Pomsty” zaczęła się jeszcze w Lidzbarku Warmińskim [w czasie Lidzbarskich Biesiad Humoru i Satyry, które odbywają się od 1976 roku – KW], wystąpiliśmy tam w 1995 r. z kabaretem Rak. Wieczorne koncerty prowadziła Agata Młynarska. *Roz przyszła ku nóm i godo: „Chłopcy, a moglibyście przetłumaczyć coś z Krasickiego na śląski?”* Zaraz do tego siedliśmy i przez jedną noc *przetłumaczyliśmy bajka „Kulawy i ślepy”*. Śląska wersja tak przypadła do gustu jurorom, że zdobyliśmy tam nagrodę.

To był przecież sukces – Kabaret Rak w 1995 roku dostał Nagrodę im. Ignacego Krasickiego!

Właśnie tak się to mianowało. Wtedy przyszło mi do głowy, żeby przetłumaczyć scenę pisaną listu z „Zemsty”. I pokazaliśmy to na gali rozdawania Hanyśów w 1996 roku [gala wręczenia nagród zasłużonym Ślązakom odbywa się od 27 lat w Rudzie Śląskiej – KW]. Wypożyczyliśmy stroje i zagrali *po naszymu*. A widziała to Kasia Gaertner. Jej się to tak spodobało, że mówi mi tak: „Marian, napisz mi libretto do całej „Zemsty”, a ja ci napiszę muzykę”. *Jakżech to usłyszoł, to żech sie wzioł zaroz do roboty – wstowoł żech co dzień o piątej rano i w ciągu trzech miesięcy „Pomsta” była gotowo*. Potem zaczęło się szukanie sponsorów i w kwietniu 1997 roku doszło do premiery.

Jak ci się udało zaprosić tylu światowych artystów do tego przedstawienia? Oprócz Katarzyny Gaertner, Henryka Konwińskiego, Jacenty Jędrusik...

Kabaret Rak był wtedy dosyć popularny, a myśmy współpracowali z Michałem Smolorzem, który robił dla telewizji swoje programy...

Pamiętam! Wesoło czyli smutno. Sam Kazimierz Kutz to prowadził.

W czasie tych programów spotykaliśmy się z różnymi artystami z Teatru Rozrywki, z Krzysiem Respondkiem, Robertem Talarczykiem, Jacentym Jędrusikiem... Przy tej okazji się zgodaliśmy na temat „Pomsty”. Poprosiłem Henryka Konwińskiego, żeby ją wyreżyserował. On miał początkowo sporo obaw, ale go przekonałem i tak to poszło.

Nagle się okazało, że wszyscy bardzo to chcieli obejrzeć.

I powiem ci, że zaskoczyło nas powodzenie tego przedstawienia. Była premiera, bardzo dobrze przyjęta, potem drugie, trzecie przedstawienie i później my z tym pojechaliśmy do Lidzbarka Warmińskiego. A po powrocie stamtąd, to się zaczął taki boom, że my to graliśmy bez przerwy. Na ten przykład w jeden dzień były



for. Andrzej Makula

Rozbawianie ludzi to niełatwa sztuka

Z MARIANEM MAKULĄ, satyrykiem i założycielem Teatru Górnos Śląskiego, rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

trzy przedstawienia w trzech miejscach. Rano dla młodzieży w hali sportowej na Halembie, potem my graliśmy na Kopalni Wujek w Domu Kultury, *kaj scena po szkodach górniczych była tak pochylono, że cinyżko boło pion utrzymać* (śmiech), a potem chyba we Mysłowicach w jakimś kinie. W Piekarach bilety się rozszły na dwa spektakle w ciągu pół godziny. Opera Śląska też w jeden dzień sprzedali. *Pamiętóm, jak prziszedł do mnie tyn bileter i godo: „Marian obejrzyj sie, pierwszy raz mi się tak zdarzyło, że w jeden dzień to ogłosili, buch, i wszystkie bilety poszły”*.

Ale nie grałeś tego przecież tylko dla Ślązaków? Jak to było odbierane poza Śląskiem?

Jak my graliśmy w Lidzbarku, to my w podcieniach tego zamku wywiesili słownik. Ale tam się z *inkszych rzeczy śmiali niż u nos*. Generalnie się podobało. Dostaliśmy dobre recenzje. Warszawska dziennikarka, Krystyna Guciewicz napisała, że to nowe pokłady humoru i *som Fredro jak by żył, umar by ze śmiychu*. Przede wszystkim chwalili muzykę Kasi Gaertner i układy choreograficzne Konwińskiego. A Podstolina Marty Tadli! Niezapomniana rola! Zagraliśmy to jakieś kilkadziesiąt razy. Potem się ten boom skończył, ale za jakiś czas ludzie się o „Pomsta” zaczęli dopytywać...

...i w 2007 „Pomsta” poszła znowu, po paru latach przerwy.

Wyreżyserował to Jacenty Jędrusik. Za-

graliśmy to też z kilkadziesiąt razy, chyba do 2012.

A przecież wcześniej był Lehar po śląsku! „Wesołą wdówkę” wzięłeś na warsztat z Tomaszem Białkiem, wtedy aktorem Teatru Muzycznego w Gliwicach.

A on ma i ciekawy teatr w Mosznej, prywatny teatr, oparty na operetce i musicalu [Teatr Muzyczny Castello działa na zamku w Mosznej od 2013 roku – KW]. To on mi zaproponował, *żebych przełożył Lehara na śląsko godka*. Były z tym małe problemy, bo musieliśmy zmienić tytuł z powodu praw spadkobierców, którzy mieszkają w Szwajcarii. W końcu *dostolech* pozwolenie, żeby to grać pod oryginalnym tytułem, ale tylko w operze w Bytomiu.

I nie było żadnych oporów, żeby w operze zabrzmiał śląski?

Pamiętam jeszcze, jak dzisiaj, rozmowę z dyrektorem opery: „Panie Marianie, niech Pan to robi! Dam Panu chór i jeszcze balet”. Zaczęliśmy robić próby z Tomkiem Białkiem i nagle telefon dzwoni: „Panie Marianie, bardzo przepraszam, ale niestety niektórym się to nie spodobało, że taka klasyka tu po śląsku pójdzie”. To się miało chórowi nie spodobać i jednej ważnej osobie, zresztą bardzo zasłużonej dla *Ślōnzoków*.

W końcu jednak Głos się zrywa, dusza śpiwo doczekał się, w 2010 roku, premiery w świątyni śląskiej muzyki.

Ja, premiera była w *Óperze Bytomskiej*. Przez trzy dni my to tam grali.

A wcześniej zrobiłeś „Zolyty” na podstawie „Ożenku” Gogola?

To było za Michała Smolorza. A pomysł mi podsunął świętej pamięci Krzysiek Respondek. *Godo mi: „Marian, weź to przełoż, bo to dobrze pójdzie po noszymu i bydzie z tego kupa śmiechu”. No i zech to zaczon robić.*

I jak? Udały ci się te „Zolyty”?

„Zolyty” się udały, ale zabrakło sponsorów. *Wtedy zech sie zgodził z Michałem Smolorzem. On mi godo: „Marian dej mi tyn tekst, jo to wszytsko zrobia, a ty sie już nie mieszej”. I Michał wziął się za przygotowania do premiery – zatrudnił artystów: muzyka napisał Grzesiu Spyra, a aranżacje robił Stefan Sendeki. Mnie się też do końca nie podobała ta muzyka, ale w końcu wszystko udało się na czas przygotować. Zrobiliśmy to na Nowym Bytomiu. Smolorz sprowadził telewizja, „Gazeta Wyborcza” przyjechała. *Trocha szumu koło tego narobił i on to nawet sfilmował, ale widział, że nie poszło to tak jak „Pomsta”. I jo odkupił te licencje od niego, razem z tymi wszystkimi dekoracjami i zaczon zech to sōm robić. Gralimy to z różnym powodzeniem. A ja uważam, że „Zolyty” są śmieszniejsze od „Pomsty”. I ludzie też się fest pośmioli. Na przykład przy scenie ze szczewikami: jak gorol nie ściōngół szczewików, a hanysy szczewiki ściōngali – tu ludzie ryczeli ze śmiechu.**

Kiedy byłem parę lat temu na „Pomście”, to uderzyło mnie to, jak ludzie żywo reagowali, także młodszy widowie, którzy to pewnie pierwszy raz widzieli.

To jest też zasługa Izy Malik. Ostatnio wspólnie robimy różne projekty i cenię sobie naszą współpracę. Ona bardzo dobrze reżyseruje, *bo ona mo, jak sie to godo*, podejście do ludzi i poza tym umie też słuchać, szczególnie jeśli ktoś ma jakieś uwagi – obojętnie zespół czy jeden aktor.

Jak już mówimy o Izabeli Malik, która gra też i w „Cholonku”, to chciałem cię też zapytać i o ten spektakl. Już nieraz różnych osób pytałem, od czego zaczęło się wielkie granie po śląsku w teatrze, od czego naprawdę zaczął się śląski teatr. Zazwyczaj słyszę odpowiedź, że od „Cholonka”.

Zależy, jak to mierzyć, jakimi kryteriami, bo ja jestem przecież satyryk, nie? I uważam, że taką opowieść, bardzo na serio, to ludzie bardziej czują. A ja, satyryk, uważam, że niełatwo jest rozbawić ludzi. To jest cięższa sztuka – naprawdę!

Ale tak chronologicznie to „Pomsta” będzie przed „Cholonkiem”?

„Pomsta” to jest moje dziecko, trudno mi się wypowiadać. Niech to ludzie ocenia. I znawcy.

Ale ty żeś im tam w Korezie trochę doradzał. Możesz powiedzieć, jak to wyglądało?

Zaprosili mnie na próba generalno i pytali o wymowa. Pytali, jak sie to godo, a jak tamto. A jo im to tłumaczył. Ale jo już tego wszystkiego nie pamiyntōm we szczegółach.

Mirek Neinert mi mówił, żeś mu doradził, jak ma grać Świątka. Żeby ten Świątek nie był zaś aż taki mądry. Tam żeś się pierwszy raz z nim spotkał?

Fajnie, że to *zapamiętał...* A z Neinerem zech sie chyba poznał jak werbowali do filmu „Grzeszny żywot Franciszka Buły”, ale głowy nie dom. Ja tam nie grałem, bo się nie spodobałem reżyserowi. A ja przede wszystkim robiłem kabaret, a wtedy na początku lat 80., to był kabaret bardzo polityczny. Zaczęliśmy wygrywać przeglądy. Graliśmy w całej Polsce. Pamiętam, że na Śląsku graliśmy 11 czy 12 grudnia. Graliśmy w Jastrzębiu dla Solidarności. Tam były takie ostre kawałki typu: „Jaka jest różnica między Armią Czerwoną a piosenką... Piosenka nie zna granic, a Armia Czerwona lubi śpiewać”. Albo miałem na przykład taki monolog o... o meblach i mówiłem o usunięciu starego sekretarzyka. Takie numery szły, no a przecież działała cenzura i trzeba było uważać. Kiedy ogłosili stan wojenny, to myśmy przerwali działalność do 1986 roku.

Ale ta idea mówienia ze sceny po śląsku narodziła się dopiero w Lidzbar-ku, czy to się zaczęło już wcześniej?

Wtedy zacząłem do tego wracać – zaczęła się współpraca z Izą Malik, z Robertem Talarczykiem.

Robert Talarczyk wystąpił przecież i w „Pomście”.

Spotkaliśmy się na pewnym etapie życia. Później współpracowałem z nim jeszcze, jak był w Bielsku, [Robert Talarczyk był dyrektorem Teatru Polskiego w Bielsku-Białej w latach 2005–2013 – KW] wtedy mnie zapraszał na każdą premierę.

Oprócz tego robiłeś jeszcze widowiska plenerowe.

Było takie widowisko przy ruinach zamku w Chudowie. Zainicjował to prezes Fundacji „Zamek Chudów”, Andrzej Sośnierz. Spotkaliśmy się...? Tak! Na „Cholonku”. On mi zaproponował, żeby napisać plenerowe przedstawienie, a ja mu zaproponowałem, że zrobimy widowisko na Nowy Rok, z kołędami. Podjeżdżamy pod Chudów saniami, pochodnie, ogniska rozpalamy pod tymi ruinami zamku... Pięknie!

Czy z tych różnych doświadczeń narodził się pomysł Teatru Górnośląskiego?

Pomysł się narodził gdzieś w 2012 roku,

ale teatr powstał w 2016.

Czy to jest teatr bez stałej siedziby?

Miejscem, w którym się to zaczęło była restauracja Belford w Bytomiu. Próby do operetki, to myśmy robili właśnie tam – Krysia Paukert, była szefowa *Café Cabaret* Jana Pietrzaka poleciła mi to miejsce. I w czasie prób doszliśmy do tego, że chcemy zrobić górnośląski teatr. Potem pojawił się pomysł, żeby wznović *Pomstę* po raz drugi. I tym się zajęła właśnie Iza Malik.

I ona też wyreżyserowała następne przedstawienie „Jei Zocność Dulcyno” na kanwie tekstu Gabrieli Zapolskiej?

Tak, zajęła się reżyserią jednego i drugiego spektaklu.

W tym roku obchodzisz 50-lecie swojej pracy artystycznej – wielkie gratulacje! Gdybyś mógł zrobić taki bilans, co się udało, a co byś jeszcze chciał zrobić? Och, jeszcze wiele rzeczy mam w planach.

A co ci się udało najbardziej?

Na pewno „Pomsta”.

No i pewnie droga, jaką do niej odszedłeś? Do wielu twoich projektów.

Tak. I uważam, że to jest moja największa zasługa, bo niektórzy dostaną zamówienie, są pieniądze i jest realizacja... A u mnie był pomysł i *jo musiał sie nauczyć spełniać swoje marzenia, bez to szukoł zech pieniędzy*. Pomimo przeszkód, a przeszkody były bardzo duże, moje sztuki były realizowane za jedną trzecią, jedną czwartą tego, za co się przygotowuje w państwowych teatrach. A wiele nie odstawały od tego, co robią profesjonaliści. A z kolei ci profesjonaliści, którzy u mnie grali, zarabiali więcej niż w takim teatrze.

A co byś jeszcze chciał zrobić po tym artystycznym Abrahamie?

Chciałbym zrobić taki spektakl na kanwie piosenek żydowskich. Parę piosenek już kiedyś napisała do tego Kasia Gaertner. Przedstawienie nosi tytuł „Kłątwa”. To historia faceta, którego budzi koszmara – ma się spełnić kłątwa – w rodzinie ma się pojawić goj, a to będzie oznaczało, że nie odziedziczy majątku.

I masz chyba jeszcze jedno marzenie. Chcesz coś napisać?

Generalnie moim marzeniem jest napisać książkę. Tytuł roboczy: „Jo”. *Chciolbych opisać tyn Ślōnsk, tyn, jaki pamiyntom*, z lat 50. i 60., ale w takim stylu jak jest „Cholonek” napisany. Mam taki pomysł, żeby wydać śląsko-polską wersję. Jedna strona jest po polsku, a druga jest po śląsku.

No tak, po tych dwóch stronach chodzisz chyba przez całe życie. Dziękuję za rozmowę.

Rozmowa odbyła się w Galerii Szyb Wilson 2 czerwca 2024, w czasie festiwalu In-

Mazur to ostatni...

O Krystynie Wańkowiczównie „Annie”

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Piotr Stachiewicz, autor monumentalnej monografii Batalionu „Parasol”, tylko w jednym wypadku odstąpił od swoich założeń, mianowicie zgodził się, by hasło łączniczki 1. kompanii Stanisława Wojciecha Leopolda, „Rafała” – Krystyny (1919–1944) napisał jej ojciec – Melchior Wańkowicz. Stachiewicz wytłumaczył to tak: „Wbrew przyjętej przez mnie konwencji przedstawiania zarysu działań powstańczych batalionu «Parasol», ale spełniając przyrzeczenie dane Melchiorowi Wańkowiczowi, podaję poniżej napisaną przez niego osobiście notę łączniczki «Anny» – Krystyny Wańkowicz”. Monografista uszanował cierpienie ojca, który tak pragnął swemu dziecku zapewnić dłuższe trwanie. Chciał, żeby ją zapamiętano na zawsze jako dziewczynę wyjątkową, nie ze schematycznego biogramu, ale z życiorysu tworzonego z miłością, w którą wpisane jest cierpienie. Pisarz tak charakteryzował córkę: „Inteligencję, zdolności pisarskie, pracowitość i swe szerokie horyzonty myślowe wkładała w rozpoczętą pracę historyka. Cechowała ją nieustępliwa prawość charakteru, miłość wolności, niezależność myśli i sumiennosc wobec podjętych obowiązków, a dziewczęca jej postać, jej uśmiech, ciemnobłękitne oczy, rozwiane włosy i czar jej osobowości pozostał wspomnieniem w sercach kolegów i towarzyszy broni i tych wszystkich, którzy ją kochali”.

Krystyna, urodzona w roku 1919, była pierwszym dzieckiem Zofii z Małagowskich i Melchiora Wańkowiczów, druga córka Marta – zwana „Tili” – urodziła się dwa lata później. Przed urodzeniem Krysi matkę dotknęło nieszczęście. W lipcu w trzytygodniowym odstępie polegli jej ukochani bracia Kazimierz i Stanisław, spiesząc na odsiecz Orłętom Lwowskim. Zofia pogrążyła się w długotrwałej depresji i Wańkowicz obawiał się o jej życie.

„Przepaść martwego życia” dotknęła i matkę, i dziecko, dom przysypał „popiół kateklizmu dziejowego”, a jednak młode życie było silniejsze, Krysia przechorowała wszystko i zaczął się wzrost.

Wychowanie w tej rodzinie nie było konwencjonalne, ale mądre, wynikało zarówno z intuicji, jak i z rodzicielskiej miłości. Matka, w rodzinie nazywana Królikiem Najbardziej Puszystym, sformułowała je następująco: „...idź za dziećmi w ich rozwoju, a nie przed dziećmi; nigdy niczego nie wymagaj, wszystko porządkuj, tak jak ich zabawki po skończonej zabawie; nie miej swego ideału dziecka, do którego je będziesz podciągać; nie chciej je mieć takim, jak sobie wyimaginowałaś – patrz, co z gleby rośnie; nie obciążaj ich sprawami starszych; niech mają prawo do dzieciństwa”, natomiast pisarz dodał, że dusza dziecka jest czymś tak „zachwycającym, samopołykliwym, samokwietnym, co chwilę zmiennym, że tknąć tego nie wolno, tylko osłaniać od wiatru i patrzeć, jak rośnie”. Matka to była pewność, zaufanie i czułość, ojciec – zaskoczenie, żart, ale i z trudem udawana surowość. Rodzice chętnie uczestniczyli w zabawach dziewczynki i pozwalali prowadzić się ich wyobraźni. Gdy nadszedł czas na wspólne wieczorne czytania, książki stawały się niewyczerpanym źródłem przeżyć. Czytany głośno przez matkę *Pan Tadeusz* na zawsze wyznaczył miarę piękna wiersza. Ale trzeba było zacząć od początku. Najpierw więc było *W pustyni i w puszczy*, na pamiętkę słonia uwięzionego w wąwozie – ojciec został nazwany Kingiem. Potem nadszedł czas czytania Trylogii: „Czwórka czytelników przeżywała więc co wieczór niezapomniane emocje i dyscyplina mamowa poczyniała szwankować z tym chodzeniem spać. Jakże iść spać, nie dowiedziawszy się, czy Zagłoba w chlewiku dostanie się w ręce Kozaków, czy nie? Śmierć Longinusa przeżywalimy jak własne nieszczęście

rodzinne. Małe rączki zaciskały się na kołderkach”. Z tego czytania też rodziły się zabawy; jak np. swoista „gra w zielone” na tematy Trylogii, w którą Krysia i Tili grały z adwokatem Stanisławem Święcickim; gdy przegrał nie wiedząc jak Bohun miał na imię przyniósł w charakterze zajęcej skórki – wielkiego zająca z czekolady.

Po Trylogii było też *Qvo vadis*, najpierw książka, potem ekranizacja, lekcja początków chrześcijaństwa. Po latach, kiedyś Wańkowicz powiedział w zadumie, że w czasie lat wojny i okupacji, gdy przyszedł czas ciężkiej próby, czytelnicy Sienkiewicza dobrze zdali swój egzamin. Mecenat Stanisław Święcicki „trzy dni wisiał na Lesznie na wzór i postrach i przez trzy dni Niemcy nie pozwolili usunąć ciała” [Według innych źródeł mec. Stanisław Święcicki został rozstrzelany w Woli Łąckiej 1 grudnia 1939 r.]. Krysia Wańkowiczówna też zdała swój egzamin. Dodajmy jeszcze, że wśród pseudonimów szarostregowej młodzieży najwięcej było z rodowodem Sienkiewiczowskim.

Krysia była od początku bardzo wrażliwa, już jako ośmiolatka napisała zdumiewająco refleksyjny wiersz: „Lecz ja się nie żalę / Lepiej jest tęsknić zawsze, niż nie tęsknić wcale”. Poznawała świat zachłannie, kiedyś ojciec zobaczył ją jak w milczeniu oglądała album malarstwa Wyspiańskiego: „Tatusiu, jakie to piękne – podniosła oczy. King zobaczył, jak zapłoniona fala wzruszenia przepływa przez jasne czoło aż po ciemne warkocze i nie zdobył się na żadną kpinę. Siedli przy kominku, rozpatrując album. King patrzył na akwarelę „Macierzyństwo” i myślał – jakież to drogi wzruszeń czekają jeszcze te jego córeczki.” „Córeczka” jednak zaczęła dorastać i z Krysi stawała się Krystyną, wyraźnie manifestującą swój charakter. W roku 1927 obie dziewczynki poznały strony rodzinne ojca, piękną rzekę Niewiążę i dwór w Jodańcach, „królestwa

jasności”, tak wzruszająco opisywane w *Szczenięcych latach*. A Krysia odkryła... stajnię i swój świat; wozila słomę, buraki, karmiła kaczki, doiła krowy i pilnowała maszyn. Wtedy też postanowiła, że zostanie fonałem. Jednak sprawa miała poważniejsze konsekwencje. Krysia tak poznała nie tylko świat ziemianstwa kresowego, ale też poczuła miłość do ziemi, do roli, poczuła szacunek dla twardych prac i wiejskich ciężko pracujących ludzi. Kiedyś rozzłoszczona estetyzującymi rozmowami stwierdziła,

„...że jeśli się jest z ziemią, jej nie przeżywa. Jeśli się orze, to się aż nienawidzi tej ziemi – bo się nią żyje”. Następstwem tego było postanowienie – trochę na przekór rodzicom – studiowania rolnictwa w Poznaniu. Trochę dużo było tego „na przekór” i pod koniec życia pisarz zwierzał się Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm ze swojego stosunku do obu córek. Z wielkim bólem mówił o Krysi, z którą nie miał tak łatwego kontaktu, jak z młodszą Martą. Krysię postrzegał jako dziecko trudne, nieustępliwe, nieufne, nade wszystko ceniące swobodę, bezwzględnie trwające przy swoich przekonaniach.

I tak było np. z pisarstwem Stefana Żeromskiego, które stało się przyczyną ostrego konfliktu. Ta fascynacja Wańkowicza irytowała. Czytamy w *Zielu na kraterze*: „Chłoneła zły czar bezlitosnej przyrody, niszczący żywioł miłości, mękę dusz rozpiętych na torturach musu wewnętrznego, piołun i żółć, którymi wytrawiał dusze Polaków. Tajemniczy, najlichszy szept ziół zdawał się słyszany w bibliotece, a aromat zgniłych liści przedwiośnia uderzał w nozdrza [...] Ojciec jeszcze przed wojną [...] Przekonywał, że

Polski nie należy szukać, jak jej szukał Rozłucki, pod konarami starego dębu, rozkopując grób wygnańcy, bo to tylko prowadzi do niezbyt higienicznego całowania piszczele, tylko należy ją znaleźć, na przykład w pachnącej kwaskowato spóldzielnicy mleczarskiej, w której mazurskie typki z perkaty nosami zapisują udój ogryzkiem ołówka”. Krysia, rozkochana w Żeromskim,

ralne pisała o *Przedwiośniu*, o dylematach bohaterów, było tak niebanalne, że odczytano je na uroczystym rozdaniu świadectw. Potem, już w czasie okupacji zafascynowana była Conradem, czyli pisarstwem o trudnych wyborach moralnych, ale to przecież Żeromski był autorem eseju o Conradzie – *Autor rodak*. Po maturze Krystyna rozpoczęła studia w Wyższej Szkole Nauk Politycznych.

Trzeba jednak wiedzieć że w rodzinie Wańkowicza Żeromski to była nie tylko literatura:

umierający legionista – brat matki, Kazik, kazał sanitariuszce szukać cytatów z *Popiołów* i matka przez całe życie przeglądała *Popioły*, które leżały w jej pokoju na szafce, była to więc „książka domowa”. Domowe

były jeszcze inne tradycje, przed którymi rodzice starali się ustrzec córki. Ojciec Melchiora

Wańkowicza, też

Melchior,

brał udział

w powstaniu

styczniowym, za

co został zesłany na Syberię.

Mel matkę

stracił, gdy

miał niecałe dwa

lata i wychowywał

się w Nowotrzebach,

w majątku rodzinnym

matki, gdzie panowała:

„Babka jedna, najwyższy

suweren, arcykapłan do-

mostwa, punkt najwyższy hierarchii”. To ona przekazywała wnukom

podniosłe treści patriotyczne i moralne. Była odważna i waleczna

i stanowiła żywą kronikę powstania styczniowego. W klimacie

powstaniowym, który trwał bardzo długo, opowiadała żarliwie i młodzieńczo

wnukom narodowe dzieje. Gdy Mel zapytał: „Babcu, a gdyby

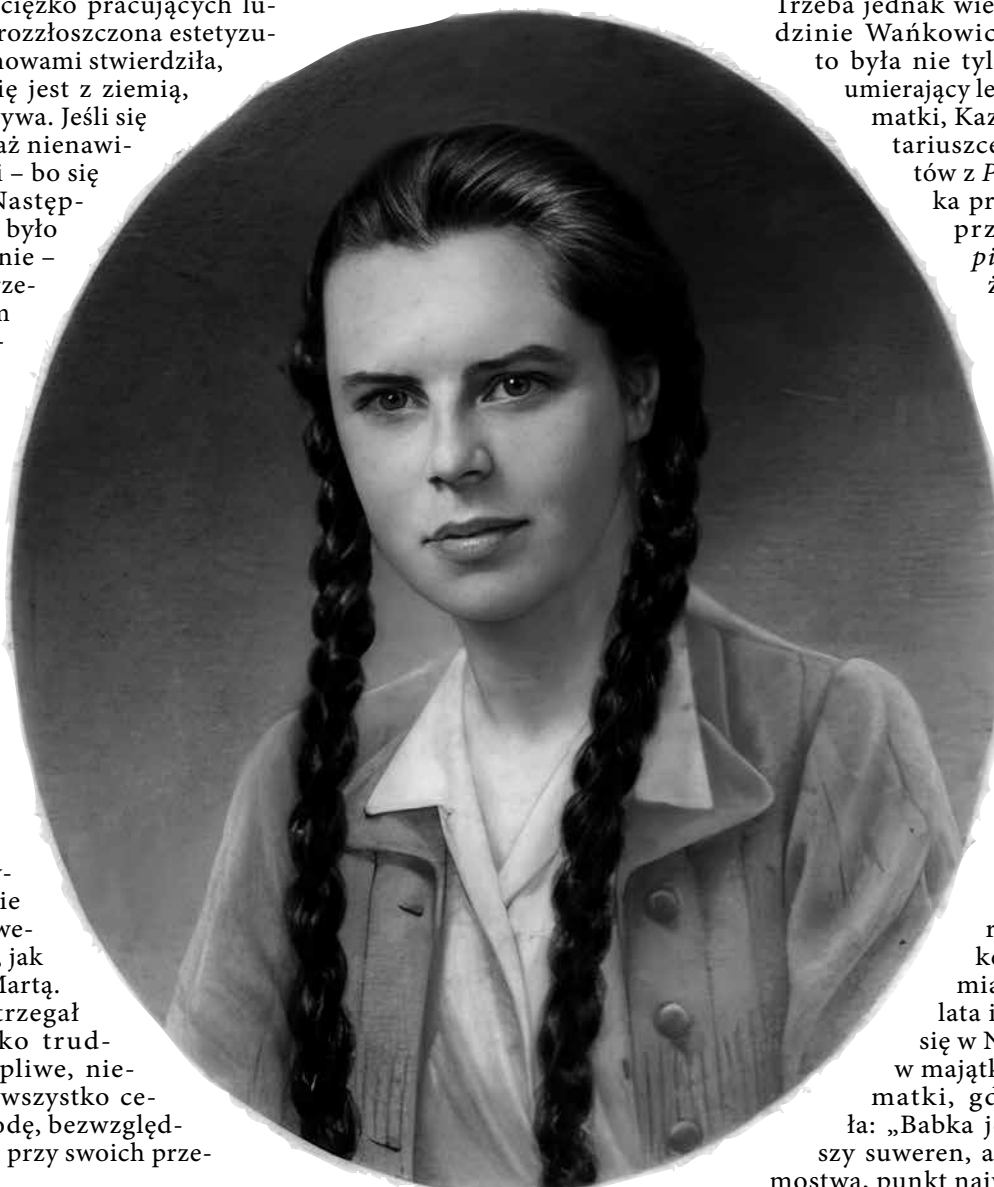
Murawiew był ranny i przywieźli go do dworu...

– Ja bym jemu o, tak dała... –

wznosi się od pasjansa z impetem

ręka w białej koronce; głos nabiera

takiej mocy, że cofam się skon-



gdy to słyszała „prychała pogardliwie” i wzruszała hardo ramionami, gdy ojciec mówił, że nic po Żeromskim w wolnej Polsce. Wtedy między ojca i córkę wkradało się nieміłe milczenie. Zbiorowe wydanie dzieł autora *Przedwiośnia* pełne było jej notatek. Do szkoły powszechnej Krysia i Tili chodziły do sióstr zmartwychwstanek, maturę zdawały w Gimnazjum Państwowym im. Klementyny z Tańskich Hofmanowej, Krystyna wypracowanie matu-

sternowany, patrząc na zawieszoną w powietrzu rękę, która zwykła przebaczać i błogosławić”, czytamy w *Szczenięcych latach*. To wspomnienie będzie towarzyszyło rodzinie Wańkowicza w chwilach trudnych i bolesnych. Sam autor *Ziela na kraterze* zapisał swoją piękną kartę w młodości, już mając 14 lat, w roku 1905 brał udział w strajku szkolnym, w roku 1917 został postawiony przed sąd wojskowym za odmówienie wykonania haniebnego rozkazu – rezygnacji walki z Niemcami. Zofia była wówczas w Mińsku działaczką Koła Polek, a potem współtworzyła pogotowie wojenne opiekujące się więźniami i rannymi. Taki był „chleb macierzysty” córka Wańkowiczów, choć rodzice chcieli im przekazywać samą radość i chęć życia. Nie dało się jednak uniknąć wspomnień, usunąć z domu różańców z chleba po więzieniach robionych, krzyży Virtuti Militari i innych pamiątek.

To polska bolesna powtarzalność dziejów, o której pisał Jan Prokop: „Przeszłość jest bowiem stale obecna jak mit. Za plecami żywych do boju stają polegli dawnych wojen, tułacze i skazańcy, te same matki płaczą nad mogiłą ułana, powstańca, leguna w maciejówce i żołnierza w rogatywce, wreszcie akowca z biało-czerwoną opaską”. Więc Krysia nosi w sobie spadek tradycji rodzinnych po powstaniu styczniowym i braciach matki – legionistach i własnych rodzicach. Pisał Wańkowicz, że „Domeczek był postawiony na torfowisku, na dnie którego od pokoleń buzuje żar” – nie przypuszczał, że tak szybko przyjdzie chwila, gdy płomień wybuchnie.

Domeczek to była wielka miłość całej rodziny, która przeprowadziła się w roku 1927 z biednego mieszkania na Elektorальной do własnego domu, przestronnego, bezpiecznego, z dużym ogrodem na Żoliborzu przy ulicy Dziennikarskiej 3. Barbara Wachowicz celnie zauważyła, że osiedle tych domków nazwane było marzeniem z Żeromskiego: „Szkłane domy”. Tam rodzinę zastał wybuch wojny.

Pisarz, poszukiwany przez Niemców za książkę *Na tropach smętki*, wyjechał z Polski we wrześniu 1939 roku i zamieszkał w Rumunii, w marcu 1940 roku via Włochy przyjechała do niego młodsza córka Marta, zdrownie Tili, która po ośmiu miesiącach wyjechała do Ameryki, do Filadelfii, a ojciec do Carmen Silva nad Morze Czarne, potem na Cypr i dalej do Iranu, Egiptu, Syrii, Libanu i z powrotem do Włoch. Krystyna pozostała

z Matką i Domeczkiem w Warszawie. Dlaczego zabrał młodszą córkę? Sam to wytłumaczył przywołanej już Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm: „Postawiłem na Tili – mówił – bo była jakby łatwiejsza i prostsza, bo wydawała się rokować większe nadzieje, ale to tamta chyba była warta większych starań. Le-piej pisała, miała niewątpliwy talent literacki”. A Krysia pisała do ojca: „Mam tu Króliczka i dom, i wszystko jeszcze mogę zrobić ze swego życia”. I istotnie zrobiła „wszystko”.

Krysię wojna i okupacja odmieniły zupełnie. Zofia Wańkowiczowa w liście do męża i Tili refleksyjnie zauważyła: „Gdy wyjeżdżałaś, to była jeszcze dziewczynka. Teraz to jest człowiek – oddawała sprawiedliwość starszej córce – przede wszystkim cechuje ją prawość. I obrzydzenie do kłamstwa i słabości charakteru. I protest przeciwko kompromisom. Drugą jej cechą jest poszukiwanie: szuka prawdy i wielkich spraw.[...] Trzecią jej cechą jest wielka czystość dziewczęca”. Takiej córki ojciec nie znał! Odkrywał jej dojrzałość w listach – pięknych, z piętnem literackości, wnikliwie oceniającą siebie i świat, głęboką i szlachetną w czasach, gdy wojna zniszczyła świat tradycyjnych wartości i miał pretensje sam do siebie, że ją poznawał tak późno. Był w tych listach też wyraźny żal do ojca, że ją mniej kochał, ale jednocześnie Krysia sama czuła, że straciła ojca w momencie, gdy do niego „dorosła”, kiedy oboje dorosli do miłości i do siebie.

Domeczek teraz rozpoczął nowe życie, gdy tylko podniósł się po uszkodzeniach, jakie poniósł we wrześniu 1939 roku, szeroko otworzył swe podwoje. Najpierw było tajne nauczanie. Trochę później wieczorami odbywały się spotkania literackie (bywał też na nich młody jeszcze Czesław Miłosz), na których czytano klasyków romantyzmu, ale też z wielkim wzruszeniem *Kwiaty polskie* Tuwima przysłane przez Tili, kiedy indziej znów znany aktor, Henryk Ładosz, recytował wiersz Kazimierza Wierzyńskiego *Wróć nas do kraju* – też przesłany przez Martę – Tili. W końcu zaczęły się odbywać „kursy”, także oficerski, na którym Krysia dostała szlify, coraz częściej pojawiały się nieznani goście, wśród nich „Rafał” Stanisław Leopold, dowódca kompanii „Parasol”. Ranny w czasie akcji pod Krakowem, schronił się właśnie w Domeczku, Krystyna „Anna” była jego łączniczką. A matka coraz bardziej zaczynała się bać. Krysia już wcześniej zniosła ze stry-

chu portret brata matki, Stanisława, tego, którego śmierć tak poraziła matkę spodziewającą się dziecka. Teraz zawisł w salonie na centralnym miejscu jako znak dni, które miały nadejść.

Ostatnie imieniny Krysi w odbyły się 24 lipca 1944 roku i miały wymiar symboliczny. To było ostatnie święto Domeczku, który „wymuskał się jak za dawnych lat, wzdął się muślinem firanek”. Na zawsze zapada w pamięć ten obraz, gdy na kilka dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego, młodzi tańczą mazura, *Ostatniego mazura*, nawet nie przeczuwając, że jest to swoisty dance macabre. Osem pięknych, młodzięńczych par, „oczy błyszczące, jasny wzrok, szeroki uśmiech”; minie niewiele tygodni i wszyscy zginą. W pierwszej parze tańczyła Krysia z Tadeuszem Rzewuskim towarzyszem „konnych eskapad”, który zginął na Woli, para druga to: Anieła Załęska, piękne platynowe włosy i wielka uroda i Krzysztof Łoś – ona została zastrzelona z transportem broni, on zginął na Czerniakowie. Trzecia para Nina Rostańska, która poległa na Koszykowej i Piotr Szuch, syn Stefani Szuchowej, autorki utworów dla dzieci, który zginął w Wilanowie, para czwarta Rómek i Irena Wańkowiczowie – rodzeństwo, dzieci Witolda Wańkowicza, brata pisarza. Roman poległ w pierwszym dniu powstania na ul. Kazimierzowskiej, Irena została zamordowana przez Niemców po upadku Mokotowa. Ich ciała nigdy nie znaleziono. Para piąta – Magda Murawska i Tomek Rusanowski, on zginął na Starym Mieście, ona poległa w szóstym dniu powstania. Szósta para to Hania Jastrzębska i Staś Kiciński, Hanię bomba rozdarła na strzępki, Staś walcząc w „Harnasiach”, ranny w ataku zmarł w szpitalu; siódma para Ewa Matuszewska „Mewa”, sanitariuszka pułku „Baszta”, rozstrzelana na Mokotowie i Adam Grocholski rozstrzelany na początku Powstania. I para ostatnia Andrzej Romocki „Morro”, dowódca 2. kompanii „Rudy” w Batalionie Zośka, poległ na Górnym Czerniakowie 15 września, jego partnerka z „ostatniego mazura” Krysia Heczówna, łączniczka, poległa na wiadukcie dzielącym Żolibórz od Warszawy, cicha, nieporadna dziewczyna, kapelanowi ks. Truszyńskiemu, gdy się doczołgał do niej powiedziała „Słodko jest umierać za ojczyznę”. Dziewczyny są piękne, urzekające młodzięczym urokiem, młodzi panowie trochę speszeni, lecz pełni galanterii. Przy pogaszonych

światłach, zasłuchani w słowa pieśni z czasu powstania styczniowego... mazur to ostatni” rozplývają się jak cienie w ciemnym ogrodzie. W tym swoistym apelu poległych, pisarz nakreślił portret każdego z nich – bolesny i zwięzły. Wańkowicz jako jeden z pierwszych uchwycił niezwykłość tego pokolenia, w którego młodość historia wpisała narodową tragedię. Słowa „Mazur to ostatni...”, zamykają ten rozdział i budują nastrój następnych. Sześć dni później, 1 sierpnia 1944, Krysia machnęła ręką, powiedziała – „Do widzenia mamusku!...” – wsiadła na rower i odjechała. A matka pisała do ojca już po powstaniu... „Do szturmówki poszła z pełną decyzją, samowiedzą i wolą. Nie miała przygotowania bojowego, nie miała poczucia niebezpieczeństwa. Była radosna. Poleciała jak ptak. Rozumiecie: wolność, Ojczyzna (i wyzwolenie z małego, codziennego dnia)”. Nie wzięła ze sobą nic oprócz złocego krzyżyka.

Krystyna Wańkowiczówna, pseud. „Anna”, zginęła 6 sierpnia 1944 roku jako łączniczka harcerskiego batalionu „Parasol” na ścieżce za cmentarzem kalwińskim na Woli. Ciała jej nigdy nie odnaleziono, mimo że matka przez rok uczestniczyła w pracach ekshumacyjnych i własnymi rękami przekopywała każdą bruzdę ziemi, łudząc się, że odnajdzie może choć strzęp spódniczki lub warkoc lub inny szczegół. „Nie ma nawet Twego ciała, Krysiu” pisał z rozpaczą Wańkowicz w *Liście do Krysi* zamykającym *Ziele na Kraterze*.

Najdokładniej okoliczności śmierci „Anny” przekazał jej dowódca – Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”. Aleksandra Ziolkowska-Boehm wspomina, że opowiadał z trudno ukrywanym wzruszeniem. Znalazł ją połączoną i osobiście pochował. W dużym skrócie opowieść brzmiała następująco: stanowisko znajdowało się w tzw. „Pałacyku Michla”, była to willa, którą nazywano pałacykiem, ale faktycznie była solidnie zbudowanym budynkiem z końca XIX wieku, miała mocną żelazną bramę i była dobra na zasadzkę. Prowadzono z niej największą walkę na Woli i odparto pięć szturmów dywizji pancerniej SS. Jeszcze 4 sierpnia powstańcy urządzili wieczorynkę, były śpiewy i skromy poczęstunek, wtedy właśnie powstała piosenka *Pałacyk Michla* skomponowana przez Ziutka – Józefa Szczepańskiego, tego samego, który później, gdy powstanie już dogorywało, napisał wstrząsający wiersz *Czerwona*

na zaraza. Premiera *Pałacyku Michla*, który potem stał się tak popularny, miała miejsce właśnie wtedy. Gryf poznał Krystynę, gdy przyszła z meldunkiem od Rafała 3 sierpnia po południu. Wspominał ją jako dobrze zbudowaną dziewczyną z pięknymi puszystymi półdługimi ciemnoblonde włosami. Miała na sobie bluzkę, plisowaną spódniczkę i szeroki skórzany pas. Była jakby trochę nieśmiała, skupiona i poważna, co sprawiało wrażenie pewnego dystansu. Miała przy sobie notes, w którym coś notowała. Po wieczorynce przebrała się w mundur, na prawą rękę nałożyła opaskę powstańczą. Jeszcze poprosiła „Rafała” o przeniesienie do Gryfa i wybrała służbę frontową, mając pełną świadomość niebezpieczeństwa. Była już wówczas studentką tajnej historii w Uniwersytecie Warszawskim i może pragnęła wszystko zobaczyć na własne oczy, by potem opisać. Janusz Brochwicz-Lewiński wspominał: „Była to bardzo odważna dziewczyna, bardzo bohaterka. Odtąd była zawsze ze mną, we wszystkich pięciu szturmach, które odbyłem, we wszystkich akcjach, gdzie jest wymieniona”. Walka była nieludzka, atakowali bardzo dobrze wyszkoleni żołnierze z formacji Hermana Goeringa, mieli oni zdecydowaną przewagę nad powstańcami. Krysia była bardzo zmęczona, odpoczywając z polecenia dowódcy opowiadała o Domeczku, o Rafale, o obciążeniu warkoczy, i o tym, że gdy szła do Powstania trochę bała. Grot wówczas poczuł o nią lęk. Gdy oddział zaczął się wycofywać na cmentarz kalwiński, poszła Krystyna i sześciu chłopców. Krystyna, jeszcze śmiejąc się, podała rękę dowódcy, szli śpiewając *Pałacyk Michla*, pół godziny później wszyscy zginęli. To się wydaje tak bardzo literackie, ale we wszystkich relacjach o śmierci Krystyny Wańkowiczówny pojawia się ta piosenka. Zginęła z piosenką na ustach – to jest fakt, a nie figura literacka.

Podczołgali się do niej, gdy się trochę uspokoiło, Brochwicz z „Rafałem” i zobaczyli, że miała poszarpaną rękę, ranę na piersi i na gardle, Grot przykrył ją swoją panterką, po dwóch dniach pochowali ją wraz z Rafałem w prowizorycznym grobie i postawili na nim krzyż związany sznurkiem z dwóch desek. Rafał odpiął zegarek z dedykacją, by oddać rodzinie; płakał i mówił, „co ja powiem pani Wańkowiczowej”, jednak nie zdążył nic powiedzieć, poległ 25 sierpnia w obronie Starego Miasta, a dzieje tego zegarka można by opowiedzieć w osobnym tekście. Bardzo podobna jest relacja

łączniczki Leny (Danuta Boleszczyk Rudnicka): „Widziałam jak przechodzili przez dziurę w płocie, śpiewali piosenkę „Parasola” *Pałacyk Michla*. Łączniczka Rafała, Anna, szła z nimi. Widziałam, że z czegoś się śmieje. I w tym momencie uderzył pocisk. Padło wielu. Anna była najbliżej. Podbiegłam, chwyciłam ją za rękę, zawołałam jej prawdziwym imieniem: Krystyno!... Krystyno... Nie odezwała się. Nie było pulsu ni oddechu. Już nie żyła”.

W czasie Powstania całkowitemu zniszczeniu uległ też Domeczek; nie ocalały nawet fundamenty. „Dla matek te wojny były upostaciowaniem całej krzywdy, całego zawodu życiowego – był dojmujący ból, że nie mogły córki ubierać na ślub, upiąć welonu. Na tej wymarzonej chwili skupiały się myśli z lat matczynego wychowania i poświęceń

Dla ojca – było wielką ofiarą nie widzieć, jak dziecko, obiekt opieki, starań, wysiłku duchowego – nagle owocuje pierwszą pracą, pierwszym dokonaniem” pisał ze smutkiem autor *Ziele na kraterze*.

Lata upłyną i nie będzie już Domeczku, gdy okaże się, że to Krysia miała rację wybierając lekturę Stefana Żeromskiego, gdyż jej ojciec z rozpaczą i niemal dramatycznie powtórzy scenę z *Urody życia* szukając śladów Domeczku:

„Pojechałem na ruiny mojego byłego domu, w którym wzrosły moje dzieci, z którego poszła do powstania Krystyna, jej koledzy, i poległ. Kiedy szukałem – w którymże tu miejscu rośło drzewko zasadzone ongiś dziecinnymi rączkami, rozległ się za mną rozdrażniony głos starej kobiety:

– Zdaje się, że pan jest starszy człowiek i nie ma zrozumienia, żeby nie chodzić po zasianym –. Istotnie, na miejscu, na którym kiedyś był dom, wschodziła nikła trawa. Usunąłem się jej pospiesznie i powiedziałem:

– Ja tu kiedyś mieszkalem. Ale broń Boże, nie chcę niszczyć trawy, którą zasialiście na odgruzowanym”.

Batalion „Parasol” posiada własną kwaterę na Powązkach z wielkim krzyżem w pośrodku, z napisem „Tibi – Patria”. Na symbolicznej płycie poległych żołnierzy Batalionu widnieje też nazwisko Krystyny Wańkowiczówny. Zawsze 1 sierpnia zbierają się przy niej harcerze, palą znicze i śpiewają „Pałacyk Michla” – tak jak śpiewała ona... *Czuwaj wiara i wytyczaj słuch...*

**Gdy goniliśmy z Wojtkiem
trójkę, nie wiedzieliśmy,
że przeskakujemy cały świat**
[fragment otwierający]

„As the present now/ Will later be past”
The times they are a-changin’
Bob Dylan

Zraszając muszlę pomyślałem, że gdybym sobie z nagłą, ni zowąd, ot tak se, dla powszechnej rozrywki publicznej gawiedzi, trzasnął głową w ostry kant kafelek po prawej, naszliby mnie najwcześniej za kilka dób, jako że długawy weekend nastał. „Kim byłem, kiedy piłem?” – rozważał Piotr, który przestał spożywać. Spoczywa. Nie dotarłem na wieńczącą dyskursję [sic!]. Nadrobimy, gdy w tempo finalnej pieśni ze „Stationary traveller” skierują prochy na terenie protestanckiego osiedla św. Jana w Mikołowie do zarządzanego przez niego kotła okupowanego przez profesjonalistów z ligi HFA, starych rutyniarzy z formacji: Alfa, Beta, Gamma, Delta i Epsilon.

Dopadły mnie kompletnie niespodzianie cztery mendle. Kopa lat. Zastanawiam się, co sprawił czas z precudownymi dziewczynami z teledysku „Runaway” Dela Shannona. Tacy młodzi oglądaliśmy ten serial z Jolą namiętnie jak „Allo, Allo!” i „The Wonder Years”; powtórek „Konia, który mówi” oraz „Bonanzy” na opanowanym przez tabun myszy poddaszu szkoły w Czułowie nie zdzierżyliśmy.

Weź przed snuciem dowolną książkę i przeczytaj głośno czwarte słowo z dziewiątej linijki na sześćdziesiątej trzeciej stronie. Albo dziewiąte w czwartym versie, bo może wyznajesz amerykańską kategorię paginacji. Zapisz, prześlij do najbliższych lub w kosmos 1999, ewentualnie: 2001, gdy Emilia ruszyła w prywatną odyseję.

Pobrano by w takt „Baba O’Riley” odciski stóp, rozpryski moczu, ślady spleśniałej spermy, pozostałości ostatniego smarku. Może podumaliby nawet, czy to była kafla, „synku, czy to serce pękło?”. Krew, pot i parę łez w Las Vegas z oplakującą wycięcie mirabelki Genowefą. Myszę przemuślałem. Nie chodzi o to, żeby wszystko pamiętać, ale potrafić znaleźć, co w danej chwili jest niezbędne. „Erystykę” Schopenhauera podsunąłem chrześniakowi. Korzysta.





Od kiedy T. S. Eliot pierdnął, że to kwiecień jest najokrutniejszy, w państwie wierszorbów zaczął się wyścig na kolejne miesiące. Teraz gorący październik po upalnym wrześniu, listopad szczerzy rząd siekaczy. – Odkąd Bogdan zrobił sobie zęby, czasem wręcz się do nas uśmiecha – puścił w redakcji bąka Boguś. Liczyłem, że nie dostrzegą. Doskonale wiedzą, że dla mnie uśmiechnąć się to tak, jakby się publicznie obnażyć; jaki cel wprowadzać rzeszę panów w małostkowe kompleksy? Aktualnie brygada beznamiętności strzeże bram Jeruzalem, przy okazji napierdala rakietami w Gazę, ponieważ zawiaduje nią horda terrorystów, którzy obcięli główki ich dzieciom, dlatego należy zmieść cudze pomioty, bo nie każde nasze jest. Ważne są tylko: mojość, świętość, humor i matczyzna.

Od czterech lat nie byłem na żadnym ślubie, jest za to problem ze zliczeniem pogrzebów. – Pan zauważył, że nasze dni zaczęły się kurczyć? – zagadnął mężczyzna z podartą twarzą, kiedy paliłem codziennego peta na ławce vis-a-vis Rafała, który nie skończył krucjaty. – Od czasu do czasu sklejam odpryski, a po umiejętnym ułożeniu rozbijam je ponownie, to skraca dystans pomiędzy teraz i wtedy – objaśniłem mu instrukcję swojego tajemnego wehikułu.

Gdybym przed rokiem, zgodnie z sugestywnie zakorzenionym mi przez JacPo przeświadczeniem, odebrał za „Lękopisy dla kotanki” Nike, podczas transmitowanej do całej Tralfamadorii przez tzw. rzetelne wolne media relacji, jeśli bym w ogóle na tę scenę dotarł po schodkach, na których Gala dostąpiła spektakularnej wyjebki, bąknąłbym o elementarnej sprawiedliwości – fetowano na niej cane, zatem kotom także coś od tego mondo przysługuje. Komu w drogę, temu termos kawy pełen. Bez cukru. Hipisi też będą łysi.

Wieczorem wsiąknęłam w miasto. Sentymentalny powrót do strefy skażeń. Zadupie zaczęło wypełzać ze mnie, słoma z welurów, słoi bez gumki, kwintesencja grajdołka. Łatwo się potknąć, popuścić, odizolować od stada łosi okradzionych ze znaków diakrytycznych.

„– Jestem przyszłością/ rzekł do mnie guzik [środkiem zimy 1983].
– Jesteś zwyczajnym guzikiem/ – odparłem/ i rozpiąłem płaszcz.”
Jedno z niewielu młodzieńczych związań, od których się po latach nie odżegnuję, aczkolwiek bardziej cenię primarum z 6 lutego '82 o zaufaniu. Rozbłysło mi w głowie w trakcie mijania wartowniczej budki koszar w Makoszowach. Wiatr miota smętnym powrozem.

O kazaniach cieszyńskiego Bartelmusa z dwujęzycznością, *memento mori* i patentem tolerancyjnym w tle

KATARZYNA SZKARADNIK

Przed kilkoma laty na łamach „Śląska” (2016, nr 7) profesor Jan Miodek analizował typowo dzisiaj śląskie, a zarazem staropolskie formy językowe w kazaniu na okoliczność założenia kościoła w Golasowicach – wtedy świeżo wydanym jako druk bibliofilski, wygłoszonym zaś w 1765 r. przez Zygmunta Bartelmusa, długoletniego pastora w Pszczynie, rodem z Bielska. Stąd w tytule niniejszego tekstu precyzujące określenie „cieszyński” przy nazwisku młodszego brata owego duchownego, Traugotta, który od 1760 r. pełnił analogiczną służbę w parafii ewangelickiej w Cieszynie. Właściwie jednak powinnam użyć przydawki o zdecydowanie szerszym zakresie, gdyż bohaterowi tego szkicu powierzono obowiązki generalnego superintendenta (odpowiednik biskupa) dla Moraw, Śląska i Galicji, a więc rozległej diecezji. Był pierwszą osobą, która piastowała rzeczony urząd, czego przyczyna jest prosta: utworzono go dopiero w 1784 r., trzy lata po ogłoszeniu przez cesarza Józefa II patentu tolerancyjnego dla ewangelików.

Jeśli mijający 240. rok od powstania superintendencji w monarchii Habsburgów nie wydaje się dostatecznym pretekstem do przypomnienia o Traugocie Bartelmusie, to mogę się jeszcze powołać na 215. rocznicę jego śmierci. Wszakże nie zdolności administracyjne tego księdza – któremu przyszło nadzorować nowe zbory wyodrębniające się z parafii cieszyńskiej i mogące teraz legalnie odprawiać nabożeństwa – skłoniły mnie do napisania artykułu; impuls taki dały mi, podobnie jak profesorowi Miodkowi, kazania. Otóż Traugott pozostawił po sobie w bibliotece zbiorowej (obecnie: Biblioteka i Archiwum im. B.R. Tschammera) pięć woluminów – łącznie ponad 1400 stron – tego rodzaju mów. Skromny ich wybór wraz z opracowaniem ukaże się w serii Bibliotheca Tessinensis, w ramach projektu kierowanego przez profesora Janusza Spyry, jako rozdział w tomie zawierającym nowożytnie źródła narracyjne do dziejów Kościoła ewangelicko-augsburskiego na Śląsku Cieszyńskim.

Czytelnikom „Śląska”, którzy z pasją zgłębiają historię szeroko rozumianego tytułowego regionu, z pewnością wiadomo, że w epoce kontrreformacji w państwie habsburskim wykształcił się i umocnił wśród miejscowych ewangelików zwyczaj lektury kazań, co wówczas miało szczególną wagę. Ich drukowane zbiory, na ogół wzorowane na *Hauspostille* Marcina Lutra, często stwa-

rzały jedyną szansę na kontakt z komentarzem do Słowa Bożego, skoro publicznych nabożeństw zabroniono. Warto nadmienić, że ta specyficzna forma religijności ewangelickiej występowała także m.in. w Księstwie Brzeskim, czyli rejonie Dolnego Śląska, z którym wiążą się nazwiska takich duchownych jak Adam Gdacjusz czy Christian Rohrmann. Ich kazania i inne utwory o charakterze pobożnościowym również były rozpowszechnione w Księstwie Cieszyńskim, gdzie w pierwszej ćwierci XVIII w. pojawiły się wreszcie rodzime wydawnictwa tego typu. Przy czym w kontekście spuścizny homiletycznej Bartelmusa istotna jest wielojęzyczność protestanckich druków religijnych na Śląsku – autorzy pisali bowiem po łacinie, po niemiecku oraz w polskim narzeczu śląskim. (Zainteresowanych fenomenem i rolą kaznodziejstwa ewangelickiego wypada tu odesłać do książki *Kazania cieszyńskie. O ich języku w Kościele luteranckim* Jany Raclavskiej, Urszuli Kolber i Józefa Szymeczka, opublikowanej w 2022 r. w Czeskim Cieszynie).

Już po patencie tolerancyjnym funkcję pastora w nowo powstających zborach na Śląsku Cieszyńskim nieraz obejmowali absolwenci studiów teologicznych wywodzący się z Moraw, Słowacji, a nawet Węgier lub mający korzenie niemieckie. Zważywszy na język, jakiego używała znakomita większość miejscowych wiernych, przyswajali sobie na potrzeby posługi (lokalną) polszczyznę, w której nierzadko osiągnęli biegłość. Do takich duchownych należał choćby Wilhelm Raschke, żyjący w pierwszej połowie XIX w. pastor w Bystrzycy, którego poczytną postyllę w języku polskim *Kazania na lekcje niedzielne i świąteczne* odbiorcy zwali swojsko „Raszkuł”. Notabene, warto przytoczyć z niej fragment przedmowy ks. Karola Michejdy (1855–1924, pastora w Bystrzycy), potwierdzający tradycję i znaczenie luteranckiego piśmiennictwa homiletycznego na Śląsku Cieszyńskim: „Może niejeden łaskawy czytelnik się zapyta: Czyż nie mamy już dosyć drukowanych kazań? Prawda! Ma nasz lud kazania Dambrowskiego, ma kazania Grzegorza z Żarnowca, ma postyllę dra Marcina Lutra, ma na ostatku kazania nieodżałowanej pamięci ks. dra Otto. Wiemy, ile błogosławieństwa z tych ksiąg spłynęło i ile jeszcze spłynie na nasz lud ewangelicki, wiemy też, iż trudno dać ludowi coś lepszego w rękę nad owe książki, a przecież z ufnością wydajemy kazania ks. Wilhelma Raschki, tusząc sobie, iż

czynimy dobrą przysługę naszemu miłemu ludowi ewangelickiemu” (1888, s. 3). Skądinąd z czasem zaczęły powstawać poradniki dla kaznodziejów ze wzorami mów na rozmaite okazje, np. *Vademecum pastorale, czyli Książeczka doręczna dla pastorów ewangelickich. Obejmująca mowy przygodne, formuły i modlitwy potrzebne przy różnych sprawach kościelnych* z 1866 r. autorstwa Roberta Fiedlera, pełniącego służbę w parafii w Międzybórz na Dolnym Śląsku.

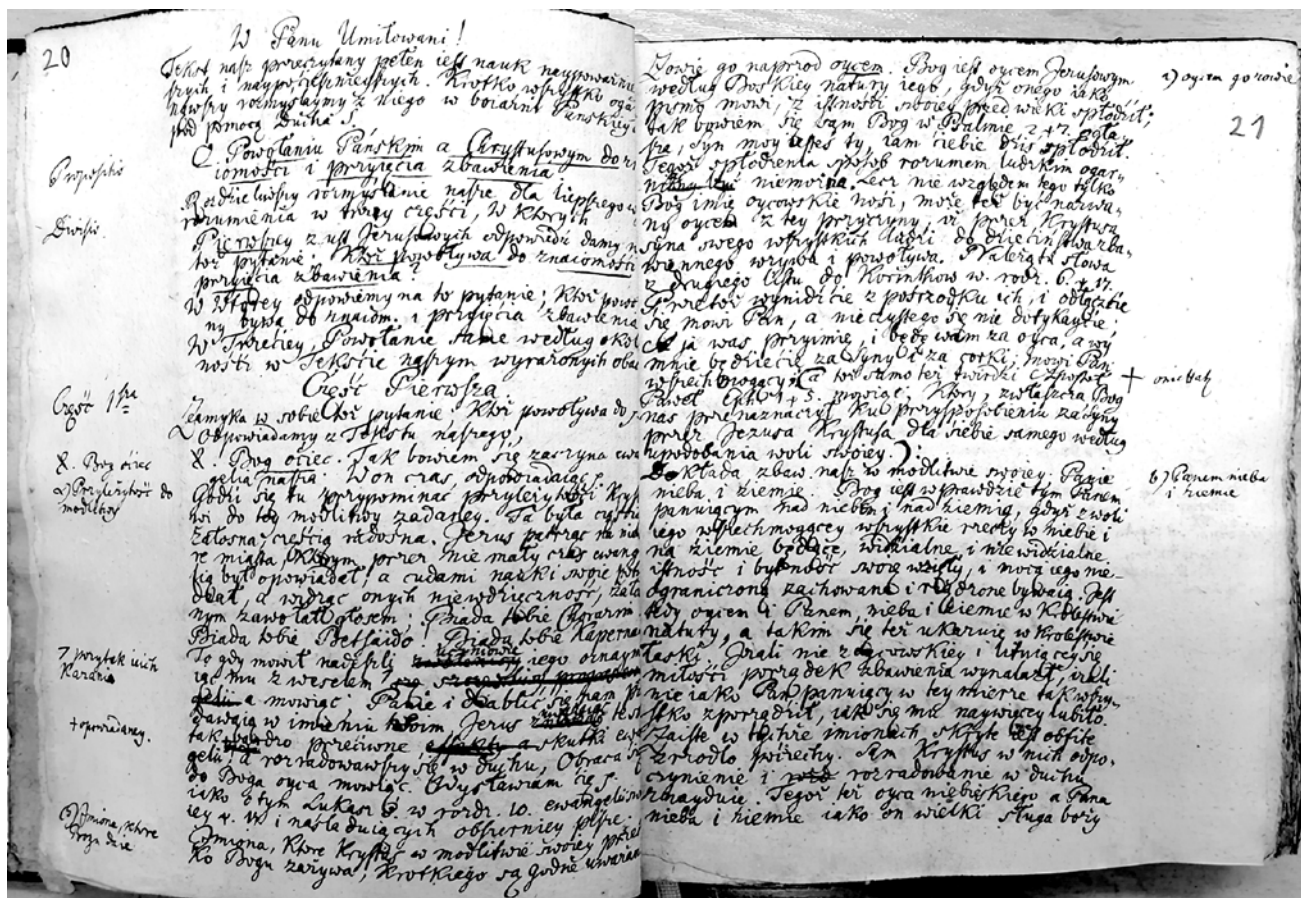
Niemiecki był jednak w monarchii Habsburgów językiem urzędowym i uznawanym powszechnie za spoiwo z kulturą „wyższą” niż kultura ludu, a zarazem za przepustkę do awansu społecznego, nic zatem dziwnego, że wielu pastorów w Cieszyńskim, chociaż nabożeństwa odprawiało po polsku, drukowało własne teksty głównie po niemiecku. Spora część wszakże nie kryła się z zamiłowaniem do mowy Kochanowskiego i Reja ani nie popierała przepisów nakładających obowiązek używania niemieczyny. Co ciekawe, przeciwko jej wyłączności w nauce gimnazjalnej opowiadał również – mimo swego pochodzenia – Traugott Bartelmus, piastujący też funkcję inspektora szkolnego. Jak na podstawie zachowanych kajetów podopiecznych gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie skonstatował ks. Andrzej Buzek: „[...] w pierwszej połowie 18. stulecia uczono już w niższych klasach dużo łaciny i niemieckiego języka, natomiast rzadsze mi są wypracowania polskie, przy czym posługiwano się przeważnie narzeczem. Z końcem zaś 18. [...] wieku zjawia się w zeszytach niższych klas piękna, literacka polszczyzna i język polski, odtąd w tych zeszytach zajmuje pierwsze miejsce obok niemieckiego [...]” („Zaranie Śląskie” 1931, z. 1, s. 25). Złożoną sytuację językową w okresie działalności bohatera szkicu doskonale oddaje przekazana w *Dziejach Kościoła ewangelickiego w Księstwie Cieszyńskim* ks. Karola Michejdy (1880–1945, pastora w Krakowie, później profesora teologii na Uniwersytecie Warszawskim) informacja o jubileuszu stulecia wyznaczenia miejsca pod budowę kościoła Jezusowego: „Obchodzono ją [pamiątkę – K.Sz.], wspominając dawne dzieje. Opisał je superintendent Bartelmus wierszem łacińskim, zastępca [zbiorowy – K.Sz.] von Klettenhof pismem niemieckim, które pojawiło się także w języku polskim, pod tytułem: *Pamiętniki kościoła ewangelickiego z łaski danego przed Cieszynem* [...]. Po niemiecku kazał ks. senior Schmitz z Bielska, po polsku ks. Henryk Juliusz Kotschy, pastor cieszyński [...]” (1909, s. 254).

We wzmiankowanych pięciu woluminach rękopiśmiennych kazań Bartelmusa bezspornie dominują (w stosunku ok. 153 do 13) te w języku polskim. Nie mamy do czynienia z potencjalną postyllą, tj. zbiorem mów na kolejne niedziele i święta roku kościelnego, jako że większość stanowią kazania okolicznościowe, a ściślej biorąc: funeralne, z których niemal bez wyjątku składa się trzy tomy. Co łatwo przewidzieć, o ile teksty poruszają tematykę religijną zawierają objaśnienie kwestii doktrynalnych, o tyle te związane z różnymi wydarzeniami dodatkowo w pewnym stopniu odzwierciedlają realia historyczno-społeczne. W przypadku spuścizny śląskiego superintendenta do takich wydarzeń należał zatem zwłaszcza pogrzeby, a ponadto instalacja nowego pastora, poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę domu modlitwy w którejś z pobliskich miejscowości czy np. rocznica ogłoszenia patentu tolerancyjnego. Nie odnaleziono natomiast wśród Bartelmusowych kazań równie barwnego jak chociażby filipika przeciw pijaństwu pod tytułem *Gorskie kapki, ale zdrowe*, którą w 1833 r. dołączył do swojego wydania katechizmu Lutra ks. Karol Kotschy z Ustronia.

Mowy śląskiego superintendenta będące egzegezą fragmentów Biblii przeznaczonych do rozważenia zgodnie z rokiem liturgicznym nie odbiegają treścią od kazań innych księży ewangelickich (a niekiedy i katolickich), także współczesnych. Duchowny pouczał więc cieszyńskich parafian

m.in. o tym, że prawdziwy chrześcijanin jest nowym stworzeniem w Chrystusie, o prawie do bycia synami Bożymi, o właściwym korzystaniu z odkupienia, które dał Jezus, o pokorze i cichości jako potrzebnych cechach Jego wyznawców czy o tym, na kogo i z jakim skutkiem Bóg obiecał wylać swego Ducha. Przytoczyłam wybrane tematy z tomu obejmującego wcześniejsze kazania; podobnie w tomie gromadzącym niedziele i świąteczne mowy z dwóch ostatnich dekad życia autora pojawiają się kazania pasyjne, godowe (np. o nabożnym i użytecznym obchodzeniu Bożego Narodzenia) i noworoczne oraz na zwykłe niedziele roku kościelnego, m.in. o radowaniu się w Panu, o tym, że „szczerze do Boga nawrócenie jest drogą istą do odwrócenia kaźni i nabywania miłosierdzia”, o tym, co się godzi, a czego się nie godzi czynić, o wspólnym przekazie Nowego i Starego Testamentu w zakresie wiary i pobożności, o własnościach modlitwy przyjemnej Bogu, o duchu jedności, o prawdziwej pokucie, o opatrności Bożej, o tym, dlaczego nasładowujący Chrystusa są nienawidzeni przez świat, chociaż bardziej niż inni ludzie są godni miłości, itp. Dzisiaj oprócz luteranów, którzy – zgodnie z tradycją czytania postylli i odprawiania nabożeństw domowych – może chcieliby się zapoznać z wykładnią owych zagadnień sprzed ponad dwustu lat, tego typu kazania przypuszczalnie zainteresowałyby głównie teologów, historyków literatury religijnej i historyków języka.

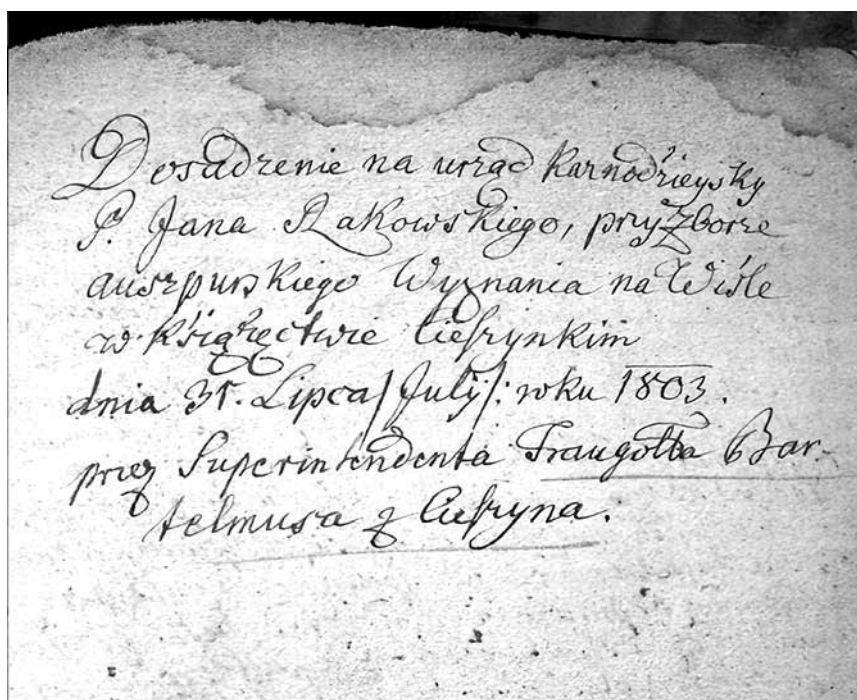
Nawet jednak na osobach obojętnych wobec chrześcijańskiej czy *stricte* ewangelickiej wiary i dogmatyki mogą wywrzeć wrażenie kazania funeralne, które tworzą istny *danse macabre* – korowód zmarłych obrazujący panoramę społeczną Śląska Cieszyńskiego z przełomu XVIII i XIX w. Na kartach Bartelmusowego manuskryptu sąsiadują ze sobą przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, którzy opuścili padół łez w różnym wieku i w rozmaitych okolicznościach. Mowy pogrzebowe i „pamięteczne” (czyli wspomnieniowe, wygłaszane na ogół w niedzielę dwa tygodnie po zgonie) są bowiem poświęcone w pierwszym z trzech tomów m.in. „Jerzemu Piętakowi, wolnemu z Bobrku, zmarłemu [...] bez wiadomości domowników”, baronowej Elżbiecie Kalisch z domu Petroczy, Adamowi Wacławowi Marklowskiemu, panu na Simoradzu i Pawłowicach, „uczciwej żenie, nieboszczce Zuzannie Szczukowej, małżonce Jendrzeja Szczuki, wachtarza kościelnego”, a także młynarzowi czy najemnikowi na folwarku. W drugim tomie myśli kaznodziei i słuchających go żałobników kierują się m.in. ku Annie Niesytce (Niesytowej), niegdyś żonie mistrza piekarskiego we Fryszacie; Gotfrydowi Logauowi z Altendorfu, panu na Trzyciezu; Helenie, małżonce Jana Marka, komornika w Nieborach; Annie, wdowie po Jędrzeju Motyce, „fojcie [wójcie – K.Sz.] na Bobrku”; „wysocy szlachetnie urodzonej” Ewie Charlocie Radockiej z Radoczy;



Fragment najstarszego zachowanego kazania ks. Traugotta Bartelmusa, który wygłosił je w dniu św. Macieja 1758 r., czyli już dwa lata przed ordynacją i otrzymaniem stanowiska pastora w Cieszynie

Janowi Mięcielowi, chałupnikowi z Markłowic; „Susannie Ferenzowej, która w poro-dzie umarła”; Marynie, niezamężnej córce „siedloka” Jerzego Ziętka z Ustronia; kowa-lowi Adamowi Raszce z Dziegielowa; „Zu-zannie, Pawła Miecha, sprawcy [zarząd-cy – K.Sz.] Pańskiego w Kocobendzu je-dzinej córeczce, która w jedenastym roku [...] umarła”; „Gerzimu [Jerzemu – K.Sz.] Kocurowi, Wymownikowi z Guttów, któ-ry [...] u miłośniernych skonał”; czy wresz-cie ku młodemu mężczyźnie, o którym su-perintendent napisał: „[...] bieg swój we Widniu dokonał [...] Nieb[oszczyk] uczci-wy młodzieniec Jerzy Kotas, wyuczony Ku-piec a Szpeditör towarów, Syn pośredni Uczciwego męża Jerzygo Kotas, wolnego i Fojta dolnożukowskiego [...], wymiar dni jego czyni 25 lat [...]”. Kazania pogrzebowe i wspomnieniowe z trzeciego tomu są zaś poświęcone np. Ernestowi Bludowskiemu, panu na Orłowie i Łazach (ponadto także członkowi – m.in. wraz z Bartelmusem – Konsystorza, czyli rady sprawującej wła-dzę administracyjno-sądową w Kościele); „Jakubowi Krzywoniowi, który na Wojnie będąc, a we Widniu leżąc [...], kąpiąc się z kamratami, w Donaju się utopił”; „Ja-nowi Wojnarowi, bywałemu Mieszczani-nowi w Skoczowie, kiedyś najemnikowi Grodzieckiemu” czy – co szczególnie poruszające – „2 Synom Jana Cięgla, Młyn-arza w Ropicy [...], starszemu było imię Paweł, młodszemu Jendrzej, wiek onego 5 lat 1 miesiąc 8 dni, wiek tego 15 tygodni – pierwszy umarł 14 Febr[uara] [...], wtó-ry umarł 28 Febr[uara] [...]”.

Autor nie poprzestaje na abstrakcyj-nych refleksjach o nieszczęsnej, marnej doli ludzkiej i o zbawieniu jako ostatecz-nym przeznaczeniu wierzących w Jezu-sa, lecz indywidualizuje portrety zmar-łych, przybliża odbiorcom ich charaktery, uczynki i ostatnie chwile życia. Dodatko-wo, aczkolwiek w wizerunkach nieboszczy-ków podkreśla cnoty wspólne pobożnym chrześcijanom, nieco inaczej, rzecz jasna, przedstawia reprezentantów szlachty, ina-czej – chłopów i mieszczan. Można jednak znaleźć zbieżności m.in. jego w opisach ko-biet różnych stanów, co analizuje Jana Rac-lavská w artykule *Obraz ženy v protestant-ských kázáních XVIII. století na Těšínsku*, opartym właśnie na przykładach z rękopi-sów Bartelmusa. Frapujące jest również choćby zestawienie dwóch mów funeral-nych wybranych do opublikowania w se-rii *Bibliotheca Tessinensis*, tj. „kazani[a] pamiąteczne[go] na Niedzielę św. Trójcy, dnia 21 Maja 1780 Nieboszce [!] Wysoce słachetnie urodzonej Paniej Maksimilia-nie Laryszce, rodzonej Holinej, dziedzicz-nej Paniej na Hażlachu, w książeństwie Cie-szyńskim, a na Mszanie w Państwie Wo-dzisławskim, na Pruskiej Stronie” z 1780 r. oraz kazania na pogrzebie „młodzieńca Nieboszczyka Jana Kotas, jedzinego Syna Pawła Kotas, Chałupnika a bywałego Foj-ta tu w Oldrzychowicach” (ten dwudzie-stolatek zmarł po zachorowaniu w trak-



Nagłówek jednego z kazań okolicznościowych ks. Traugotta Bartelmusa.

cie służby w armii austriackiej na Lubelsz-czyźnie mimo poświęcenia ojca, który nie szczędził wysiłków, by wyostać jednaka z wojska i sprowadzić do domu).

Mowy funeralne zdają się więc bardziej poruszające, ale czytelnicy tych kazań su-perintendenta, które zostaną wydane jako teksty źródłowe, będą mogli się przekonać, że godne uwagi są także inne, np. młodzień-cze kazanie o zbawieniu na dzień św. Ma-cieja Apostoła czy kazanie na okoliczność instalacji na stanowisku pastora w Wiśle ks. Jana Rakowskiego w 1803 r. Poza tema-tyką i uchwyconymi rysami obyczajowy-mi warto odnotować też ich walory języko-wo-literackie. Humanista samouk i chłop-biblioofil Jan Wantuła z Ustronia w liście z 1950 r. do ks. Jana Stonawskiego dono-sił: „Swego czasu dał mi ks. Wrzecionko foliał rękopiśmienny z konceptami pol-skich kazań [...]”. Nie miałem dotąd cza-su zająć się tym bliżej, bo dość niewyraź-nie pisanie. Stwierdziłem, że to kazania superintendenta ks. Bartelmusa z okre-su 1771–1783. [...] Jedno z kazań odpisa-łem, na założenie czy poświęckę [roczni-cę założenia lub poświęcenia – K.Sz.] ko-ścioła w Cieszynie (1783), bo z rękopisu bardzo źle odczytywać. Pisane b[ardzo] dobrym językiem. A równocześnie pra-wie [akurat – K.Sz.] dla porównania zają-łem się kazaniem kat[olickiego] księdza Henryka Brauna [...] [pracującego w tam-tych czasach – K.Sz.] w Puńcowie. [...] Nie używa »w«, ale »v«, wyjątkowo »t«, a sta-le pisze »bendom« itp. Prostacki język lu-dowy, upstrzony łąciną i wtrętami obcy-mi” (cyt. za: *Zmieszany zapach książek i ja-blek. Wybór korespondencji Jana Wantuły z lat 1899–1953*, s. 287–288). Chociaż de-precjonujący sąd o pismach tego drugie-go duchownego należałoby zakwestiono-wać (jak czyni Jadwiga Wronicz, autorka

pracy *Kazania cieszyńskie z XVIII wieku ks. Henryka Brauna. Tekst i analiza języ-ka*), mowy pierwszego, czyli śląskiego su-perintendenta, istotnie cechują się stosun-kowo niewielką liczbą regionalizmów (np. bohemizmów) i archaizmów; zresztą sporo form, które obecnie mają taki status, wte-dy mieściło się w odmianie ogólnej. Bartel-mus niewątpliwie był odczytany, sprawnie posługiwał się współczesnym mu językiem polskim i klarownym stylem oratorskim, łącząc figury retoryczne ze zrozumiało-ścią dla przeciętnego słuchacza. Można by owe teksty określić je tak, jak Paweł Musioł w *Piśmiennictwie polskim na Ślą-sku do początków XIX wieku* scharaktery-zował kazania Gdacjusza: „Nieobciążone balastem nieaktualnej już dziś uczoności, nieodarte dzięki temu z uczucia, przepo-jone więcej niż inne obyczajowością, prze-mawiają do nas i jako dokument ówczesno-ści, i jako dokument gorącego serca auto-ra. Talent też literacki »sługi słowa Bożego [...]« święci w nich [...] największe trium-fy” (1970, s. 107).

Niniejszy szkic spełni swą funkcję, jeśli choć paru jego czytelników zapragnie się zapoznać z kazaniem Bartelmusa. Nie-mniej ponieważ trzeba jeszcze poczekać na zakończenie projektu „Walka, rywalizacja, koegzystencja. Źródła do dziejów wyznaniowych Śląska Cieszyńskiego (od XVI do połowy XIX wieku)”, w ramach któ-rego opracowywane są właśnie m.in. wy-brane mowy superintendenta, uznałam, że warto dać tutaj ich przedsmak. Dlatego za-mieszczam dłuższy passus z jednego spo-ród nich po częściowym zmodernizowa-niu pisowni gwoili lepszej zrozumiałości. Jest to urywek niekompletnego kazania z 1806 r. na rocznicę ogłoszenia patentu tolerancyjnego – jak przypomina autor, „pamiętka tegoż ostatniego udarowania

co rok w niedzielę po 13. dniu października obchodzona bywa po wszystkich krajach Cysarskich w zborach auszpurskiego i helweckiego [ewangelicko-augsburskiego i ewangelicko-reformowanego – K.Sz.] wyznania”. (W edycji znajdzie się druga z dwóch zachowanych, tym razem w całości, mów przeznaczonych na tę okazję). Temat przewodni brzmi: *O prawym a słusznym zażywaniu swobody sumienia i wolności nabożeństwa*, jednak najciekawsze wydają się detale opisu wydarzeń historycznych: zarówno fakty, jak i przydawki czy metafory użyte przez kaznodzieję.

„Z niedzielą dzisiejszą obchodzimy z tysiącami domowników wiary naszej w Cysarsko-Królewskich krajach mieszkającymi uroczystą pamiątkę darowanej ewangelikom swobody sumienia i wolności nabożeństwa – Czego się dawni przodkowie

naśladowcy naukę wyznania auszpurskiego doczekać nie mogli, to się jejich działkom i potomkom dostało. Pierwiastki Kościoła ewangelickiego niemal w wszystkich krajach Cysarsko-Królewskich szczepione były na początku odnowienia nabożeństwa – a w Śląsku, owszem i w tym naszym księstwie [cieszyńskim – K.Sz.], wielki był poczet ewangelików mających swoje swobodne nabożeństwo – ale za czasem go stracili – nad sto lat byli bez kościołów i pasterzów duchownych, tam i sam chodząc, pokarmu dusznego łowiąc, a z wszelką trwogą podstępując – Przez ten czas doświadczenia rozsiewali z łzami drogie nasienie, z którego owoc pożądany wykwitnął –

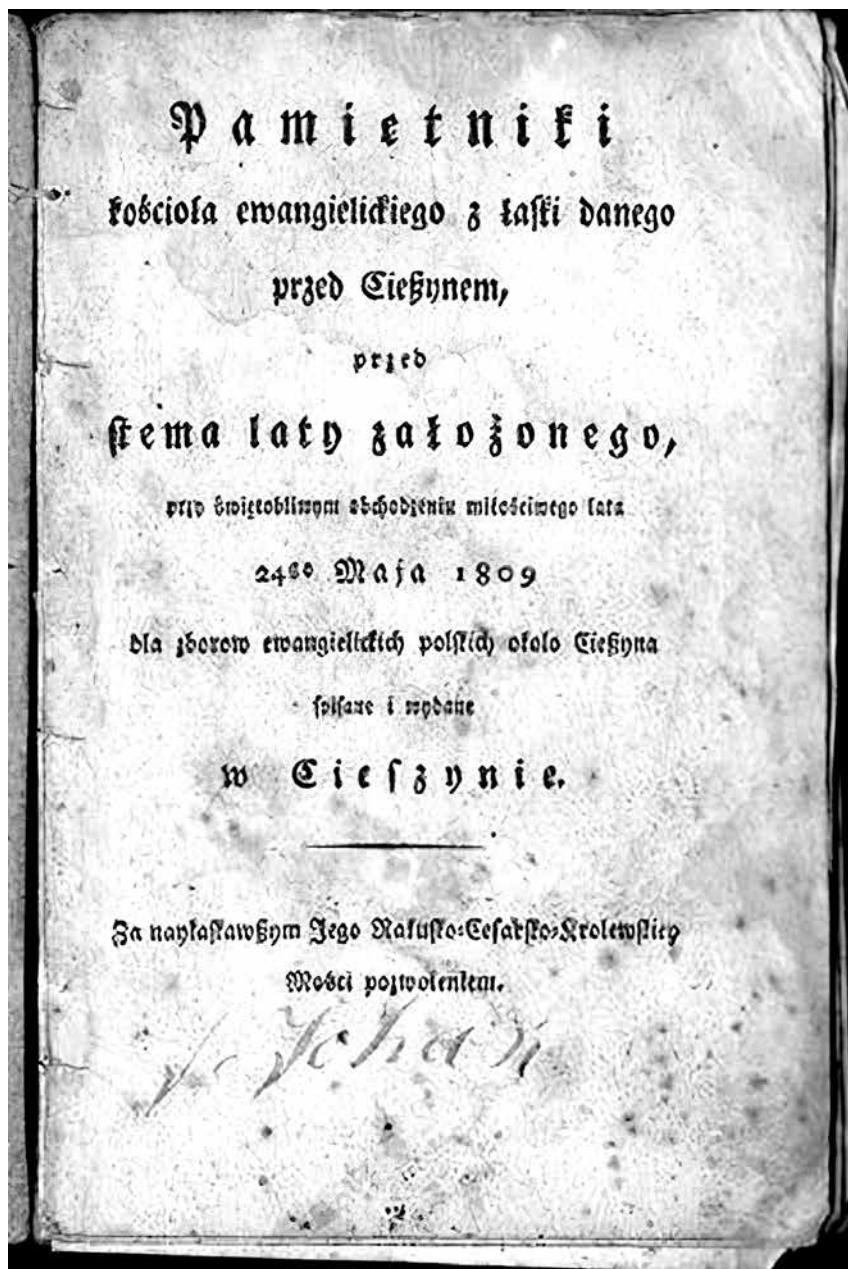
Na początku bowiem wieku przeszłego wzbudził B[óg] ducha Cysarza Rzymsk[iego] we Węgrach i Czechach, króla – Pana

śląskiego kraju – na on czas panującego Józefa Pierwszego, a nakłonił k temu, że za przymową króla Szwedzkiego Karła XII a mocą ugody z nim uczynionej roku 1707 w dolnim Śląsku przywrócił ewangelikom wiele kościołów, a nadto sześć nowych wystawić dozwolił, z których jeden tu do Cieszyna się dostał. Dla tego roku 1709 dnia 24 Maja przez Cysarsko-Królewskie komisarze to miejsce na wystawienie kościoła obrane, wymierzone a naznaczone i tegoż właśnie dnia odprawowaniem nabożeństwa poświęcone było, tak że już 98. rok idzie od założenia kościoła tego. Do niego się schodzali [!] ewangelicy na górnym Śląsku mieszkający od 12 mil, a to trwało do 33 lat [czyli do 1742 r., gdy w wyniku I wojny śląskiej przeważająca część regionu znalazła się w granicach Prus – K.Sz.]. Za odmianą państwa na Śląsku nastąpiły w sąsiedztwie domy modlitelne, a goście kościelni od tegoż kościoła [Jezusowego w Cieszynie – K.Sz.] odstąpili – tak że on w sobie tylko zawierał ewangeliki w Cysarsko-Królewskim Śląsku mieszkające – w tym sposobie został do 40 lat –

Nowa potem i rozszerzona swoboda nastąpiła za panowania Cysarza i Króla Józefa II błogosławionej pamięci – który roku 1781 dnia 13 Października wydał Dekret łaskawy, że wolno będzie ewangelikom auszpurskiego i helweckiego wyznania stawiać sobie domy modlitelne, a w nich nabożeństwo odprawiać [...] – My zaś, którzyśmy przed tym dzień założenia naszego kościoła święcili – teraz z domownikami wiary naszej pamiątkę swobody sumienia i wolności nabożeństwa – obchodzimy [...]”.

Historyk dodałby w tym miejscu, że choć patent tolerancyjny umożliwił ewangelikom odprawianie nabożeństw oraz rozwój życia duchowego i struktur organizacyjnych Kościoła, wciąż nie dysponowali oni pełnią uprawnień. Nawet patent cesarski z 1849 r., przyznający wszystkim konfesjom w monarchii swobody religijne, pozostawiał szkolnictwo czy księgi parafialne pod kontrolą księży tego wyznania, które preferowały władze. Faktyczne zrównanie innowierców z katolikami w państwie austriackim nastąpiło dopiero w roku 1861 r. dzięki ogłoszonemu przez Franciszka Józefa I patentowi protestanckiemu, który potwierdzał dotychczasowe oraz nadawał ewangelikom nowe prawa kościelne.

Dla cieszyńskich luteranów wszakże postanowienie patentu tolerancyjnego z 1781 r. miały nieocenione znaczenie, zatem trudno się dziwić, że w czasach Traugotta Bartelmusa i później obchodzili pamiątkę jego wydania. Dziś zaś warto upamiętnić jednego z wybitniejszych duchownych ewangelickich tamtej epoki w monarchii Habsburgów – pierwszego superintendenta dla Moraw, Śląska i Galicji, członka Konsystorza, niemal przez pół wieku pastora w Cieszynie, inspektora szkolnego i (co nie mniej ważne) cennego kaznodzieję.



Strona tytułowa historii kościoła Jezusowego w Cieszynie napisanej przez Jerzego F.E. Klettgo z Klettenhofu z okazji 100-lecia wyznaczenia miejsca pod budowę świątyni. Dziełko wydane zostało w 1809 r. w dwóch wersjach językowych i jest jednym z najstarszych druków cieszyńskich. Wkład w przygotowanie obchodów jubileuszu miał też superintendent ks. Bartelmus, który kilka miesięcy później zmarł w wieku niespełna 74 lat.

W labiryncie Dąbrowskiego

Z JÓZEFEM BARANEM rozmawia MIROSŁAWA SZOTT

Tadusz Dąbrowski

Zdanie

To jakbyś obudził się
w zamkniętej celi i znalazł
w kieszeni kartkę, a na niej jedno
zdanie
w nieznanym ci języku.

I wiedziałbyś, że to zdanie jest kluczem do twojego
życia. I do tej celi.

I spędziłbyś lata, próbując zrozumieć to zdanie,
aż wreszcie byś je pojął.

Po jakimś czasie zrozumiałbyś, że znaczyło
coś zupełnie innego. I tak miałbyś dwa zdania.

A potem trzy i cztery, i dziesięć, aż stworzyłbyś nowy język.

Napisałbyś w tym języku powieść swojego życia.
I gdy byłbyś już stary, spostrzegłbyś, że drzwi celi
są otwarte. Wyszedłbyś w świat. Schodził go wzdłuż i wszerz,

aż w cieniu wielkiego drzewa zatęskniłbyś
za tamtym jednym zdaniem w nieznanym ci języku.

Mirosława Szott: Od czego byś zaczął, gdybyś chciał zachęcić uczniów do rozmowy o tym wierszu? Bo ja od tego, żeby każdy spróbował narysować sobie na kartce ten utwór. Spróbowałbyś?

Józef Baran: Nie mam talentu do rysunków, nie potrafiłem w szkole narysować nawet konia, ale gdybym umiał to zrobić – narysowałbym np. jakieś labirynty nachodzące na siebie, spiętrzające się – na tle np. kosmosu i wygwieżdzonego nieba, a w środku, w samym epicentrum, w głębi tych labiryntów – cła z siedzącym facetem o nieokreślonych rysach, czyli człowieka w ogóle, z fajką i w okularach w pozie myśliciela, bo wtedy kojarzyłoby mi się to z Tadeuszem Dąbrowskim dzisiejszym, a więc trochę innym niż go zobaczyłem po raz pierwszy 25 lat temu.

MS: W Twoich *Tragarzach wyobraźni* masz z nim ciekawą rozmowę, w której Twój rozmówca powiedział takie zdanie: „Poezja to labirynt, w którym się błądzi bez końca, lecz w którym nie sposób się zgubić”. Kiedy pytałam Cię o rysunek, nie chodziło mi o jakieś wykazywanie się talentem plastycznym. Raczej o transpozycję z jednego kodu w drugi. Tu jest duży ładunek filozoficzny przekazany za pomocą bardzo prostych narzędzi. W tym wierszu wyobrażam sobie wszystko po kolei – wers za wersem. Zaczyna się jak thriller. Budzę się (tekst jest konsekwentnie prowadzony w drugiej osobie liczby pojedynczej, więc bohaterem jest każdy z nas) ze snu, choć nie wiadomo, czy właśnie nie zasnąłam (jak u Calderona). Jest cła, zamknięcie, mam na sobie ubranie, bo w kieszeni znajduję kartkę ze zdaniem, którego jednak... nie rozumiem. Wciąża Cię ta poetycka opowieść?

JB: Według mnie ten wiersz jest w całości dużą metaforą ludz-

kiej sytuacji – o tej dziwnej, niesamowitej przygodzie dwunożnego ssaka pod słońcem i gwiazdami. Przecież my wszyscy jesteśmy uwięzieni w celi swoich losów i staramy się przez cały świadomy czas odgadnąć, co my tutaj właściwie robimy i po co jesteśmy, jaką rolę odgrywamy, jakie kwestie i właśnie dla czego te, a nie inne, wypowiadamy. Wyjaśnienia należy szukać w kartce ze zdaniem w obcym języku. Norwid w *Ogólnikach* mówi, że w wiosnie życia wolno mówić, że „ziemia jest krągła – jest kulista”, a dopiero później można dodać, że ziemia jest „u biegunów spłaszczona nieco”. Jego wiersz kończy się:

Ponad wszystkie wasze uroki,
Ty, poezjo, i ty, wymowo,
Jeden – wiecznie będzie wysoki:
Odpowiednie dać rzeczy słowo!

„Odpowiednie” na różnych etapach życia... Na starość, kiedy już się n a u m i e m y „zdań” i wiemy, że „nic nie wiemy”, może znowu powracamy do prostej wiary z dzieciństwa. Może do *Biblij* z Adamem i Ewą i drzewem Rodzaju?

MS: Tu jest zaznaczone pragnienie powrotu do punktu wyjścia, do tego intuicyjnego dzieciństwa. Podoba mi się, że od początku do końca autor wciąga nas w tryb przypuszczający (zawiesza zupełnie pytania o prawdę i fałsz). Wróćmy jednak na chwilę do Waszej znajomości. Wygląda na to, że znacie się wiele lat. W 1999 roku przyznaliście mu pierwszą nagrodę w konkursie w Świebodzinie, piszesz o tym w tomie *dzienników* wydanych w 2010 r. Dlaczego zwróciłeś na niego uwagę? Miał dopiero 19 lat. Czy już wtedy było coś co każało myśleć, że ten chłopak ma talent?

JB: Tak, zdecydowanie. Talent rozpoznaje się po paru liniijkach, metaforach, tak jak rozpoznaje się czyjś styl, odróżnialny od innych stylów, osobowość odróżnialną od innych osobowości. Ten styl, ten sposób myślenia, wiązania ze sobą słów, zdań, konstruowania wiersza, w końcu błysk; ta maź, która spaja słowa ze słowami, zdania ze zdaniem, tak że opowieść toczy się potoczyscie, staje się całością... i nie czuje się sztucznego sztukiowania – to właśnie określamy talentem. Oczywiście styl ewoluuje, ale po wielu latach, gdy czytam wiersze Tadeusza wybrane już przez poetę-klasyka średniego pokolenia – rozumiem, że miałem wtedy w Świebodzinie „nosa”, upierając się jako przewodniczący jury przy namaszczeniu go na laureata, choć nie przypuszczałem, że tak pięknie się rozwinie, wyda ileś książek, będzie tłumaczony na inne języki i zapraszany na stypendia do Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Tu też dodam, że byłem autorem przedmowy do jego pierwszego tomiku *Wypieki*.

MS: Za co cenisz jego poezję?

JB: Kiedyś w rozmowie ze mną w Sopocie powiedział, że jak czyta wiersze Barana to zauważa, że na początku są one dostępne, a nawet czasem mu się wydaje, że zbyt łatwo dostępne, oczywiste, ale w pewnym momencie robię jako autor ten myk, to salto mortale i ten sam wiersz w dalszej części nabiera znamion oryginalności. Przyznałem mu rację, bo czasem banał jest moją przynętą, pomostem dla szerokiego odbiorcy, z którym chcę wejść w intymny kontakt. Tadeusz też dba o czytelnika, ale bardziej zależy mu na wyrobionym odbiorcy, przygotowanym do rozszyfrowywania poezji. Mnie zależy na profesorce, ale i na jej sekretarce, i jeszcze na ludziach, którzy sprzątają po nich papierki; on jest – mam wrażenie –

w większym stopniu pozamykany na skoble, ja – raczej otwarty na oścież. Tadeusz sytuuje swoje utwory między Erosem, a Tanatosem. Sporo poświęca czasu wierszom autotematycznym, wierszom o pisaniu wierszy, wychodząc z założenia, że czytelnikami poezji są dziś w większości poeci i ten temat ich interesuje. Może bezinteresowny czytelnik spoza branży jest już na wymarciu? Ja jednak wciąż jeszcze spotykam „dinozaurów” kochających słowo poetyckie ot tak, nie zawodowo. Abstrahując od sporu... Dąbrowski pięknie umie łączyć refleksyjność z intuicyjnością i świadomość z irracjonalnością. Wychodzi od osobistego i dochodzi pięknie do uniwersalnego. Poszukuje swojej tożsamości w relacjach z sobą w różnych okresach życia. Ma chęć – jak pisze w wierszu – zeskanować swoje oblicza, których nagromadziło się „za dużo”, żeby je móc „wziąć za swoje/ Zważywszy, że jesteśmy dopiero przy ciele”. Drąży wytrwale w lirykach miłosnych, w temacie relacji między kobietą i mężczyzną, między „ja” i „ty”, między synem i ojcem; bywa przy tym skondensowany, mniej wylewny niż ja, trochę skąpy w wyrażaniu uczuć, jak całe jego pokolenie. Skupiony bardzo na sobie i introwertyczny, równocześnie – paradoksalnie – otwarty na świat, na przemiany w świecie; tu chciałbym zwrócić uwagę na wiersze „reportażowe”, z podróży po Polsce i po świecie; na interesujący wiersz o bezludnym Nowym Jorku czy o wędrówce po supermarkecie, która staje się celem życia człowieka. Próbuje szukać nowego języka, by zasygnalizować sytuację „nowego” człowieka ery komputerowej i człowieka w ogóle – wrzucanego w życie jak pyłek w kosmiczny wir. Nie stroni od najważniejszych rozterek natury metafizycznej czy eschatologicznej, czego dowodem jest omawiane *Zdanie*, choć jeśli poszukuje sensu i Logosu, to nie ma to nic wspólnego z jakąś deklaratywnością religijną. Czyni to bardzo powściągliwie. Wertując tom wydany ostatnio przez PIW, znalazłem kilkanaście świetnych wierszy dla siebie, takich, które wbijają mi się w pamięć, jak choćby właśnie *Zdanie*, które kojarzy mi się jakoś z *Procesem* Kafki. A Tobie?

MS: Nawet bardzo! W końcowej części książki *Procesu* książdź przytacza Józefowi K. taką historię: mężczyzna ze wsi podchodzi do strażnika, który pilnuje wejścia do Prawa. Nie ma pozwolenia, żeby wejść. Ten mężczyzna siedzi tam latami, czeka, ale okazuje się, że nigdy tam nie wejdzie (choć wejście było przeznaczone tylko dla niego). Jacques Derrida używa tej elipsy do mówienia o dekonstrukcji, języku, niemożliwości wejścia do tekstu. Wszyscy stoimy przed tekstem, możemy jedynie mnożyć odczytania. To jest odwrotna sytuacja niż u Dąbrowskiego. W pewnym momencie jego przypowieści spostrzegamy, że drzwi celi są otwarte i bohater wychodzi w świat. Nie jestem pewna, czy one kiedyś były zamknięte. Ale też coś nas powstrzymywało, żeby przez nie przejść. Jak

Ty rozumiesz celę? Bo trudzimy się, żeby z niej wyjść. Pytanie: kto nas w niej umieścił?

JB: Może Pan Bóg, może Natura, może przypadek, może Przeznaczenie? W wierszu nie ma gotowych odpowiedzi, choć... czy ja wiem... jest drzewo rodzaju. Chrześcijanie mają swoją odpowiedź i opowieść, Żydzi inną, islamici jeszcze inną itd. Ateiści upierają się przy przypadku. Dąbrowski twierdzi, że każdy dostaje kartkę ze zdaniem, w którym jest zawarte wszystko.

MS: Odczytuję *Zdanie* jako medytację nad tajemnicą języka. Czy potrafimy rozumieć to, co nas otacza, bez języka? Można spędzić całe życie nad jednym zdaniem, tworząc wokół niego książki (nawet nowy język), ale i tak okażą się one tylko tekstami drugimi w porównaniu do tego jednego (nieprzenikniętego) zdania, za którym ostatecznie będziemy tęsknić. Może to tęsknota za czymś najprostszym i pierwszym?

JB: Bruno Schulz marzył o takiej księdze ksiąg, która wybuchła wszystkimi kolorami, jest jak *Biblia*, o księdze – Autentyku. Każdy poeta marzy, żeby napisać taki wiersz, który trafi w punkt, przebije się przez konwencje, przez maski, dotrze do źródła, do nagiej prawdy albo do „prawdopodobnej prawdy”, a przede wszystkim będzie on wiarygodny i utożsamia się z nim wielu, ba, zapamięta jako własne „zdanie”. Zdanie można odczytywać na różne sposoby: z perspektywy egzystencjalnej, religijnej, twórczej. Ty chcesz zobaczyć w nim perypetie twórcze, ja – perypetie, jakie każdy człowiek ma z życiem.

MS: Mam lekką wątpliwość, czy bohater tego wiersza (czyli ja, ty i każdy czytający) tęskni za tym pierwszym zdaniem, czy raczej chciałby dotrzeć do miejsca, gdzie to pierwsze zdanie odnalazł. Wiem, że nie przepadasz za wierszami autotematycznymi (w przeciwieństwie do mnie). A ten jest trochę

wierszem o pisaniu, ale przy okazji jest też wierszem o życiu, tworzeniu, niewyraźności, nienasyceniu, Bogu.

JB: Tadeusz twierdzi, że każdy dostaje kartkę ze zdaniem, w którym jest zawarty jakby scenopis jego istnienia. Mroźek z korespondencji ze mną nazywa to trochę inaczej, że każdy dostaje wraz z urodzeniem taką hipotetyczną marszrutę, mapkę naszej wędrówki, „scenopis od wieczności” (to tytuł mojej książki listów z Mroźkiem), i jeśli w przeciągu naszej podróży żyjemy zgodnie z tym scenopisem, to bywamy szczęśliwi i spełnieni, a popadamy w smutki, depresję, we frustrację, gdy oddalamy się od owego boskiego czy nieboskiego „planu”.

MS: Szkoda, że nie mamy wglądu w te scenopisy od wieczności, a jeśli już mamy – jak w *Zdaniu* – to są one zapisane w nieznanym nam języku. Ale może byłoby to strasznie nudne iść po sznurku, mieć podjęte wszystkie decyzje. Wynika z tego jeszcze jedna rzecz: nie ma sensu tracić czasu na łamanie szyfru, ale warto żyć, doświadczać, błędzić (i odnajdywać drogę).



Tadeusz Dąbrowski

fol. Rafał Komorowski

Tkanki łączne

Małgorzata Wandasiewicz i Sylwia Jaworska

RADOSŁAW KOBIERSKI

Mamy swój mały jubileusz. Minął okrągły rok, a w tym roku dziesiąte spotkanie z literaturą najnowszą związaną z regionem. Startowaliśmy niepewnie chociaż z wyraźną wizją tego, co należałoby w przestrzeni kultury w Katowicach zrobić. Czas w tych kwestiach działa niespiesznie, braki wypełnia się z mozółem, a markę zdobywa ciężką pracą i konsekwencją. Nie obiecujeśmy cudów, ale możemy zaprojektować, że dokończymy starań, żeby projekt rozwinąć – tak jak na to zasługuje.

Dziesiątą edycję Śląskiej Sceny Literackiej, cały mijający rok, zamknęliśmy spotkaniem z Małgorzatą Wandasiewicz i Sylwią Jaworską, autorkami w środowisku literackim i czytelniczym kojarzonymi przede wszystkim z poezją. I jest w tym dużo racji; dopiero kilka miesięcy temu Małgorzata Wandasiewicz dokonała wyłomu w tym lirycznym monolicie i zadebiutowała prozatorsko książką „Krawędzie”.

Dzieło jest niezwykle nie tylko z powodu późnego objawienia, ale również w związku z wielogatunkową oscylacją, którą manifestuje, językową kreatywnością stawiającą poetkę blisko takich nazwisk i zjawisk jak Zyta Rudzka czy Wojciech Kuczok. Jest to powieść, chociaż można ją równie dobrze czytać jak zbiór opowiadań. Jest to również tekst z ducha postmodernistyczny, który szuka drogi powrotnej – do sprawdzonej, klasycznej opowieści. At last but not least – „Krawędzie” są książką rozliczeniową, tyle że materia rozliczeń nie jest wyłącznie własną biografią, ale także doświadczenie polityczne i społeczne ostatnich dekad: kapitalizm i skapitalizowany feminizm. Wielkie nadzieje i to, co po nich zostało.

Jednak obie autorki, zaznaczam ten fakt ponownie, debiutowały w poezji i rozwijały się oraz swoje zdolności w przestrzeni liryki. Sylwia Jaworska w ciągu kilku lat zaledwie opublikowała cztery tomy wierszy w słynnej już serii Biblioteki Śląskiej „Ut pictura bibliotheca” – „Mistrzowskie trójki”, „Echo serca”, „Pustynia” oraz najnowsze „Love crimes”. Małgorzata Wandasiewicz również wydała cztery zbiory wierszy: „Czułość dozowana”, „Dys-

kretnie zarządzanie smutkiem” (tomik z Nagrodą im. Ryszarda Miłczewskiego Bruno), „Zaznacz wszystko”, „Funeralia”. W niedalekiej przyszłości ukaze się „Liryka kwantowa”.

Jest dla mnie oczywiste, że autorki prezentują różne poetyki i strategie literackie – a jednak coś zasadniczego (i nie jest to jedno zjawisko) je łączy. Wandasiewicz wiele zawdzięcza symbolizmowi i surrealizmowi – chociaż te źródła, połączenia z nimi, szwy są subtelne i mocno autorsko przepracowane (tak jak patronat Jelinek w niektórych fragmentach prozy). Można powiedzieć, że przestrzenią, która interesuje Wandasiewicz, nie jest najbliższy świat fizyczny i zachodzące w nim reakcje („liturgia codzienności”, literacki horyzont poezji anglosaskiej), ale uwewniętrzone przeżycie. Analiza doświadczenia i jej permanentne przetwarzanie. Jaworską bardziej interesuje konkretnie a jej wierszom bliżej jest do poetyckiego minimalizmu. Chodzi o to, aby jak najwięcej osiągnąć przy maksymalnym opanowaniu, ograniczeniu i kontroli środków wyrazu. Inaczej również wygląda – pozwolicie państwo, że posłużę się terminem filmoznawczym – postprodukcja. Jest to oczywiście etap niewidoczny dla czytelnika a nawet redaktora książki, ale właśnie zależny od przyjętych strategii (Małgorzata Wandasiewicz np. wspominała o redukcji i przerabianiu powstającego materiału literackiego). Co zatem łączy obie poet(y)ki? Po pierwsze: czas. Ostatnie tomy, chyba najważniejsze w dorobku autorek, powstają niejako równolegle i rozpoznają – bardzo ogólnie mówiąc – podobny obszar tematyczny. Można wręcz powiedzieć, że love crimes i liryka kwantowa są metaforami objaśniającymi zasadniczy w czasach współczesnych problem z komunikacją, odnoszą się do niemożliwości porozumienia się, spotkania (w czasie i przestrzeni). Sylwia Jaworska rozprawia się z iluzjami na temat związków i relacji międzyludzkich (ściślej rzecz ujmując: relacji między kobietą a mężczyzną), Małgorzata Wandasiewicz dowodzi, że paradoksem współczesnej komunikacji jest to, że oddala od siebie, a nie przybliża do siebie ludzi; liryka kwantowa

jest jeszcze jednym przykładem obcości i samotności, poetka wiele miejsca poświęca również chorobie jako formie radykalnej różnicy. To jest takiej różnicy, która nigdy nie podlega zniesieniu. Problem z komunikacją dotyczy również – w sposób niemniej oczywisty – dialogu z samym sobą. Do tego stopnia, że moglibyśmy siebie wręcz zapytać: dlaczego największą przeszkodą do porozumienia ze światem jesteśmy my sami?

Kolejna rzecz, która stanowi pomost między lirykami: konfesyjność i intymność. W realiach współczesnych nie jest to już przywilej poezji, chyba że mowa o konfesyjności reglamentowanej. Zatem – to nie wyprzedaż emocji i intymności na wzór telewizyjnego show lub tabloidowej szpalty – ale umiejętność nimi sterowanie. Na tyle mocne i precyzyjne, żeby opowiedzieć o losach i przenikaniu słabości i siły kobiecego doświadczenia, o nierównowadze tych doświadczeń – być może dlatego kolejnym elementem łącznym autorki jest elegijność i melancholia. Przy czym nie jest to melancholia sensu stricto: bohaterki tych wierszy to nie kobiece wersje Baudelairowskiego *flâneura*, który widzi popiół z przeszłości osadzający się na tu i teraz. To melancholia racjonalna. Smutek. Przeżywanie straty. Przeżywanie dosłowne. Fizyczne. Fizjologiczne.

Jeszcze jeden element tkanki łącznej: intertekstualność. Świadoma i korzystna dla obu strategii gra z tekstami kultury i popkultury: z filmem w szczególności i literaturą. Wandasiewicz na spotkaniu zwróciła również uwagę na inspiracje sztukami wizualnymi. Pomyślałam, że najlepszą reprezentacją dla obu uniwersów poetyckich byłoby malarstwo twórców, również jako z siebie wynikających (o ile założymy, że grawitacja przenika czas i przestrzeń): Caspara Davida Friedricha oraz Edwarda Hoppera. Pierwszy z nich opowiadał o zderzeniu z niewypowiedzianym i obcym (Rilke opisał to jednym zdaniem: „Piękno przerażenia początkiem”), drugi o ścianach i murach, które wybudowaliśmy, żeby się od tego doświadczenia odizolować.

Safari

Nicole już tu jest.
Wieczór nabiera barw.
Może mi się uda, Madame.
Przy stoliku po prawej Natasza.
Dziwka z Moskwy.
Musi uśmiechać się ostrożnie,
Żeby nie pękły jej usta.
Teraz wchodzi pantera w skórze,
ale nie swojej.
I wielka cętkowana puma.
Sobotnie safari.

* * *

Ciebie nie ma bardziej,
gdy jestem więcej.
Fotografia białych piór.
Wyżej niż na dziesiątym piętrze,
a jednak inaczej niż w raj.
Spadamy jednocześnie.

Miasta

Kiedy jesteś w twoim mieście i w innych miastach,
nienależących ani do ciebie, ani do mnie,
płacząc za szafą – o Jezusku, Jezusku!
Ale Jezusek nie widzi,
bo mieszka u mojej matki,
w obrazku Ufam Tobie.
Nie chodzę tam,
więc on nie wie,
że jesteśmy rozdzieleni drogami,
po których jeżdżę wte i wewte.
W żadnym z tych miast tak naprawdę mnie nie ma.

Kiedy zobaczysz mnie znowu, to nie będę ja

Teraz przychodzę jako ktoś inny.
Zamiast mnie
ptaki nocą wydają odgłosy.
Nikt nie jest winny.
Nie budź mnie.
Śni mi się, kto zabił.
Więc już wiem.
Kto nie kocha łatwo, ten kocha za bardzo.
W wodospadzie mieszkają duchy dawnych czasów.
Nigdy tak bardzo nie byłam
ginącym gatunkiem dzikiego stworzenia.

Ostatnia taka sztuka

Nie wiem, czy to cuda, czy sztuczki,
ale krwawię.
Mam rany w głowie, są ranne ściany.
Zastygam.
Po mieście chodzę jak po wodzie.
Zamieniam wodę w ogień.

Obraz Alicji

Jakiś czas temu dostałam zlecenie na Jezusa Miłosiernego.
Według wizji Świętej Faustyny, córki rolników.
Historia połączeń, a nawet proces.
Światło pojawia się tam, gdzie cień.
Skandal miłosierdzia, absurd krzyża.
Umarlibyśmy na zawał, gdyby nam się ukazał.



rys. Bogna Skwara

Sylwia Jaworska (ur. 1975). Autorka arkusza poetyckiego *Ustawienia* (2019) oraz tomików poetyckich *Mistrzowskie Trójki* (2020), *Echo serca* (2021), *Pustynia* (2022), *Love Crimes* (2023). Wiersze pochodzą z tomów *Mistrzowskie trójki* oraz *Pustynia*.

po pierwsze - on

nie pamiętam koloru swoich włosów
tego dnia gdy wychodziłam na komers
w różowej sukience midi (mięśisty jedwab żył po swojemu)
wiem że były długie do ramion
lśniła moja twarz sweet sixteen
pierwsza miłość odbierała apetyt
byłam chuda i do wszystkiego zdolna żeby tylko mnie dostrzegł
dziś wiem widział mnie od pierwszego spojrzenia
nie umiał zatrzymać wzroku dłużej niż do ramion potem płonął
jego imię nigdy nie płowieje

widzę go
kiedy tańczy z inną by wyprzeć się echa

wypatrywałam listu od niego w kieszeni płaszcza
ogolonej głowy nad falą szkolnych fartuchów
był łysy przez jeden semestr
mówił że to zakład honorowy
jak morderstwo
wyglądał jak rekrut piękny smutny delfin
który mi ufał i wybaczył

sen o naszej starości

mówiłeś zbyt głośno
w kinie pod gwiazdami
musieliśmy wyjść byś mógł
dokończyć opowieść
zgarbiony pomyślałam żeś
mi zmałał na starość
nareszcie będę cię miała
na wyłączność
kieszonkowy poręczny
ukochany

śmialiśmy się jak upiory
z żartów o przemijaniu
lato grzało nam plecy

niektórych tylko śmierć umie
po prawdzie złączyć albo sen
o starości

wracaliśmy gościńcem do wsi
niby noc a tak jasno

w domu czekali ludzie i zwierzęta
jak na gospodarzy wspólnego nieba

miejsce znieczulenia

już nie planuje
nie płacze
przejmuje ją cisza
patrz na nią
czarne oczy bzu przeciw
kaszlącym wronom

jarzębina w dziobie kruka
w jej sercu luka

wypełnia ją godzinami
bez cienia marzenia
wszystko za nią
przed nią linia
pochyła

ona

lśniła jak płomień
lubiła palić biblioteki w domach

siała postrach
w miasteczkach miastach
mówiono o niej ONA

chciała być wrzaskiem wrzątkiem
z rozciętym łukiem Kupidyna
mięliła w ustach wiersze jak kłatwy

rzucała ledwie powzięte miłości
wyznania pierzchały jak kociecia

tak tak kiwała się nad nią
niejedną głową
sypał się proch jak piach
w klepsydrach
nie liczyła się z wirem i czasem
obracała świat w palcach
niczym pieniądz po który nie warto
się schylać

mówili szybko się wypali jak flara
pójdzie w gwizdek
za głosem serca
głosy słyszała z wnętrza
szkatułki gdzie matka trzymała
precjoza i rzemień
na kindersztubę

warkocz po francusku plotła
trzy po trzy na stronie
jak to ona
wyszła po angielsku
dotąd nie odnaleziona

wiersz o niej

wiersz o niej jest piosenką na gitarę
jedna gitara i głos
a w nim zapomnieć się trzeba
iść w noc

wiersz o niej jest jak chleb
z pieca jeszcze świeży
zapach zwodzi głodnych

talía Tarota tańczy w liniach dłoni
figury syczą obelgi

wiersz o niej poddaje się jak aksamit
czego pragniesz jest w tym wierszu
ona czeka w nim
otuli cię jak szalem

kły

to było ci na rękę
jak zegarek dla prestiżu
ściśle określony czas na rozbieg
kopniak w poprzek

gdzie byś był gdyby nie moje
zapętnienie pokory
z upokorzeniem

tyle korzyści z otwartego złamania
poczucia wartości
bierz z tego wszystko co zdołasz pomieścić
w pięści
ja nie umiem
się zemścić
mdli mnie od zapachu
mokrej sierści
wilczy pysk otwiera się w kieszeni
kły szarpią ręce
aż do korzeni

przypadłość

zanim wyjdę sprawdzam
przekładam wkładkę
obwążuję siebie samą
jak suka w stresie
obszczymurek ze mnie
i znajda z bidula
bidul mój dom z dysfunkcją
brzucha
wszystkie miłości i gniew
biorą tam początek
i zakręt po lewej zanim zamienia się
w breję
mgła mózgowa to mój
start - up
nie wzięła się z kont
darczyńców ani śmiałości maklerów
tym bardziej z wirusa
tyle przyczyn jednej przypadłości
życia pomyłonego
z krótką drzemką
po wyżerce

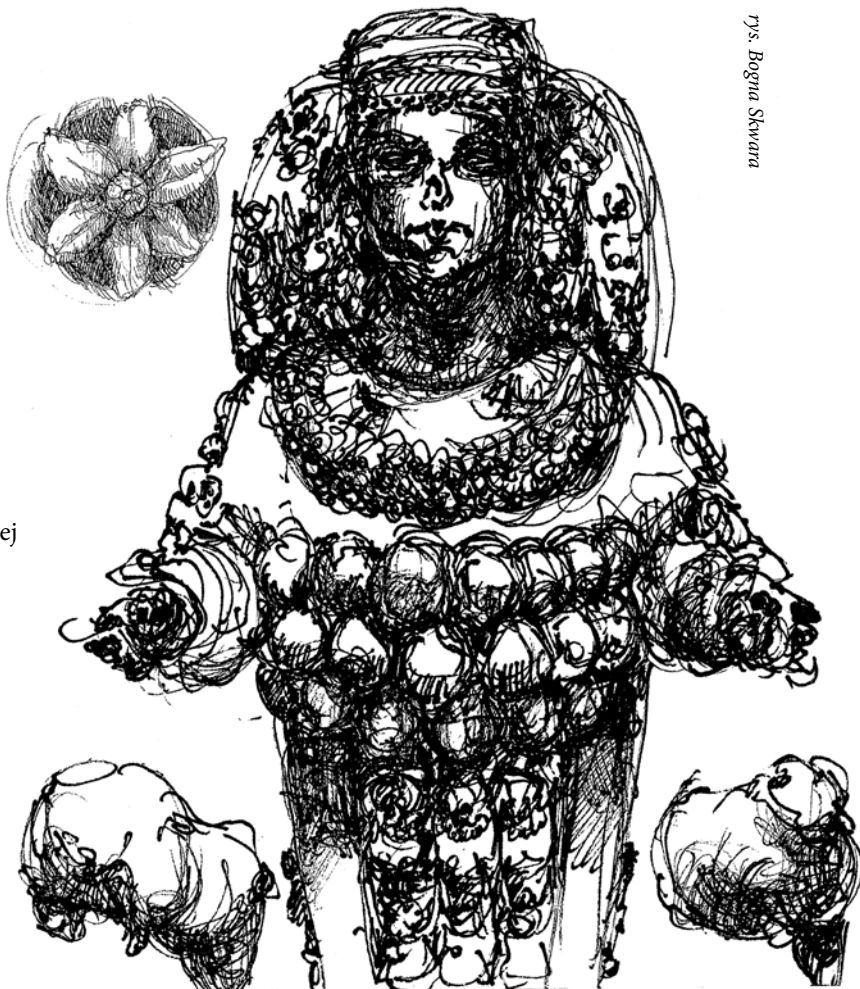
w jasny dzień; podsumowanie

ona sprawdza
czy serce ciągle nosi
w brzuchu niczym dziecko
nienarodzone miłość zakazaną
wciąż zwiniętą w embrion
obciążenie sekretem wstydem
sprawdza
czy potrafi jeszcze
kopnąć walnąć jak obuchem
okazuje się że owszem

na baczność z telefonem w dłoni
z jego zdjęciem na ekranie
zajęte numer zajęty aktualnie zawsze

nic ich nie czeka
niczego nie można się spodziewać
prócz formułki operatora o relacji niedostępnej

komunikat jak zawał
nie próbuje ponowić połączenia
tętnice jej zapycha śmieciowe myślenie
w żołądku kamień splekany posąg
statusu związku



rys. Bogna Skwara

Małgorzata Wandasiewicz (ur. 1968), poetka, powieściopisarka, publicystka, animatorka kultury. Wydała zbiory poezji *Czułość dozowana* (2013), *Dyskretne zarządzanie smutkiem* (2017), *Zaznacz wszystko* (2019), *Funeralia* (2021) oraz powieść *Krawędzie* (2023). Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego tomiku *Ona*.

Witold Izdebski

27 października 1962 – 14 maja 2024

BOGDAN DOPIERAŁA

15 lipca 2020 roku otrzymałem na maila z nieznanego mi adresu taką wiadomość:

Wednesday, July 15, 2020 11:57 AM
..... napisał(a):



śr., 15 lip 2020 o 12:59 Bogdan Dopierała napisał(a):

Cześć Witku, ...a może to tylko zaproszenie na spektakl, ale nie wiem czy mi się uda dotrzeć – raczej nie – ale chciałbym bardzo. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku pod każdym względem. Pozdrawiam, Bogdan

Wednesday, July 15, 2020 1:27 PM
Witold Izdebski napisał(a):

hejże Bodziu z powodu wszechpanującej zarazy termin mojego zgonu został nieco odłożony, ale pogrzeb odbędzie się w terminie trzymaj się ciepło wit

śr., 15 lip 2020 o 13:35 Bogdan Dopierała napisał(a):

Co znaczy „odłożony” – co Ci chodzi po głowie? Bogdan

Wednesday, July 15, 2020 1:56 PM
Witold Izdebski napisał(a):

Bodziu, odłożony oznacza, że zgon nastąpi w terminie późniejszym niż podany w nekrologu...

... mój plan na resztę życia jest prosty teatr, oczywiście pytanie, gdzie i na to pytanie nie umiem precyzyjnie odpowiedzieć najpewniej Bella Italia, choć kusi mnie Lizbona, ale tam wszędzie pod górę pozdrowienia dla Rodzinki, saluti wit

sob., 17 wrz 2022 o 17:27 Bogdan Dopierała napisał(a):

Witku, dowiedziałem się przed chwilą, że Marek Radwan zmarł dzisiaj w nocy. Pozdrawiam, Bogdan

Sunday, September 18, 2022 8:02 AM
Witold Izdebski napisał(a):

Bodziu, Mały był jedynym aktorem, który grał we wszystkich moich polskich spektaklach... Wszyscy stoimy w kolejce, ale Mały się pospieszył. Co się stało? Czy wiesz, gdzie i kiedy jego ostatnie pożegnanie?

czw., 22 wrz 2022 o 20:25 Bogdan Dopierała napisał(a):

Witku, ...pogrzeb był dzisiaj o 11.00 na Francuskiej (od Damrota). Powodem śmierci był rak gardła – bardzo cierpiał. Pogrzeb świecki – było sporo ludzi, ale nieprzesadnie – słowo Cogitatur padało często. Pozdrawiam, Bogdan

czw., 27 paź 2022 o 21:03 Bogdan Dopierała napisał(a):

Cześć Witoldzie, Poważny wiek Cię dopadł [60-te urodziny – przyp. BD] – mam nadzieję, że w sercu ciągle maj. Wszystkiego najlepszego – dokończ wszystkie Twoje plany, a przede wszystkim wracaj, bo coraz mniej czasu. Pozdrawiam serdecznie. Bogdan

Friday, October 28, 2022 7:40 AM
Witold Izdebski napisał(a):

Dzień dobry tak, mam mało czasu serdeczne dzięki

Pisząc te słowa Witku wiedział już o swojej śmiertelnej chorobie. Raku gardła.

EWA WÓJCIAK

Z Witkiem poznaliśmy się wiele, wiele lat temu. Teatr Ósmego Dnia był wówczas dla wielu młodych teatrów, a więc i dla Cogitaturu, czymś w rodzaju punktu odniesienia, autorytetem, a nawet legendą, co stwarzało rodzaj dystansu między nami. Dopiero po latach odbyliśmy tę najważniejszą, całonocną rozmowę o sprawach dla nas najważniejszych. I to nas bardzo zbliżyło, choć mieliśmy bardzo różne wizje teatru – Witku widział go jak piękną zadumę nad losem, człowiekiem i jego uniwersum. Był erudyty, więc te jego wizje uwikłane były w szereg literackich i malarskich kontekstów.

Kiedy zniknął i po jakimś czasie zaczął do mnie pisać ze świata, rozpoznałam ten ton zachwytu dla różnorodności i piękna świata. Jego wiadomości, do których dołączał swoje literackie miniatury, dosłownie pachniały

– a to wiatrem znad oceanu, a to korzennymi przyprawami egzotycznych kuchni, a to oparami rumu czy też innych nieznanymi trunków. Ten „świat piękny i różnorodny”, jak u Herberta, szybko stał się jego domem, w szkicach i miniaturach literackich zawierał komentarze o kulturze i historii. Nawet wiadomość o śmiertelnej chorobie była drugorzędna wobec jego zachwytu istnieniem. Nie skarżył się: był, pisał, robił teatr. Do samego końca.

KATARZYNA PRYC

Nie zapomnę tego leniwego popołudnia, kiedy Witku w długim płaszczu, okutany w jeszcze dłuższy szal, wkroczył do pracowni socjolingwistycznej PAN, gdzie zaraz po studiach pracowałam. Pogadaliśmy chwilę, po czym Witku oznajmił: „Zabieram Cię z tej nudy”. I tak zaczęła się moja szalona przygoda artystyczno-biznesowa.

Pierwszą i największą miłością Witku był teatr. Ale żeby robić teatr niezależny w okresie, kiedy kończył się pewien system, a nie powstał jeszcze nowy, potrzebne były pieniądze. Tu na scenę wkracza Tomek Przeradzki, przyjaciel Witku z czasów licealnych, absolwent Handlu Zagranicznego. Połączenie precyzyjnego podejścia Tomka do działalności gospodarczej oraz Witkowej brawury, pomysłowości i umiejętności aktorskich stworzyło biznesowy tandem, który w pełni wykorzystywał możliwości tamtej dekady.

Byłam już wtedy aktorką Cogitaturu i skończyłam studia, więc Witkowi zależało, abym mogła łączyć pracę zawodową z aktywnością teatralną, stąd od czasu opuszczenia PAN-u byłam zatrudniana w różnych prowadzonych przez spółkę firmach. Dzięki temu płynnie łączyłam rolę ciociutki Rudiger oraz innych ekstrawaganckich postaci scenicznych z pracą w przedstawicielstwie handlowym, zajmującym się sprzedażą palników benzynowo-tlenowych, wytwornic tlenu i azotu czy narzędzi hydrauliki siłowej. Zdarzyły mi się też wtedy szalone podróże służbowe do Zurychu czy praktycznie nieosiągalnej wówczas Kalifornii.

Pieniądze Witka, ale też ogromny wysiłek paru osób – przede wszystkim Kasi Mrozińskiej-Izdebskiej – sprawiły w końcu, że w 1996 roku dawna fabryka drutu zmieniła się w siedzibę Teatru Cogitatur przy ulicy Gliwickiej 9a, na którą składały się świetnie prosperująca, modna restauracja na parterze i nasza własna sala teatralna na piętrze.

Idealny, nowatorski mix, spełnienie marzeń. Ale to już jednak inna opowieść, gdyż po paru latach sprawy okazały się nieco bardziej skomplikowane...

TOMASZ PRZERADZKI

Końcówka lat 80. Mieczysław Wilczek wprowadza nową ustawę o działalności gospodarczej, która sprowadza się do: „Co nie jest prawnie zabronione, jest dozwolone”. W tym czasie rodzący się w Polsce kapitalizm pozwalał na wiele. Pomnożenie za-inwestowanego kapitału w krótkim czasie było możliwe pod warunkiem, że wiedziało się, jak to zrobić. No i miała niezbędną fantazję i odwagę.

Byliśmy z Witkiem wspólnikami i korzystając ze sprzyjających warunków akumulowaliśmy kapitał w satysfakcjonującym tempie. Któregoś dnia, po zarobieniu szalonej kwoty w markach niemieckich, za którą w tamtych czasach mogliśmy kupić dwa wypasione samochody średniej klasy, planowaliśmy kolejne posiedzenie zarządu celem omówienia następnych inwestycji. Witek zadzwonił do mnie i potwierdził umówiony termin, ale dodał, żebym dzień wcześniej koniecznie wpadł do biura podróży prowadzonego przez jego koleżankę, aby odebrać jakąś przesyłkę. Udałem się tam i otrzymałem kopertę – jak się okazało z biletem lotniczym na Maltę i zaproszeniem na posiedzenie zarządu w tamtejszym hotelu. (Trzeba zaznaczyć, że w tym czasie wielkie emocje budził już wyjazd do Czechosłowacji).

Po przylocie czekał na mnie kierowca w czarnym Bentleyu, jednym z dwóch takich modeli na wyspie (pierwszy, pamiętający czasy panowania Królestwa Brytyjskiego, należał do prezydenta Malty, a drugi do jedynego pięciogwiazdkowego hotelu w La Valletta). Po dotarciu na miejsce dołączyłem do posiedzenia, obradującego już w hotelowym barze pod przewodnictwem Witka w towarzystwie jego dwóch kolegów z branży teatralnej.

Zarząd w zasadzie nie zmieniał miejsca obrad i trwał dwa dni. Co się działo i jakie uchwały zostały podjęte, tego niestety nie pamiętam. Pamiętam, że wszystkie rachunki, w tym za wykwinne napoje serwowane w czasie naszego zebrania, zostały w całości pokryte przez Witka z własnej kieszeni.

Miał gość gest!

MARCIN HERICH

Wymykał się schematom. Uwielbiał rozstrząsać wokół siebie aurę tajemniczości pomieszczonej z dezynwolturą. Czarował i uwodził. Świat Witka zdawał się przestrzenią bez ograniczeń ciała i umysłu, nonszalancką przygodą. Był ponadprzeciętnie inteligent-

ny, inteligencja służyła mu jednak zarówno do spraw zwyczajnych i słusznych, jak do błagi i oszustwa. Jakby nie widział między nimi różnicy, zajęty pasjonującą grą z życiem, w której jedyną zasadą jest brak zasad. Bezczelnie uśmiechał się do świata i kpił z niego, czerpiąc zeń pełnymi garściami. Wierny sobie i skupiony na sobie bez względu na wszystko i wszystkich.

Świetnie wykształcony, zachłanny na wiedzę, jako artysta był człowiekiem ukształtowanym przez awangardę, odpornym na zmie-



niające się tendencje i mody. Bardzo dużo czytał, za to nowego teatru nie oglądał prawie w ogóle, jakby uznając, że w tej dziedzinie za punkt odniesienia wystarczą mu dokonania równolatków i nieco starszych kolegów, których zresztą hołubił i podziwiał. Mimo że to teatr był jego artystyczną pasją, wydawał się znacznie bardziej człowiekiem literatury i szeroko rozumianej humanistyki.

Piszę to z perspektywy czasu. Kreślę opis człowieka, którego kiedyś dobrze znałem, nie widziałem zaś przez ostatnich 20 lat, a o którego późniejszych losach słyszałem wyłącznie rozproszone, często sprzeczne plotki. Wątki kryminalne mieszają się w nich z egzotycznymi podróżami, romansowe z ciężko przeżywanymi chorobami, wielkie pieniądze z biedą. Jakby sam Witek multiplikował je i tasował, zwodząc i myląc tropy na użytek własnego życiopisu. Był człowiekiem paradoksu i kontrapunktu. Gdy dowiedziałem się o powrocie Witka do Polski, chorobie, a teraz śmierci, przypomniał mi się tytuł książki reportażowej Krzysztofa Kąkolowskiego „Jak umierają nieśmiertelni”. Witek żył jak nieśmiertelny, pozostawiając po sobie nieoczywiste jak on sam „non omnis moriar”.

MICHAŁ JĘDRYKA

Witold Izdebski. Osobowość mnoga: poeta, mentor, szef alternatywnego teatru, bawidełek, biznesmen, hochsztapler, ucie-

kinier poszukiwany listem gończym, emigrant. Być może coś pominąłem. Być może ktoś inny znał innego Izdebskiego: *Namnożyło się tych postaci stoją ogromnym tłumem a wszystko to ty (a wszystko to ty)*. Jego życiorysem można by obdzielić cały rocznik albo napisać sztukę lub serial o człowieku, dla którego ambicji świat był za mały.

Na polonistycę, gdzie razem studiowaliśmy, był kimś w rodzaju lokalnego demiurga. Tworzył spektakle, o których młodsza siostra mawiała, że ona już wie, że w awangardowym teatrze nie wszystko trzeba rozumieć. Udał się z tą sztuką na emigrację wewnętrzną. Inaczej się nie dało w okropnych czasach stanu wojennego. Jego pomysły – konglomerat Grotowskiego, Ósmego Dnia, Provisorium i Sceny Plastycznej KUL – tworzyły fantastyczną krajinę, przesączony alkoholem azyl, w którym mogliśmy się schronić. Warsztaty teatralne, próby w „Marcholcie”, uliczne szopki, spektakle grane w klubach studenckich, egzaltowane monologi i powroty do domu pierwszym porannym tramwajem.

Niestety, nadeszła kolejna dekada i chwile metafizycznej dziwności musiały ustąpić prozie życia. W czasach biznesu spod znaku chodnikowych szczek i białych skarpetek do garniturów to Witek miał największy samochód i prywatny kabaret neopatetyczny (jeżeli ktoś nie rozumie tego określenia to patrz: powyższa dewiza mojej siostry). A potem było różnie. Jeśli świat nie pasował do jego wyobrażeń, to wymieniał go na inny, w którym statki handlowe z masłem były wymieniane na giełdzie w Antwerpii na masowce z węglem, za które używano złota i diamenty, a setki milionów były w zasięgu ręki niczym teatralne rekwizyty. Był niezwykle sugestywny w tej kreacji, tyle że nie uwzględniała ona widzów i urzędników. Ci z pewnością nie rozumieli artysty.

Dlatego wyjechał. O jego pobycie za granicą krążyły różne historie, umiejętnie sterylizowane i ilustrowane zdjęciami drinków z parasolkami przy basenie w cieniu palm. Czy nadal tworzył? Czy na emigracji był bardziej demiurgiem czy outsiderem? To zależy jaką wersję wybierzemy. Pod koniec życia wrócił ciężko chory do kraju. Nie udało nam się pożegnać. Pewno najpierw musielibyśmy się porządnie pokłócić. Majestat śmierci udaremnił nasze polemiki.

Zawsze kiedy o nim myślę, pamięć przywołuje napis na drzwiach jego pokoju w mieszkaniu na Modrzewiowej, dawno, dawno temu. Napis był kategoryczny: *Wykorzeń ambicję!* To, co było jego największym darem, było też największym przekleństwem. Nie mógł zaznać spokoju, nie był mu przeznaczony.

Odleciał kolorowy ptak. Niebo jest bardzo puste.

Ekspresja (2)

RYSZARD TWARDOŃ

Jakby nie było i na przekór temu, co różni chiromanci i wróżbici przez wieki twierdzili (i twierdzą nadal) o swoich umiejętnościach bezpośredniego wglądu w nasze życie wewnętrzne, dla współczesnej myśli stało się jasne, że o własnym życiu i istnieniu nie możemy nie mówić; nie możemy przeżywać siebie i innych, nie doświadczając własnego i cudzego ciała w procesach percepcyjnych i epistemologicznych, potrzebnych do kształtowania naszych postaw, myśli i działań. Utwierdził się wśród badaczy komunikacji społecznej i pozajęzykowej pogląd, że ludzkie istoty nie mogą nie komunikować, że człowiek jako wcielony „jest przeznaczeniem, którego nie da się wyłączyć”²¹. Stąd też, patrząc w ten sposób i odrzucając dualizm ciała i umysłu, rozdzielanie na monadyczne „ja” i „ty”, zakładamy istnienie opartego na cielesności systemu komunikacyjnego, ustanawiającego dynamiczne odwzajemnienie, relacje i inter-cielesne stosunki, które nawzajem się organizują i wpływają na siebie; które są zarówno środkiem, jak i efektem intersubiektywnego wyrażania, znakiem i znaczeniem, bytami kultury i natury. Jak to pokazał Paul Riceour, afektywne doznawanie i somatyczne wyrażanie oznacza w relacji do świadomości, myśli i woli poznawczą i aksjologiczną równowartość poziomu ontycznego w stosunku do refleksyjnego, gdzie to „jestem” – jako wcielonemu jestestwu, poprzez które wcielony „podmiot nieustannie, dzień i noc, się przejawia i ustanawia, i światu się ukazuje”²² – wyrażone przez mowę ciała jest czymś równie znaczącym i godnym naukowej uwagi jak język.

Podsumujmy. Wyrażane gesty głosowej czy mimicznej zachęty i rozumiejącego, somatycznego przytakiwania świadczą o ekspresywnie płodnej w znaczenia międzyludzkiej, żywej wzajemności, jaka zachodzi między mówiącymi osobami – jest ona dowodem naszego „zaangażowania w relacje z otaczającymi nas ludźmi”²³. Znaczy to tutaj tyle, że w porządku indywidualnej i społecznej komunikacyjnej interakcji człowiek ocenia i zachowuje się w określony sposób, wykorzystując do tego celu własne i cudze – ekspresywne – ciało. Współuczestniczy komunikacyjnej relacji, nadając i odczytując nawzajem myśli i wrażenia, poznają je (także) i rozszyfrowują poprzez koordynujące proces porozumiewania się i działające nierzadko z ukrycia „skrypty behawioralne”, które albo automatycznie odwzajemniają

(tak jak w przypadku „mimikry behawioralnej”): chodzi o nieświadomiane naśladowanie czyjejs ekspresji i zestrącanie jej z własną; jak się uważa, proces imitacji ekspresywnej oddziałuje pozytywnie na emocje drugiej osoby i decyduje o jakości wyrażanych przez nią sądów o nadawcy), albo – wykorzystując towarzyszącą przekazywaniu informacji i emocji samoobserwację i aktywizowane w percepcji sprzężenia zwrotne, niezbędne do zarządzania ekspresywną dynamiką – tworzą nowe, zmodyfikowane wzorce gier zachowań i form ruchów fizycznych, zgodne z potrzebami i wymogami uczestniczących w komunikacji intersubiektywnych stron. Mówiąc tak, zakładamy, że ciało i jego ekspresja nie odsłania i nie współ-ustanawia tylko przedmiotu myśli, lecz na gruncie swojej zapośredniczającej dialektyki jest sposobem podstawowego ukazywania i wyrażania się „ja” w świecie „ty” i „ty” w świecie „ja”.

Analizowana mowa ciała stanowi zakwestionowanie podstawowego aksjomatu tradycyjnej nauki, traktującej ją jako bierny i nietwórczy znak, i przyjęcie koncepcji somatycznej mowy jako dynamicznego i sensotwórczego dyskursu. Inaczej mówiąc, sposób, w jaki współczesne myślenie pojmuje język ciała, odsłania jego pierwotną funkcję i nadrzędny sposób istnienia, przewyżczający tradycyjne pojmowanie go jako przedmiotu przedstawienia myśli. Jego „ontologiczną” i „poznawczą” głębią jest – jak się wydaje – to, że spełniając się jako ekspresywne zdarzenie, rozumiany jest jako przesiąknięte sytuacyjnymi nastawieniami i wrażeniami znaczenie, jako zawierający możliwe do zinterpretowania, intencjonalne przesłanie wyrazu ciała. Innymi słowy, to dzięki przekazywanym i podzielanym, związanym z mimiką, gestami czy posturą cechom i jakościom – niezależnie czy wrodzonym czy warunkowanym kulturowo – człowiek odnalazł w ekspresji ciała „wspólny język” z innymi ludźmi, wskazujący na istnienie uniwersalnej, ponadindywidualnej, relacyjnej przestrzeni, dzięki której osoby „mówią do siebie” i „zwracają na siebie uwagę”, w której nawiązują i podtrzymują (ale i zrywają) kontakty.

Rzecz jasna, nie jest tak, że język, myśl czy świadomość są nieistotne w naszej egzystencji; że nasze komunikacyjne wyrażanie rozgrywa się wyłącznie w sferze zachowań i bezpośrednich spotkań oraz ekspresywnych wydarzeń. Byłoby to nie-

prawdą. Jednak ważne jest, aby zauważyć i podkreślić, że w rzeczywistości życia codziennego, wirtualnego, osobistego czy zawodowego, kontakty – szczególnie te bezpośrednie, twarzą w twarz, pełne krótkich i długich interakcji, Goffmanowskich niezogniskowanych i zogniskowanych relacji i negocjacji – mają znaczenie dla osobowego postrzegania, społecznego rozumienia i porozumienia. Choć oznaki cielesne i sygnały – wyrażane w formie min, ruchów rąk czy symbolicznych gestów – powstają niewidocznie i nierzadko bezgłośnie pod „powierzchnią” cielesnego bytu, w obszarach nieświadomego, choć emocje i pragnienia, przeżycia i namietności, nie są w odbiorze jednoznaczne ani trwałe i nie wykraczają często poza bezpośredni behawioralny kontekst, to oparta na ekspresywności ciała interaktywna komunikacja wytwarza zachowania mniej lub bardziej znaczące w stosunku do innych osób. Krótko mówiąc: to, co chcielibyśmy zakryć i zataić, staje się nierzadko widoczne przez zachowanie cielesne.

Nie możemy izolować komunikacji werbalnej od niewerbalnej – to oczywiście. Język i ekspresywne ciało współpracują ze sobą w tworzeniu znaczeń. Komunikacja jest układem współzależnym, zestrojonym w czasie i przestrzeni interakcyjnym procesem. Innymi słowy, nie jest tak, że najpierw mówimy językiem, który po prostu zdaje sprawę z tego, co się dzieje wokół nas i w nas, a później poszerzamy go za pomocą nowego opisu, wzbogacanego przez ciało i szeroko rozumianą cielesność. Ciała nie dodaje się do „ja”, jak zakłada się pierścione na palec: doznająca i przeżywająca siebie upodmiotowiona cielesność jest obecna od samego początku w akcie komunikowania i wyrażania, poznawczego przedstawiania i partycypowania. Pojęcia podłogi i ciemności są tak samo jej dziełem jak pojęcia jedni czy atomu dziełami myśli. Mimo że mowa werbalna jest czymś innym od mowy ciała, to znaki werbalne i niewerbalne ukazują to fundamentalne zakorzenienie człowieka w rzeczywistości świata, w której wyrażeniowa cielesność i werbalny przekaz mają zawsze względem siebie charakter komplementarny, istotowo współkształtujący i dookreślający znaczenia. W kontekście komunikacji językowej komunikacja niewerbalna, oparta na ekspresywności ciała, przejawia się – powtórzmy – automatycznie, nieustannie i bezpośrednio i „jest tak zsynchronizowana – zauważa Piotr Szarota – by

określona ekspresja pojawiła się wraz ze słowami, które ma ilustrować albo uzupełniać²⁴. Odpowiednie zachowania niewerbalne pozwalają za sprawą sprzężeń zwrotnych w komunikacji interpersonalnej nieustannie modyfikować sensy języka, wystrzegać je bądź im zaprzeczać. To mowie ciała, doprecyzowującej intersubiektywne znaczenia i redukującej zakres możliwych nieporozumień w spotkaniu ucieleśnionych istot, przyznaje się status swoistego „komentatora” i ważnego dopełnienia językowego przekazu, przyczyniającego się do ukonstytuowania sensu przesyłanego komunikatu i przezwyciężenia nie-komunikowalności doświadczenia jako takiego.

Ciało, które, jak powiedział Emmanuel Lévinas, całe jest twarzą – poprzez ruch, wygląd, postawę oraz mimiczny wyraz; najogólniej mówiąc, poprzez różnie pojmowany w społecznej codzienności i używany w kulturach język niewerbalny – otwiera „ekspresywne” i „afektywne drzwi” każdemu, kto nauczył się owe cielesne znaki właściwie odczytywać i rozumieć, zgodnie z zasadą, że „w człowieku każda chwila ma swoją fizjonomię, swój wyraz”²⁵, swoje określone intencją znaczenia. Choć ekspresywne ciało – moje i cudze – nigdy nie spełnia się w jakimś ostatecznym i określonym intersubiektywnie somatycznym kształcie i jednoznacznej semantycznie formie (poza maską pośmiertną), jego epistemologiczny, ontologiczny i aksjologiczny sens ukazuje się poprzez zmienność, różnorodność i wieloznacznościowość interaktywnego stawania i przejawiania się, stale prosząc o uwagę i porozumienie. Dziś już przyjmujemy bez zastrzeżeń do wiadomości fakt, że droga do nas samych jest komunikacją samozwrotną i biegnie zawsze poprzez nasze materialne i zmysłowe ciała, gdzie każdy patrzący jest również tym postrzeganym i ma naprzeciwko siebie od początku tego drugiego, wcielonego innego, którego mimice, spojrzeniu i gestom wydany jest – jakby to powiedział Sartre – od urodzenia, podobnie jak on wydany jest mojej mimice, gestom oraz wzrokowi.

Nie ulega wątpliwości, że zachowania i przejawy percepcyjne i mimiczne zaangażowane są w sposoby doświadczania innych, które pokazują, że kształtowane na fundamencie ludzkiego ciała znaczenia dzieją i ustanawiają się poprzez ekspresywną – nie zawsze uświadamianą – interaktywną aktywność ciała. Przypominając te już dzisiaj anachronicznie brzmiące (z naukowego punktu widzenia) fakty o „ekspresywnym człowieku”, chcemy tylko przypomnieć i podkreślić, że istota ludzkiego bycia i pochodzenia (jak i przeznaczenia) tkwi nie w istnieniu czystej, bezcielesnej świadomości, lecz w ucieleśnionej egzystencji i świadomości, którą z innymi istotami podzielimy i która towarzyszy nam poprzez aktyw-

ne, ekspresywne wyrażanie się – od urodzenia do śmierci.

Wynosząc poznanie językowe ponad pozajęzykowe, „wewnętrzne” ponad „zewnętrzne”, rozum ponad ciało, myśl ponad cielesność, należy przyznać, że wciąż nie rozumiemy dokładnie i nie wiemy, co się dzieje na „powierzchni” naszych nieustająco manifestujących się i reagujących na świat ciała: co dzieje się z naszymi oczami, twarzą, nogami czy rękami. Nadal trudno nam przyjąć do wiadomości prosty fakt, że w komunikowaniu i porozumiewaniu się dotyczące mimiki, postury i gestów jak i interaktywne, odwzajemnianie i behawiorystyczne naśladownictwo ma nierzadko większy wpływ i znaczenie w społecznej przestrzeni niż wyrażane słowa – bez względu na to, co wypowiadamy i co robimy. Fascynujące i zastanawiające jest zarazem, jak długo człowiek nieświadomy był (i jest mniej lub bardziej do tej pory) faktu, że komunikacja międzyludzka odbywa się nie tylko na poziomie językowym i w obszarze abstrakcyjnej werbalnej konceptualizacji, że przedstawiając myśli i wyrażając odczucia, przekazujemy bezpośrednio innym, oprócz wypowiadanych słów, swoje nastawienia i zachowania w formie gestów, ruchów ciała i wyrazu twarzy. Wydaje się, że to, co zostało doznane i przeżyte w naszych „metafizycznych trzewiach” i piwnicznych, kryjących czyste skarby, podmiotowych myślach, jest być może prawdziwsze i bliższe naszej duszy i charakterowi – ale w świecie życia realnego bez konstytuującej je cielesnej zewnętrzności i osadzającej „światowości” pozostaje bytem bez znaczenia, wpływu i roli społecznej.

Można tutaj postawić tezę, że im bardziej jesteśmy nieświadomi form i sygnałów komunikacji niewerbalnej, im bardziej brak nam owego przytomnego uczestnictwa w zachowaniu się na poziomie gestów, mimiki i oznak cielesnych, owego synchronizowania mimicznych sygnałów z werbalnymi znakami, tym większych doświadczamy trudności w intersubiektywnym porozumieniu. Tym trudniej nam się kontaktować z innymi ludźmi, tym więcej przeżywamy ekspresywnej manipulacji, emocjonalnej izolacji i osobowego niespełnienia w interakcji. I – ostatecznie – odrzucenia wśród innych osób. Zupełna nieznajomość czy zbyt powierzchowna orientacja w zakresie sposobów ekspresywnego wyrażania i zachowania się czyni ludzi chronicznie niepewnymi i „bezbронnymi wobec osób, które wiedzą, jakie są zasady ich działania”²⁶. Stąd też ze wszech miar godne jest polecenie każdemu z nas, by przyjrzał się sobie „cielesnemu” i świadomie polepszył i wykorzystał komunikację niewerbalną w celu ułatwienia procesu kontaktowania się i wytworzenia pozytywnego wizerunku. W dziedzinie komunikowania i porozumiewania się możliwe jest przej-

ście od biernego zdawania się na bodźce i zautomatyzowane procesy w narządach zmysłów i mózgu do czynnych, empatycznych i podnoszących społeczne zaufanie, atrakcyjność oraz sympatyczność postaw wobec innych. Dotyczy to, rzecz jasna, tych wszystkich, którzy chcą z pomocą twórczego i świadomego myślenia uzyskać większą międzypodmiotową i osobistą satysfakcję oraz osiągnąć pełniejsze zrozumienie siebie i innych ludzi.

Reasumując i niezależnie od wszystkich poczynionych powyżej uwag, czy zaangażowanie mowy ciała w komunikację pojawiło czy nie, czy jest celowe albo spontaniczne, czy miało do czegoś służyć bądź nie i czy zostanie lub nie zostanie ono właściwie zinterpretowane, wszystkie zachowania pozajęzykowe w systemie komunikacji międzyludzkiej „potencjalnie kreują – stwierdzają autorzy książki poświęconej procesowi niewerbalnego porozumiewania się – wiadomość”²⁷. Jak to powiedział Miles L. Patterson: „może i jest prawdą, że piękno sięga tylko tak głęboko jak skóra, ale ta zewnętrzna powłoka ma jednak swoją cenę”²⁸. Ma ona swoją poznawczą rację i znaczeniową rolę i wartość. W warunkach codziennego życia od zawsze jest tak, że w akcie nadawania i odbierania mimicznych sygnałów oraz cielesnych kodów i przekazów człowiek „nigdy nie wie, do jakiego stopnia odsłania siebie poprzez mimikę” – jak to zauważył Eric Berne – ale jest pewne, że w kontakcie „zdradza swoją twarzą więcej, niż mu się wydaje...”²⁹.

Przypisy

1 R.B. Adler, L.B. Rosenfeld, R.F. Proktor II, *Relacje interpersonalne. Proces porozumiewania się*, przeł. G. Skoczylas. Poznań 2021, s. 183.

2 P. Ricoeur, *Egzystencja i hermeneutyka*, przeł. E. Bienkowska, Warszawa 1975, s. 265.

3 M.L. Patterson, *Więcej niż słowa. Niewerbalne wywieranie wpływu*, Sopot 2016, s. 49.

4 P. Szarota, *Uśmiech. Instrukcja obsługi*, przeł. M. Dąbrowska. Sopot 2012, s. 100.

5 J.-J. Courtine, *Zwierciadło duszy, w: Historia ciała. Od renesansu do oświecenia*, t. 1, red. G. Vigarello, przeł. T. Stróżyński, Gdańsk 2015, s. 282.

6 R. Cialdini, *Wywieranie wpływu na ludzi. Teoria i praktyka*, przeł. B. Wojciszke. Sopot 2022, s. 23.

7 R.B. Adler, L.B. Rosenfeld, R.F. Proktor II, *Relacje interpersonalne...*, s. 183.

8 M.L. Patterson, *Więcej niż słowa...*, s. 47.

9 E. Berne, *Dzień dobry... i co dalej?*, przeł. M. Karpiński, Poznań 2015, s. 290.

Scena wewnętrzna i scena performansu to jedno

RADOSŁAW KOBIERSKI

Trzydziesty jubileuszowy festiwal A Part można uważać za otwarty – oświadczyła Natalia Kruszyna, kuratorka wystawy „Przymierzanie cieni” przed oddaniem głosu drugiemu kuratorowi, Arkadiuszowi Ławrywiancowi.

Wystawa otwiera się dla nas w Galerii Korezu, zamykając w sobie trzy dekady istnienia projektu, który – nie waham się użyć tego czasownika – zmienił teatr na Śląsku, nawet jeśli ta zmiana dokonywała się nieco na boku oficjalnego, instytucjonalnego myślenia, w przestrzeni niszowej i elitarnej.

Spośród kilku tysięcy prac wybrana została ścisła reprezentacja – osiemdziesiąt zdjęć, przeważnie wielkoformatowych, dokumentów epoki, spektakli teatralnych (rządziej prób generalnych), które ujawniły kilka podstawowych spraw. Po pierwsze profesjonalizm twórców. Po drugie wartość historyczną całego projektu. Po trzecie i czwarte: charakter dzieła Teatru A Part, jego dynamikę, ruch sceniczny, rekwizyty, strategię. Mogę powiedzieć, że fotografia stała się w jakimś sensie częścią tego wielkiego projektu, została przez niego wchłonięta, albowiem jej twórcy bardzo dogłębnie i twórczo ją przepracowali i przeżyli.

To samo można powiedzieć o późniejszym o godzinę koncercie Tiger Lillies. To nie pierwszy osobny, autonomiczny występ na festiwalu, warto zaznaczyć, że Tiger Lillies było również częścią spektaklu *Ostatnie dni ludzkości*, który zrealizowany został we współpracy z Theaterlabor Bielefeld w 2019 roku w Pałacu Młodzieży, ale jego przesyciona kabaretową dekadencją jest jakby stworzona do scenicznych projektów Marcina Hericha, do ich nastroju i proveniencji – by wymienić choć *Künstlerspiele. Sceny z Wielkiej Wojny* lub *Cyrk Bellmer*.

Po raz pierwszy w programie festiwalowym – przynajmniej od 2013 roku, od kiedy z niego korzystam w charakterze przewodnika po zawitych ścieżkach teatru performatywnego – pojawia się daleko wysunięta placówka twórcza (znacznie dalej niż ubiegłoroczny Teatr Rozbark). Art House Żarki to miejsce na mapie kultury, stworzone przez Marlenę Niestrój i Fundację Paryż. W sobotę, w drugi dzień festiwalu stało się sceną dla „Czeskiego Pikniku Teatralnego” – dwóch przedstawień w kategorii teatr lalki i przedmiotu – *Czerwony*

Kapturek albo to co dzieje się, nie przychodzi łatwo R405 oraz *Dziadek do orzechów. Balet warzywny* grupy Borshch oraz teatru tańca *Spotkaj lisa* duetu Vendula Tomšů i Johany Pockovej.

Niedziela okazała się w pewien sposób zasadnicza dla tegorocznego jubileuszu. W takim znaczeniu, że wydarzenia na ten dzień anonsowane odnosiły się zarówno do początków teatralnych A Partu jak i nowych strategii scenicznych, w szczególności w materii monodramu, które wynikły ze współpracy z Instytutem im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu. Na boisku akademickim A Part wznowił *Feminę*, spektakl jeszcze z czasów sceny Cogitatur. W Rialcie odbyła się prezentacja filmu *Radical Move* Anieli Gabryel z 2023 roku. Dokument opisuje ostatnią grupę osób działającą w ośrodku Workcenter, założonym przez Thomasa Richardsa, prawnego opiekuna dziedzictwa teatralnego Jerzego Grotowskiego.

Jak wiele jesteśmy w stanie poświęcić, aby doświadczyć transcendencji – czytamy w materiałach promocyjnych filmu – wyjść poza ciało? Grupa teatralna, kontynuując poszukiwania Jerzego Grotowskiego, uznanego za największego rewolucjonistę teatru w XX wieku, oddaje życie artystycznej pracy. Między fascynacją a lękiem przekraczając własne granice. Teatr jako metafora społeczności, która przeżywa swój wzlot i upadek.

Film jest rzeczywiście ważnym głosem w dyskusji o teatrze, o granicach doświadczenia teatralnego i praktyk teatralnych – po raz kolejny zresztą dotyczy on środowiska Grotowskiego (choć po Grotowskim), ale możemy go czytać również w kontekście ostatnich wydarzeń w Teatrze Rozmaitości wokół Moniki Strzępki i ponawiać pytanie: jak daleko może posunąć się reżyser (bądź mistrz/guru) w pracy z zespołem w celu uzyskania efektu, który go zadowala? Gabryel w swoim dokumencie pytanie stawia nie wprost, ono wybrzmiewa dość dyskretnie, sam do końca nie jestem pewien, czy mam do czynienia z przemocą – aktorzy na ten temat wyrażają się dwuznacznie, nieustannie premiując wartości i doświadczenia odosobnienia w Workcenter, radykalny ruch, na który się zdobyli – jeśli tak, czy jest to taki rodzaj przemocy, który od razy dyskwalifikuje takie praktyki? Gdybyśmy zapytali dziś aktorów i aktorki pracujących w różnych teatrach, instytucjo-

nalnych i performatywnych o ryzyka i zagrożenia płynące z pracy nad spektaklami (m.in. z nagością), jak wyglądałaby odpowiedź? Myślę, że warto byłoby taką dyskusję przeprowadzić właśnie z osobami grającymi na scenie, niekoniecznie z twórcami grup czy zespołów teatralnych.

Pora na *Feminę* czyli powrót do przeszłości po 25 latach. Spotykamy się po raz ostatni na boisku akademickim (trwają rozmowy nad przeniesieniem spektakli plenerowych do patio Pałacu Młodzieży). Już sam ten fakt budzi we mnie szczególnie rodzaj melancholijnej uwagi, jaką obdarzam ten obiekt i historię spektakli plenerowych, które tu widziałem. Musi mi to wystarczyć, bo ludzi jest sporo, tworzą dość szczelny koron wokół prostokątnej, wydłużonej sceny zamkniętej z obu stron platformami na rusztowaniach. Rozpoznaję reżyserskie strategie, rekwizyty, rozwiązania narracyjne. Dociera do mnie, że *Femina* nie znajduje się przecież na końcu „plenerowej historii” Teatru A Part, ale na jego początku i to właśnie z *Feminy* wyrastają przyszłe pomysły i rozwiązania: żywioły i ich kontrasty, historie ciała w zderzeniu z machinami władzy, wzniosły patetyczny nastrój i intymne historie, symbolicznie przedstawiona walka dobra i zła, uprzywilejowana rola kobiet w emancypacji z patriarchalnej historii (historia ma charakter wyłącznie patriarchalny), wizualne ambicje Mar-



fot. Arkadiusz Ławrywianiec

Festiwal Apart Teatr A Part. *Femina* 2024

cina Hericha (czasem służebne wobec kulturowej symboliki, czasem autonomizujące się w autorską sygnaturę). Przeglądam realizacje z Brazylii, Korei, Chorwacji, Katowic (rok 1999) i porównuję z najnowszą realizacją, która niemal nie odstaje od pierwowzorów, co czytać można dwójako: albo Marcin Herich z zasady nie poprawia spektakli jako „dokumentów czasu”, albo uznaje, że pozostają aktualne do dzisiaj. Okazja okragło aniuersaryjna skłania mnie do sięgnięcia również po spektakle solowe Teatru A Part (Labirynt Wenus) i tu również przekonuję się, że przedstawienia, które budziły moje ogromne emocje – a myślę tu szczególnie o *Śnie Ariadny*, *Alicji* i *Projekcie Dante* – wcale nie zjawyły się przypadkiem, czy też na skutek ewolucji, ale stanowiły twórcze nawiązanie do wcześniejszych pomysłów. Idea wiecznego powrotu zdaje się jednym z głównych źródeł odnawialnej energii dla teatru A Part.

W ostatnich dwu edycjach festiwalowych w programie zaczęły się pojawiać teatry lalkowe, by przypomnieć *Medar* Divadlo Fras czy *Zlin* zespołu Tygr V Tisni. W bieżącym zestawieniu mamy prawdziwą nadreprezentację w pierwszych dniach festiwalowych: wspomniany już wyżej „Czeski Piknik Teatralny” z trzema przedstawieniami w Żarkach (Art House), dwa spektakle lalkowe Teatru Rawa *Pinok* i *Barbie*, *Angekoka*. *Opowieść arktyczna* oraz *Syn* Teatru Wolność z Białegostoku.

Ten ostatni, dość młody zespół (TW powstał w 2023 roku) zaprezentował w *Synu* wszystko co najlepsze w teatrze lalkowym: spójną, przejmującą opowieść, której ludowe źródła pracują na metaforę współczesności (na podstawie opowiadania Miniszewskiego), świetne projekty lalek Karola Smaczego, humor i ironię jako kontrast dla powagi opowieści – wszak traktuje ona o inności względnej i bezwzględnej, tej, z którą jesteśmy skłonni współpracować i która ma moc wywrócenia naszego życia i strefy komfortu do góry nogami – i mowa w spektaklu nie tylko o coming oucie, ale i kryzysie migracyjnym (Miniszewski jako świadek tego kryzysu, sąsiad granicznego płotu z Białorusią i wrażliwy obserwator potrafi tę złożoność opisać), świetna muzyka na żywo Michała Górczyńskiego, wspaniałe i charakterne głosy Pawła Aignera, Ryszarda Dolińskiego i Danuty Kierklo, które ożywiły lalki. Przepis na sukces. Prosty i złożony zarazem (z całego zespołu i opowieści o podwójnym dnie).

Teatr Rawa wystawił dwa spektakle lalkowe, które połączył ze sobą Bartosz Socha – ożywiający lalkę Pinoka oraz cały autorski pomysł *Angekoka* i temat geograficznie, a czasem i kulturowo odległy, choć zarazem uniwersalny. *Angekoka* jest Innuitą i o północnej historii i podróży opowiada, o śnieżnych drogach, zaklęciach w inuickim języku, w bajce wieją sążniste wiatry zapętlone w looperze i przesypują tony śniegu, zjawiają się góry lodowe, ryby głębinowe, bezlistne jak na północ drzewa, a wszystko to jest

podane w dość surrealistyczny sposób i z humorem – środkowoeuropejskim, skoro widowia żywo reaguje. *Pinok* i *Barbie* na tle *Angekoka* wyróżniają się jednak wyrazistą fabułą (nie brak im również humoru) i dramaturgią. Wojny w baśniach nie są niczym nadzwyczajnym, walka dobra ze złem toczy się w nich nieustannie – tak jak w realu. W *Pinoku* i *Barbie* lalki zostają wysłane w daleką podróż z utopii do dystopii, w której dzieci nie potrzebują zabawek tylko broni. Świat już dokonał tej transgresji, przełamał wiele tabu i nie jest dla nas żadną nowością widok chłopców z kałachami w rękach. Baśń to właśnie zauważyła. Jak w każdej dobrze skonstruowanej baśni, liczy się transgresja. *Pinok* musi stać się chłopcem, *Pchółka* musi stać się lalką, żeby mogli się odnaleźć. Niby happy end, ale przecież wiemy, że darmowe powroty nie istnieją.

Dzień po *Synu* Teatru Wolność na scenie Korezu pojawiła się Córka, Aleksandra Kubiak, performerka i artystka wizualna, z monodramem – czy jak kto woli – z performansem *Czytanie*. Dlaczego córka i dlaczego wątpliwość gatunkowa? Ano dlatego, że Aleksandra Kubiak tworzy społecznie skuteczną sztukę na podstawie doświadczeń rodzinnych, ściślej rzecz biorąc relacji z rodzicami (w szczególności z ojcem), sceniczna radykalna oszczędność, redukująca w zasadzie ruch prawie do zera i wypuklająca słowo czytane (i mówione) wydaje się właśnie mało performatywna – bardziej monodramatyczna. Kubiak w zgodzie z mottem swojej poprzedniej pracy *Sliczna jesteś Laleczko* (Osoba, która przeżyła traumę, musi przepracować wiedzę o bolesnych wydarzeniach i włączyć je do świadomości; C. Garland) tworzy również „Czytanie”. Jest to czytanie przeszłości i siebie, która jest przeszłością. Pamięcią ciała – powiedziałaby Jarosław Fret. Ciało jest pamięcią. Nie tylko ciało pamięta. Nie będzie tu żadnych zasłon ani tarcz przed bolesnym wspomnieniem (czytany z offu), wszystko musi zostać jeszcze raz przeżyte i powtórzone. Kubiak więc powtarza. Ale wyłącznie pojedyncze frazy, z których ostatnia – „nie obudziłaś się” – jest skierowana do zmarłej matki, ale chyba również do siebie, staje się nieskończoną repetycją. Tym samym artystka przynosi uwagę i akcent z doświadczenia przemocy na doświadczenie utraty (choć oba fakty mają związek przyczynowo-skutkowy). Chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do gatunku. Oczywiście *Czytanie* jest performansem, niezależnie od wątpliwości. To, że Aleksandra Kubiak przez cały spektakl jest niemal nieruchoma, pozbawiona emocji, kompletnie, zdawałoby się, zdysocjowana – jest działaniem, reakcją – wydaje się, że właśnie tak wygląda ciało przechodzące przez pamięć; a w każdym razie znajdujące się wewnątrz procesów świadomego przeżywania bólu i utraty.

Na trzydziestelecie festiwalu A Part i dwudziestelecie istnienia teatru, Marcin Herich i zespół przygotował nie tylko retrospekcyjną *Feminę*, ale również nowy, pełnoobsado-



Umarłam ze szczęścia, próba

wy spektakl „Umarłam ze szczęścia”. Natomiast Monika Wachowicz w nowej formule Studio Wachowicz/Fret przedstawiła performans/installację pt: *Granica*.

Pierwszy przynosi nas do lat dwudziestych i Republiki Weimerskiej, ściślej rzecz biorąc – do biografii Anity Barber, niemieckiej performerki (dzisiaj moglibyśmy powiedzieć – matki chrzestnej performansu, a może nawet klubu 27), ostatnich kilku lat jej życia pełnego skandali i kreacji scenicznych. Temat i dekadencja atmosfera niemal idealnie dopasowana do obszarów, które A Part kolonizuje skutecznie, do neokabaretu jako formy przedstawienia i formy do swobodnego kształtowania. Z jednej strony mamy rzeczywiste odwołania, bliższe lub dalsze od pierwowzoru (wariacje), z drugiej teatr i spektakl na wskroś współczesny. A Part zdecydowanie w *Umarłam ze szczęścia* odchodzi od kodów kulturowych i symboli, akcentuje zaś biografię, „momenty biograficzne”, jakby bardziej intensyfikuje doświadczenie czasu. Alegorie są potrzebne, żywoty i biografie równoległe są potrzebne jako narzędzia pracy i opowieści (nawet jeśli to opowieści o skrajnościach – a może właśnie skrajności są w stanie opowiedzieć najwięcej o nas samych)? Ostatni spektakl wprowadza też kilka nowych form, dotąd nieobecnych na tej scenie: w teatr niewerbalny wdzierają się słowo (w podwójnej roli Natalia Kruszyna), śpiew, muzyka na żywo (oryginalne instrumenty wykonane przez Tomasza Manderłę).

Z kolei *Granica*, spektakl wg pomysłu Moniki Wachowicz oraz we współpracy z Jarosławem Fretem, Oleną Matoshniuk i Antoniną Romanową to bodajże pierwsze przedsięwzięcie polsko-ukraińskie na festiwalu, pierwszy w ogóle „tekst teatralny” traktujący o wojnie. Ale przecież nie tylko. Wielka wojna za naszą granicą (nie obawiam się tego przymiotnika; jest to wojna od 2014 roku dla wielu narodów wschodniej i środkowej Europy ocalańcza, wojna na

zyskanie czasu dla państw i narodów) jest również czymś w rodzaju tła, które pożera konkret, to jakby widok z kosmosu, gdzie rozmywa się wszystko co pojedyncze, jednostkowe. Druga rzecz to właśnie indywidualny los, który bierze udział w wojnie, staje się wojną, staje się tekstem wojennym pisany krwią.

Spektakl/installacja *Granica* rozgrywa się na wielu poziomach scenicznych (instalacje, manifesty, rejestracje wideo na ekranie), symbolicznych, egzystencjalnych, psychologicznych, psychodramatycznych (uobecnianie nieobecnych) i rejestruje wiele poziomów granicznych, gdzie dokonują się transgresje: między stanem wojny i pokojem, między płcią biologiczną a płcią utożsamianą, między kosmosem i atmosferą, nieobecnością a uobecnianiem, między fizycznym działaniem twórczym a fizycznym unicestwianiem, między wypowiedzią polityczną i artystyczną, między przestrzenią władzy i służebności wobec niej, wielokrotność granicy ustanawiana w ceremonii spektaklu, granica między przeszłą wojną i możliwością wojny następnej, między własnym ciałem i ciałem innego. Spektakl Wachowicz/Fret/Matoszniuk/Romanova – trzeba zaznaczyć – ciągle ewoluje, powstają jego kolejne wersje i kolejne obszary zostają odsłonięte w trakcie pracy – na scenie teatru i na scenie dramatu, które jest sceną wewnętrzną każdego z nas.

W sobotę i niedzielę dwa ostatnie dni jubileuszowej edycji festiwalu A Part, na scenie Miasta Ogrodów przejęła międzynarodowa kooperacja teatralna VIA NEGATIVA z *Naked Life* oraz Eleni Ploumi z performansem „Misslightenment”, który powstał we współpracy z United Cowboys.

Naked life bardzo mnie zaskoczył, chociaż niby wiedziałem, że Anita Wach i Via Negativa nigdy nie biorą jeńców. Spodziewałem się realizacji poetyckiego języka mówiącego o intymności, spektaklu o życiu, które umyka ciasnym ideologicznym ramom, w które jest wtrącane, czyli tego, co opisywały materiały promocyjne w progra-

mie. Performerki również nie zrobiły tego, co zapowiadały w pierwszej, nieoficjalnej części spektaklu. Miało być o biologicznej i botanicznej nagości, symbiotycznej i romantycznej (kobieta jest kwiatem, dlatego rozumie potrzeby kwiatów), a zrobiło się rewolucyjnie. Oto bowiem pięć aktorek strolowało cały patriarchy z jego ideologicznymi mitem 3xK i pornobiznesem, używając do tego zwyczajnej tarki do warzyw i kilkunastu kilogramów fallicznej marchwi i cukinii. Performerki naprawdę przeszły same siebie, żeby początkowa dwuznaczność aktu tarcia (plecami do nas, w kolektywnym szumie kuchennej pracy) stała się jednoznaczna i nie pozostawiała on żadnych wątpliwości interpretacyjnych. Było trochę śmiesznie, czasem ryzykownie i mało komfortowo – kiedy znoszone były granice między sceną a widownią – cała widownia stała się areną kulturowego agonu – i trochę smutno, gdy uzmysławiałem sobie, że sam jestem częścią systemu podtrzymującego system (prezentacji ciała, uprzedmiotawianie ciała, zysków politycznych i kulturowych z tego czerpanych). A nawet zrobiło się przerażająco, kiedy dotarło do mnie, że spektakl jest również o niekończącej się pracy kobiet. O niewolniczej pracy w służbie systemu i przemysłu generującego gigantyczne zyski, że aktorki ciężko pracują na scenie, przedstawiając tę pracę – jakby na potwierdzenie tej oczywistej refleksji, kiedy po spektaklu proszą o pomoc w posprząnianiu sceny, zostają niemal z tym same (trzy osoby z widowni się zgłosiły, w tym tylko dwóch mężczyzn).

Eleni Ploumi odmieniła nieco scenę 211, chociaż jej spektakl również badał podobny obszar: wpływ kultury patriarchalnej na narracje kobiet, przejmowanie tych narracji (męskie spojrzenie, które formuje i tworzy kobietę oraz objaśnia jej świat). Centralne miejsce na scenie zajęło najpierw ciało (odwrócony akt, dosłownie), na które rzutowane zostały litery i cyfry, symbole, piktogramy, cały cywilizacyjny chaos znaków, które to ciało zaczęły definiować i opisywać

(trochę jak w *Pillow Book* Petera Greenawaya), potem centralne miejsce na scenie zajęła drabina (jako rekwizyt pojawia się również w *Four More* Teatru A Part i pełni tam podobną funkcję) i wokół niej Eleni przez pewien czas budowała sceniczny ruch. Później ciało realne i ciało wyobrażone (kulturowe; cienie rzucane na ekran) zaczęło wchodzić ze sobą w relacje, przenikać się, multiplikować i rozrywać. Ploumi również za pomocą ekstremalnie wyczerpującej choreografii próbowała opowiedzieć o wysiłku, jaki musi zostać włożony w celu zdobycia awansu, w celu zaistnienia i ochrony siebie w rzeczywistości pełnej przemocy symbolicznej i fizycznej, infekującej w zasadzie kulturę już od czasów opowieści antyku.

„Hic sunt dracones” czeskiego kolektywu Divaldo Continuo po mistrzowsku zamknął cały festiwal w Pałacu Młodzieży. Kiluminutowa owacja na stojąco pewnie zakończyłaby się kilkoma bisami, gdyby teatr praktykował bisy. Ale to też urok teatru, że nic dwa razy się nie zdarza. DC swój spektakl zaczęło dość klasycznie jak na teatr fizyczny przystało, ale już przeprowadzając surrealistyczne wolty. Z czasem to właśnie surrealizm przejął całkiem stery nad sceną, nad moją wyobraźnię i logicznymi schematami, wizualnie został on opracowany w każdym szczególe, sekwencji, synchronii i technice. Mityczny kraj, gdzie żyją smoki, nie znajduje się na zewnątrz nas, ale jest to krajobraz wewnętrzny, ułożony w naszej głowie, w każdym razie tak chce ten spektakl widzieć jego twórca, Pavel Štourač. Myślę, że tak również mogłaby wyglądać głowa Bellmera, Rene Magritte’a czy Andre Bretona (por. sześciany), zwłaszcza głowa podróżująca, gubiąca się i odnajdująca w nieprzewidywalnych miejscach i przestrzeniach. Ciało, w którym żyje życie utajone i autonomiczne, które wprawia w ruch jego części i członki, odejmuje je i dodaje i multiplikuje, gdzie ramiona i ręce zamieniają się z udami i łydkami, tułów próbuje różnych konfiguracji, żeby skompletować resztę. Co się właściwie z nami staje, kiedy tracimy kontrolę? Czy podczas snu każda nasza część podróżuje osobno? Divadlo Continuo w zasadzie stworzyło wizualne precioso z tych pytań: piękne i żywe muzeum osobliwości pełne gablot, preparatów, sekretnych ceremonii, które odbywają się, kiedy nikt nie patrzy.

W wykładzie/eseju, który napisałem dla A Partu na jego dwudziestolecie i trzydziestolecie festiwalu (konferencja zorganizowana przez Instytut Korfantego; całość zostanie wydrukowana w specjalnej publikacji) znajduje się taki fragment: „Teatr jako ceremonia. Spektakl jako misterium. Teatr jako fresk ułożony w sekretnym miejscu. W przestrzeni inicjacji. Teatr jako labirynt. Czyli tam, gdzie dokonuje się właśnie transformacja. Przejście z jednego stanu do drugiego”. To jest jedna z najważniejszych obsesji Marcina Hericha i cecha fenomenu, jakim jest ten teatr i jego praktyka. I sam festiwal.

foto. Maciej Dziaczko





Umarłam ze szczęścia, próba



Festiwal A Part – spektakl „Czytanie” Aleksandry Kubiak



Festiwal A Part - spektakl lalkowy „Angekok” Teatru Rawa

Opery współczesne na polskich scenach

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Nowojorska Metropolitan Opera prezentuje rocznie około 200 spektakli. Średnia wieku widzów obniżyła się tam ostatnio do około 45 lat, co stanowi świetny wynik, godny do naśladowania w Polsce. Wynika to między innymi ze zmian repertuarowych, związanych z prezentowaniem dzieł współczesnych. W naszym kraju jest z tym różnie i dyrektorzy często obawiają się ryzyka, decydując się na wystawianie wciąż tych samych „sztandarowych” tytułów. *Traviata*, *Aida* i *Rigoletto* Verdiego, *Carmen* Bizeta, *Tosca*, *Cyganeria* i *Madame Butterfly* Pucciniego – to opery zapewniające dużą frekwencję. Większej uwagi i lepszej promocji wymaga prezentacja oper współczesnych, ale jest to zadanie niezbędne do odpowiedniego funkcjonowania i realizowania misji, związanej z promocją twórczości.

Teatr Wielki w Poznaniu zaplanował na 22 listopada 2024 roku prapremierę opery Zygmunta Krauzego *Ślub* na podstawie słynnego dramatu Witolda Gombrowicza, w reżyserii Krzysztofa Cicheńskiego. Wydarzenie będzie związane z obchodami 120-lecia urodzin i 55. rocznicy śmierci pisarza. Opera Krakowska zaprezentowała na Wawelu (2021), a następnie w swojej siedzibie (2023) oryginalną *Wandę* Joanny Wnuk-Nazarowej, na podstawie misterium Cypriana Kamila Norwida, w bardzo ciekawej reżyserii Waldemara Zawodnińskiego. Spektakl został wydany przez PWM w formie DVD. Opera Krakowska przygotowała również w 2023 roku prapremierę musicalu *Kopernik* Tomasza Szymusia w reżyserii Janusza Sztydlowskiego, według libretta Ałbeny Grabowskiej. Przedstawienie w formie megawidowiska na Wzgórzu Katedralnym we Fromborku wywarło na mnie ogromne wrażenie. Następnie zostało przeniesione do własnej siedziby i jest grane także w skróconej formie dla szkół. Dzięki temu średnia wieku widzów krakowskiej opery mocno się obniżyła.

Opera Śląska przygotowała w 2016 roku premierę świetnego spektaklu *Ubu Król* Krzysztofa Pendereckiego, w oparciu o dramat Alfreda Jarry’ego, w reżyserii Waldemara Zawodnińskiego i otrzymała Złotą Maskę za Przedstawienie Roku. Opera Bałtycka w Gdańsku zrealizowała w 2019 roku europejską premierę *Olgi* brazylijskiego kompozytora Jorge Antunesa w reżyserii Romualda Wiczy-Pokojskiego. Bohaterką spektaklu była Olga Benario Prestes, działaczka komunistyczna żydowskiego pochodzenia,

zamordowana przez nazistów. Opera na Zamku w Szczecinie ma w repertuarze świetny *Proces* Philipa Glassa, na podstawie wybitnej powieści Franza Kafki, w reżyserii Pii Partum. Bardzo dobre było też *Dokręcanie śruby*, uznane za spektakl roku 2016 w Polsce w konkursie Teatralnych Nagród Muzycznych im. Jana Kiepury. Thriller operowy Benjamin Brittena na podstawie noweli Henry’ego Jamesa wyreżyserowała Natalia Babińska. Opera Nova w Bydgoszczy przygotowała w 2021 premierę musicalu *Bulwar zachodzącego słońca* Andrew Lloyda Webbera w reżyserii Jacka Mikołajczyka. Przypadałoby się w repertuarze bydgoskiej sceny jakaś nowa opera (nazwa instytucji zobowiązuje).

Od 22 do 29 listopada 2024 roku w repertuarze Teatru Wielkiego – Opery Narodowej pojawi się *Czarna maska* Krzysztofa Pendereckiego. Reżyserii podjął się wybitny brytyjski twórca David Pountney, współpracujący między innymi z English National Opera, Zürcher Oper, Wiener Staatsoper, Bayerische Staatsoper, a także z Teatrem Wielkim w Poznaniu. Powróci też, zgodnie z życzeniem publiczności, bardzo udana realizacja opery Krzysztofa Meyera *Ślepy tor*, skomponowanej do fascynującego libretta Antoniego Libery, w atrakcyjnej inscenizacji Marka Weissa. Spektakl nawiązuje do konwencji Teatru Absurdu. Na jednej stajecie blisko Berna spotykają się najpierw Moderniści jadący na kongres w Paryżu, później Konserwatyści wybierający się na „Dni Świętości” do Rzymu, a w końcu Barbarzyńcy i Terrorysty, podążający do Berlina. Przedstawienie porusza temat kryzysu cywilizacji zachodnioeuropejskiej i nieustannych zagrożeń współczesnego świata. Warszawska Opera Kameralna wystawiła w 2017 roku *Tango* Michała Dobrzyńskiego z jego librettem na podstawie dramatu Sławomira Mrożka, w reżyserii Macieja Wojtyłki. Natomiast w 2023 roku odbyła się premiera opery buffa *Telefon* i opery kameralnej „Medium” Giana Carlo Menottiego, nawiązującej do nurtu francuskiego kina noir, w reżyserii Jakuba Przebindowskiego. Polska Opera Królewska ma w repertuarze udaną inscenizację opery *Noc kraków* Zygmunta Krauzego w reżyserii Waldemara Raźniaka. Ciekawe libretto stworzyła Małgorzata Sikorska-Miszczyk, inspirowana *Balladami i romansami* oraz *Dziadami* Adama Mickiewicza. Prapremiera odbyła się w 2022 roku.

Teatr Wielki w Łodzi wystawił w listopadzie 2023 roku wybitną operę Krzysztofa Pendereckiego *Raj utracony* w trochę przeładowanej wizualnie, ale imponującej inscenizacji Michała Znanieckiego. Spektakl został wydany na DVD i jest nominowany do Teatralnej Nagrody Muzycznej im. Jana Kiepury jako przedstawienie roku. Libretto Christophera Fry’a powstało na podstawie genialnego poematu Johna Milтона. Przedstawienie zostało precyzyjnie poprowadzone muzycznie przez dyrektora Rafała Janiaka. Teatr Wielki powrócił także do wybitnego spektaklu *Tramwaj zwany pożądaniem* André Prevína w mistrzowskiej reżyserii Macieja Prusa, pod batutą Tadeusza Kozłowskiego. Libretto Philipa Littella powstało na podstawie słynnego dramatu Tennessee Williamsa. *Tramwaj...* ogłoszono spektaklem roku w Polsce w konkursie Teatralnych Nagród Muzycznych. W maju 2025 roku zostanie wznowiona (po kilku latach przerwy) opera Rafała Janiaka z librettem Małgorzaty Sikorskiej-Miszczyk *Człowiek z Manufaktury* w reżyserii Waldemara Zawodnińskiego. Janiak otrzymał Grand Prix w Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim, ogłoszonym przez Teatr Wielki w Łodzi i realizowanym przeze mnie aż do premiery wersji plenerowej na Rynku Łódzkiej Manufaktury. Spektakl otrzymał Nadzwyczajną Złotą Maskę i miejmy nadzieję, że wreszcie uda się go zarejestrować dla telewizji.

Opera Lubelska, która kilka miesięcy temu hucznie zmieniła nazwę z Teatru Muzycznego w Lublinie, wystawiła w marcu premierę musicalu *Jesus Christ Superstar* Andrew Lloyda Webbera i Tima Rice’a w ciekawej reżyserii Tomasza Mana. Teatr chyba nie ma na razie ambicji wystawiania operowych dzieł współczesnych. Opera i Filharmonia Podlaska również wystawiła w marcu *Jesus Christ Superstar*, w kultowej inscenizacji Jakuba Wociała i Santiago Bello. W ubiegłym roku widziałem na tej scenie intrygujący *Dyptyk Wielkanocny* w reżyserii Michała Znanieckiego. Oprócz opery *Cavaleria rusticana* usłyszałem i zobaczyłem wstrząsającą *Via Crucis* (Drogę Krzyżową) Pawła Łukaszeńskiego, zaprezentowaną w rozbudowanej inscenizacyjnie formie Misterium Męki Pańskiej. Na 18 sierpnia jest zapowiadana prapremiera opery Pawła Łukaszeńskiego *Joasz – król judzki* w wersji koncertowej. Libretto Pietra Metastasia nawiązuje do Starego Testamentu.



JAN MIODEK

Cerkwie i Iwany na Śląsku

Tytuł dzisiejszego odcinka nie jest żadną prowokacją, ale historycznojęzykową prawdą. A dlaczego?

Zacznijmy od *cerkwi*. Współczesne leksykony, np. „Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisa z roku 2003, definiują ją – w całkowitej zgodzie z powszechnymi odczuciami – jako „świątynię chrześcijańską obrządku prawosławnego lub Kościołów wschodnich” (*złociste kopuły cerkwi, chodzić do cerkwi*), „instytucję hierarchiczną wyznania prawosławnego i greckokatolickiego reprezentowaną przez duchownych” (*Cerkiew prawosławna, greckokatolicka, grecka, rosyjska*), „grupę, wspólnotę ludzi wyznania prawosławnego lub greckokatolickiego” (*należać do cerkwi*).

Takie znaczenia *cerkwi* utrwaliły się jednak ostatecznie dopiero w XVI wieku, w epoce intensywnego już obcowania żywiołu polskiego z ruskim. Wcześniej – pochodząca od prasłowiańskiego rzeczownika *crky*, nawiązującego do zapożyczonego przed X wiekiem grackiego przymiotnika *kyriakos*, „należący do pana, pański” (od niego też niemiecki rzeczownik *Kirche* „świątynia, kościół”) – była *cerkiew* i jej warianty *cerkiew*, *cyrkiew* określeniem „kościół, świątyni – i jako budowli, i jako instytucji”. Czytamy w tekstach staropolskich: „Pośród cerkwie chwalę cię będę”, „Spowiadać ci się będę w cyrkwii” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Matki świętej cerkwie” (Kodeks dzikowski z XVI w.), „Założca jest cerkwie” (Psałterz puławski z końca XV lub pocz. XVI w.), „I z świętą cerkwią dziś zawołał: Veni, domine” (Kazania świętokrzyskie – odpis XIV-wieczny z XIII-wiecznego brulionu lub oryginału), „Ciebie czci cyrkiew święta” (Legenda o św. Dorocie z r. ok. 1420).

We wczesnym średniowieczu powstały też nazwy miejscowe wywodzące się od *cerkwi*. Było ich szesnaście, w tym – podkreślmy – pięć na Śląsku: *Cerekwica* w pow. trzebnickim (najstarszy zapis *Circvice* z r. 1155), *Domaniewa Cyrki* (zapis z r. 1267) – dziś *Domaniew* w pow. oławskim, *Nowa Cerkwia* w pow.

głubczyckim, *Polska Cerekiew* w pow. kozielskim i *Wysoka Cerekiew* w pow. głogowskim.

Kiedy spojrzymy wyżej na prasłowiańską postać *crky*, nietrudno stwierdzić, że szczególnie archaiczne, bo zachowujące pierwotny mianownik liczby poj., było brzmienie *cyrki* w śląskiej nazwie miejscowej *Domaniewa Cyrki* – dziś znanej jako *Domaniew*.

Na polskim obszarze językowym mamy jeszcze *Cerekiew* w pow. radomskim i bocheńskim, *Cerekwicę* w pow. pleszewskim, poznańskim i złotowskim, *Cerekwicę Małą* albo *Pol-ską* i *Cerekwicę Wielką* w pow. gnieźnieńskim, *Cerkiew* w pow. słupskim oraz *Cerkowiznę* i *Podcerkowiznę* w pow. radomszczańskim.

Także *pop* – od greckiego *pappas* „ojciec” (od którego pochodzi również *papież*) – dziś „duchowny w Kościele prawosławnym i grekokatolickim” – aż do XVI stulecia był określeniem duchownego katolickiego: „Jeś pop na wieki” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Bo jest był pop wierzchniego Boga” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Rozdał srebro, złoto popom, żakom” (Legenda o św. Aleksym z r. 1454). Pisał Aleksander Brueckner w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z r. 1927: „*Pop, popek, popi* – oznacza dziś tylko „księdza ruskiego”, ale jeszcze w 15. i 16. wieku „rzymskiego”, a świadczą o tem wszelakie nazwy miejscowe: *Popowo* itd., rozsiane po całej Polsce”. A Stanisław Rospond w „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984: „O powszechności wyrazu *pop* = „ksiądz” świadczą liczne nazwy dzierżawcze i patronimiczne rozsiane po całej Polsce, nie tylko na pograniczu polsko-ruskim: *Popowie* koło Wielunia, Grójca, Jędrzejowa, Wieliczki, Tarnobrzegu itp. *Popów* koło Kłobucka miał formę żeńską: *Popowa* 1395 r. Na Śląsku jest znane nazwisko *Pop*”, do którego dołączyć możemy – za „Nazwiskami Polaków” Kazimierza Rymuta z roku 1991 – takie formy, jak *Popa*, *Popczyc*, *Popczyk*, *Popek*, *Popik*, *Popiuk*, *Popka*, *Popko*, *Popkiewicz*, *Popkow*, *Popkowicz*, *Popkowski*, *Popow*, *Popowicz*, *Popów*. Jako zaś wrocławianin nie mogę nie przywołać nazwy największego osiedla w zachodniej części stolicy Dolnego Śląska, którym są *Popowice*.

Zanim *ksiądz* – zapożyczony z germańskiego *kuningaz* „król” – stał się ostatecznie określeniem duchownego katolickiego, długo funkcjonował w znaczeniu „książe, władca”: „Postawił jej panem domu swego i księdzem wszego bydła swego” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Swego księdza szukając” (Legenda o św. Aleksym

z r. 1454), „Jan Olbracht z bożej łaski król polski, najwyższy książdz litewski” (Kodeks dzikowski z lat 1501 i 1523).

Kościół z kolei – z łac. *castellum* „miejsce obwarowane, zamek, twierdza”, bezpośrednio przejęty ze staroczeskiej postaci *kostel* – przeszedł ewolucyjną drogę od tego pierwotnego znaczenia do „świątyni chrześcijańskiej” – jak pisze Wiesław Boryś w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 2005 – „w związku z lokalizacją pierwszych kościołów na ziemiach słowiańskich w kompleksach zamkowych z ich wyglądem przypominającym zamki z powodu wież i umocnionych murów”. Dopowiadając, znów mogę przywołać śląskie exempla, jak chociażby olbrzymi – doprawdy jak twierdza wyglądający – kościół w Strzegomiu czy kościół św. Marcina na wrocławskim Ostrowie Tumskim – dawną kaplicę zamkową.

Czas nawiązać do drugiego członu tytułu dzisiejszego odcinka „Śląskiej ojczyzny polszczyzny”, czyli do imienia *Iwan*. Przypominam sobie w tym momencie jednego z tarnogórskich kolegów szkolnych o nazwisku *Wanior* i długoletniego pracownika Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach Stanisława *Waniczka* (typowe nazwisko Śląska Cieszyńskiego, morfologicznie należące do ciągu *Janiczek, Jasiczek, Kubiczek, Staniczek, Stasiczek, Szymiczek, Tomiczek*), a do tych dwu form mógłbym dołączyć takie jeszcze postacie nazewnicze, jak *Wanek, Wanic, Waniec, Wanieczko, Waniek, Waniel, Waniewicz, Wanik, Waniło, Waniuk, Wanko, Wańczyk, Wańczura*. Wszystkie one – wraz z szeregiem *Iwan, Iwanek, Iwanik, Iwanski, Iwanic, Iwanin, Iwaniuk, Iwanko, Iwańczyk, Iwankiewicz, Iwanów* – tworzą wielką grupę derywatów wywiedzionych od podstawy *Iwan*, we współczesnej świadomości językowej zrosniętej ze wschodnią Słowiańszczyzną (tak jak *cerkiew*). W średniowieczu było inaczej: *Iwan* – jedna ze słowiańskich postaci przyswojonego z języka hebrajskiego imienia *Jehohanan* „Jahwe (Bóg) jest łaskaw” – wraz z *Janem* tworzył najczęstszą w języku polskim parę nazewniczą, a w tekstach staropolskich aż się roi od zapisów, w których tę samą osobę raz nazywa się *Janem*, raz *Iwanem* (Witold Taszycki: *Pierwiastek chrześcijański w polskich nazwach miejscowych*, „Rozprawy i studia polonistyczne”, Wrocław 1958, t. I, s. 269–87). Tak było w Małopolsce, na Śląsku i w Wielkopolsce, a więc na osi, o której często się mówi, że to antykwisima Polonia – najstarsza Polska.

Dla oprawców epizod, dla ofiar śmierć

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Przez wieki Polska – nasza Ojczyzna – była krajem wielonarodowym i wieloetnicznym. Warto znać historię tych grup, ich kulturę, dokonania, ambicje. Warto też prześledzić ich wzajemne relacje, w tym relacje między większością i mniejszością i odwrotnie. Te realia nas wzbogacały. Ale czy mamy tego świadomość w czasach uproszczeń i falsyfikacji oraz agresywnych treści internetowych? Dlatego warto odwołać się do dorobku polskich uczonych – historyków i antropologów rzeczowo analizujących naszą przeszłość, w tym do *Państwa bez stosów* Janusza Tazbira czy innych relacjonujących nasze stosunki interetniczne. Chodzi także o trudne stosunki na dawnych Kresach Wschodnich. I tu ukłon zwłaszcza w stronę prof. Stanisława Sławomira Niciei, autora wielotomowej *Atlantydy Kresów* i Włodzimierza Mędrzeckiego. Ale przy stosowaniu terminu „Kresy Wschodnie” pamiętajmy, iż odnosi się on nie tylko do aspektu historycznego, ale także przestrzennego, oznaczającego dziś koniec istnienia tam polskiej kultury i tożsamości. Ale są też Kresy Zachodnie. To już nasze ziemie, a więc ich badaczy niewątpliwie znamy. Nie tylko prof. Ryszarda Kaczmarka. Chyba?!

O specyfice naszej polskiej historii, o stosunku wobec obcych warto wiedzieć zwłaszcza obecnie, kiedy rodzi się wśród nas obawa, a nawet niechęć do „nie-swoich”, „innych”, właśnie „obcych”. Pomijam tu współczesne zjawisko uchodźców, w tym narbrzmiały wokół nich dziwny „dyskurs”. Dziś stajemy wobec nowych realiów i wyzwania, i to zarówno starych, jak i nowych. A przecież dawniej byliśmy obszarem tolerancji, choć oczywiście wzajemne relacje nie były łatwe. W tym kontekście pojawia się wiele niechęci wobec obcych; przykładem nie tylko ustawicznie meantryjacy antysemityzm ale i antycyganizm. Niestety zapominamy dziś o niemieckim ludobójstwie w latach II wojny światowej. Wobec nas, Polaków, jak i ustawicznie zapominamy Romów.

Szkoda, że nie interesują nas losy tej grupy etnicznej. A przecież Romowie żyją wśród nas – jak dowiódł znakomity romolog prof. Lech Mróz – od 1401 roku. Wiemy mało lub nic o ich historii, kulturze, o specyfice ich bytowania. Tymczasem Romowie to grupa o bogatej kulturze, nadto grupa zróżnicowana, wszak w naszych realiach dzieli się na cztery duże odłamy o różnym pochodzeniu i swoistych odrębnościach. Bo to tzw. Bergitka Roma czyli Romowie Górscy, wykazująca silne związki ze Słowacją, dalej Polska Roma czyli średniowieczni, ale nie tylko, potomkowie Romów uciekinierów z obszarów niemieckich, dalej Keldaresze, czyli Romowie przybyli z terenów Mołdawii i Wołoszczyzny, i wreszcie Lowarzy, pochodzący z Siedmiogrodu. Są oni przedmiotem badań cyganologii, dziś częściej określanej jako romologia.

Wszyscy oni byli ofiarami niemieckich prześladowań, ofiarami tragedii w obozach koncentracyjnych, w tym w Auschwitzu. Nie wiemy o ich mordowaniu po lasach, polach i łąkach. Zwróćmy zatem szczególną uwagę na straszliwe wydarzenie z 2–3 sierpnia 1944 roku. To symbol zagłady Romów, czyli stosując termin językowy tej grupy – Porrajmos. W tym dniu w Auschwitz więźniów Zigeunerlager dotknęła okrutna zbrodnia. Nocą uwięzionych Romów, głównie dzieci, kobiety i starców przewieziono ciężarówkami do komór gazowych. Życie straciło 2897 osób. Według ostatnich badań pracowników państwowego muzeum Auschwitz-Birkenau liczba ofiar była jednak większa. Życie straciło od 4200–4300 osób.

Ta informacja jest już zawarta w przewodniku po obozie *Zagłada europejskich Romów w KL Auschwitz*. Specyfikę i dramat tego momentu oddają zapisy ówczesnych więźniów. Na początku odwołajmy się do relacji jednego z nich, to znaczy Mariana Perskiego. Był członkiem obsługi kantyny w Zigeunerfamilienlager. Notuję: „Gdy zapadł zmrok przyjechało około ośmiu ciężarowych samochodów, które podjeżdżały pod bloki i kolejno zabierały Cyganów wśród niesamowite-

go krzyku, płaczu i przekleństw odwoziły do krematorium. Samochody zawracały po kilkanaście razy. Prawdopodobnie (...) Cyganie zorientowany się w sytuacji, rzucili się na esesmanów, którzy użyli broni, ponieważ do naszych uszu dochodziły krzyki i odgłosy strzałów”. Wedle innych relacji zaatakowani Cyganie nie stawiali oporu. Dlaczego? Bo byli przerażeni. Ponadto większość z nich to były dzieci, kobiety i starzy ludzie. Cyganie byli przerażeni, bo jak pisze inny więzień – to jest Tadeusz Jakimowski pełniący w Zigeunerfamilienlager funkcję pisarza – od razu „zorientowali się, że zostaną zabrani do komór gazowych”. I dlatego czynnego oporu nie stawiali.

O perfidii załogi obozu koncentracyjnego najlepiej świadczy to, że więźniów dzielono według prostej zasady. Osadzano tych, którzy byli jeszcze do czegoś potrzebni, a tych niezdolnych do pracy, zgodnie z zasadą „nadludzi”, skazywano na śmierć. Przez cały okres funkcjonowania „niemieckiej fabryki śmierci” zginęło około 21 tysięcy Romów. Więźniami i ofiarami byli Romowie z obszaru Niemiec, Austrii, z protektoratu Czech i Moraw, z Litwy, Węgier, Holandii, Belgii, a polscy Romowie stanowili 6,8 % ogółu. I jeszcze jedno. Otóż to tragiczne wydarzenie z nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 roku jest od 1993 roku upamiętniane, uroczystości świętowane. A wszystko to dzięki inicjatywie Romana Kwiatkowskiego, Prezesa Stowarzyszenia Romów w Polsce.

Dzień 2 sierpnia ustanowiono jako upamiętnienie zagłady Romów. I w tym miejscu odwołam się do wspomnienia z 1997 roku. Gościłem wówczas w Heidelbergu u Romani Rose, prezesa *Zentralrat Deutscher Sinti und Roma*. Powiedział mi wtedy, że owe sierpniowe wydarzenia były dla niemieckiej załogi obozu tylko epizodem, jednym z wielu, a dla Romów tragedią, jedną z wielu. Kiedyś w czasie uroczystości jedna z romskich kobiet powiedziała po moim wystąpieniu, że mam rację, że teraz nasi przodkowie w niebie jeżdżą po niebieskich łąkach taborami. I dodała. „Ale nam dziś już żyć nawet nie płyną”.

Hybrydy (12)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Trzecia burza jednego dnia

Trzy burze jednego dnia, każda inna. Trzecia toczy szare kamienie po niebie, puste w środku, czy to możliwe? Kieruje się na wschód w stronę Kansas, tak się tutaj mówi o Konstancynowie. W Mikołajewicach żywego ducha, tylko deszcz tłucze o dach kościoła. A jednak ktoś idzie powoli skrajem drogi, długie włosy wyglądają jak strugi deszczu, chuda twarz przecięta troską. Poznałem, nowy proboszcz, rozmawialiśmy niedawno w piekarni. Takie szczęście, ma modrzewiowy kościół z baroku, piękne lipy też z tego czasu oraz parafię z niedalekiej przyszłości. Ode-montował strych w domu parafialnym, wstawił bilard, stół do pingponga i tram-bambulę, to znaczy piłkarzyki, ale rzadko kto zagląda, dobre kazania też nie przy-ciągają młodych. Deszcz obmywa nowe ściany i wieże, przyciemnia mur, również odnowiony, spływa kamiennymi kanałami prosto do rowu. Mówię, szkoda. Ktoś ciemny to powiedział czy jasny? Szkoda, że woda nie wymyła głębokiej jamy i nie można zajrzeć w przeszłość. Choćby w epokę miedzi, żeby dojrzeć ślady kurhanu typowego dla kultury ceramiki sznurowej albo znaleźć jakieś rytualne naczynie sprzed chrztu Polski, albo coś bliższego, kilka belek ze spalonego pierwszego kościoła, bo ten jest drugi. Spojrzałoby się tylko w jamę i stwierdziło – to miejsce odwiecznego kultu, a potem zasypało.

Wróciłem niedawno z Zabrza, to stąd ta jama, ta wymyślona podróż do wnętrza ziemi, tłumaczę sobie. Widziałem, jak konia uwieszonego na pasach z materiału opuszczano do szybu kopalni, nigdy nie wyciągano. To trwało wieki, trzy a czasem nawet pięć godzin. Opiekun schodził po drabinie i cały czas mówił do skazanego na pracę w podziemiach. Szkoda, że nie wydano tych monologów, dziś też by uspakajały, ale nie mnie, ja udawałbym, że nie słyszę, ja wierzę byłbym. Powiedziałem to przewodnikowi. Nie warto było wierzyć, trzeba było się opanować, inaczej spadłby pan, to zna-

czy koń – do szybu. Gdybym wiedział, odparłem, że nie osłepnę i wrócę na powierzchnię, to może bym się uspokoił. Wie pan, to właśnie godał opiekun, o trawie, słońcu i takich tam. Godał czy bamoncił, w tej ulewie nie mogłem sobie przypomnieć, jakiego słowa użył przewodnik.

Deszcz zmył z muru dwie klepsydry, sklepiły się i płyną razem. Wyławiam je, choć się do niczego nie nadają, zresztą są już nieaktualne, nikt ich nie zdjął po pogrzebach. Muszę je zanieść do kruchty, żeby wyschły i wtedy zauważam, że płyną jeszcze dwie, każda osobno. Złapałem, rozglądam się, ale nie, nie zostałem wystawiony na próbę, strumieniem nie płyną tysiące klepsydr.

Dwaj chłopcy stąd rozmawiają o autkach

Czczość. Piękne słowo, ale czy dobre po przebudzeniu? Dopiero za trzecim razem udało się je wymówić. Jeszcze piękniejsze niż nienasycenie. Powiedziałem sobie przed badaniami, że na dzień niczego nie ma, bo czczość nie ma dna. I wtedy usłyszałem ten głos, który się odzywa, gdy coś piszę, nie pisz, męczysz się, po co, albo kiedy jadę rowerem, już wystarczy, zawróć, nogi ci zabolą, a teraz powiedział, będziesz się tylko martwić, co to zmieni, ale pojechałem, szybko, żeby nie dawać mu okazji. Zagłuszałem znajomy wers: „czczość dzwonów i daremność zrozumiał pogrzebu”, bo ten głos go napisał.

Dwaj chłopcy stąd rozmawiają, żeby wszyscy słyszeli, o autkach, wiadomo, szybkich, dopiero za rok mogą zrobić prawko. Już pędzą po zakrętach, choć jeszcze nie jeździli. Pojemności, ile do setki, felgi, koniec motoryzacji, dwie marki tylko zostały, spierają się o kabrio. Są przed nami, przed panią Wandą i przede mną, w kolejce do pobrania krwi. Chciałem się upomnieć o alfę, bo nie wymienili, ale nie zdążyłem, wchodzą razem. Jakby byli tymi samochodami! Zgadzałem się z panią, pani Wando, i z nimi też. Nie myślą o wypadkach, ja

też nie myślałem, a dziś, jedno uderzenie może odsłonić katastrofę starej maszyny. Podejdźmy do okna, coś panu pokażę. Na parkingu przed przychodnią stoi od dawna czerwony peugeot, ktoś go zostawił kilka miesięcy temu, rejestracja z tego powiatu. Tak się to kończy, pokazuje ręką. No, a teraz moja kolej. Mam siedem kroków do drzwi laboratorium, wiem, że zdążę. Pani Wando, chcieli zbudować chlewnię pięćset metrów od pani domu, nie zbudowali. Szybka kolej miała iść przez pani dom, nie pójdzie. Teraz też da Pani radę. Wychodzą tamci dwaj, jednego z Leśnicy poznaję, w niedzielę zatruwa okolicę swoim quadem.

Z daleka widzę, że coś wisi na progu, to przez niedomknięte drzwi wysunęła się dziurawa poduszka. Nikt nie podniósł z ziemi dwóch kaset magnetofonowych. Peżocik stoi bezradnie z zezowatymi reflektorami. Uderzenie odsłoniło wnętrze, chłodnicę jak ze starej tektury, popękane rurki gumowe, przewody na słowo honoru, jakąś listwę – szramę i masę rdzy jak na gruszach przy stawie, wczoraj widziałem, może jednak uda się uratować. Autko przypomina pacjenta, który uciekł ze stołu operacyjnego i chciałby wrócić, a nie może. Czekam na panią Wandę, pięć minut mam mocno uciskać rękę. Od razu mówi, że dwieście piątka to super wóz, z bratem pojechali nim z Bordeaux do Mont Saint-Michel, kawał drogi, kupili używanego za pracę na winnicy, na czarno. Tylko tamten był niebieski. Tu skończyliśmy żniwa, tam zaczęliśmy winobranie. Raz byłem za granicą i wystarczy. Zaglądam do środka, jest jeszcze jedna kaseta, wyskoczyła z odtwarzacza, to *The Shadows*, wygląda, że za-trzymała się w połowie. Na oparciu błyszczą drewniane koraliki do masowania pleców. Też znam te miejsca, chciałbym spytać, czy się podobały, ale pani Wando już nie ma. Przeszła ze trzydzieści metrów i macha ręką na pożegnanie. Do widzenia, niech pani uciska rękę! Wiem, co mówi pod nosem, wy młodzi. ■



Na barkach olbrzymów

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I „Siedzę na barkach gigantów” – przyznał kiedyś, pod koniec swej naukowej kariery, jeden z najbardziej znanych we współczesnym świecie socjologów Zygmunt Bauman. Przytoczył je Dariusz Rosiak, autor biografii tego wybitnego socjologa – jednej z kilku dostępnych na rynku księgarskim. Rosiak usłyszał w tym wyznaniu Baumana echa deklaracji Isaaca Newtona, który przyznawał w jednym z listów: „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów”. A może to parafraza zaczerpnięta z Bernarda z Chartres, który pisał „Jesteśmy jak karły, które wspinają się na ramiona gigantów, by widzieć więcej od nich i dalej sięgać wzrokiem, i to nie za sprawą bystrości swojego wzroku, czy wysokości ciała, lecz dzięki temu, że wspinały się w górę i wznosimy na wysokość gigantów”. Skromne i proste. Odwrotnie, łatwo wszak zauważyć, że przesadne poczucie własnej wielkości – zwłaszcza jeśli potwierdzone przez świat – często zakłóca widzenie tego co dzieje się wokół we właściwych proporcjach.

II Tym ciekawsze są przypadki, kiedy wyniesiony modą na szczyty twórca nie ztraca umiejętności rozpoznawania swojego miejsca w szeregu. To właśnie przypadek Zygmunta Baumana. Miałem niegdyś okazję na dłuższą rozmowę/wywiad z tym wybitnym socjologiem (najpierw ukazał się w Kwartalniku Kulturalnym „Opcje”, przedrukowano go później, w tomie zbiorowym *O nowoczesnym stanie rzeczy*. Z Zygmuntem Baumanem rozmawiają Krzysztof Łęcki i Mirosław Tyl, w: *Socjologia łuska. O formach i stylach komentarza socjologicznego*, red. Marcin Gacek. Studia Grafpa Kraków 2018). Jednocześnie zdarza się, że z racji mojej profesji pyta się mnie niekiedy, co sądzę o Baumanie. Otóż tak, znam życiorys Baumana, ale powiedzieć mogę tyle tylko, że nie czuję się powołany do osądzania jego biografii – przywilej „późnego urodzenia” daje tu zbyt łatwą do oskarżeń perspektywę. Bauman, którego miałem okazję poznać, był w każdym calu dżentelmenem, a jego twórczość pisarska (rzadko używam takiego sformułowania w odniesieniu do przedstawicieli nauk społecznych) na pewno zasługuje na najwyższą uwagę.

III Kiedyś odwołując się do filmu Milosa Formana *Amadeusz*, użyłem określenia *kompleks Salieriego*. Opisywał on pewien typ sytuacji mentalnej, którą uosabiał filmowy rywal Mozarta, Salieri. Wiedział on mianowicie, że jego, Salieriego, sławę u współczesnych zerze w proch wpływający czas, a muzyka Mozarta przetrwa, bo zapisana jest tak, jakby mu ją Bóg dyktował. Ta wiedza, która łączy niekoniecznie zresztą mikry talent własny z przeklinaną być może w duchu umiejętnością rozpoznania prawdziwej wielkości. I to nawet wtedy, gdy ta prawdziwa wielkość nie znajduje akurat dostatecznego pokłasku wśród tzw. towarzystwa. Nie jest to pewnie w świecie artystycznym sytuacja powszechna, ale zdarza się. I stąd kompleks. Warto obejrzeć film Formana, równocześnie czytając poświęcony Mozartowi esej autorstwa Norberta Elias. Podtytuł tego szkicu w polskim tłumaczeniu jest przekręcony i brzmi *portret geniusza*, gdy przetłumaczyć go literalnie, brzmiałby *socjologia geniusza*. Wydawałoby się, że mniejsza o to, że idzie o nieistotny szczegół. Ale żyjemy w trudnych czasach demokratyzacji geniuszu, czasach, w których każdy okazać może się geniuszem, a niektórzy – jak wielu: nie wiem – nawet w to wierzą. Otóż Zygmunt Bauman okrzyknięty został prorokiem ponowoczesności – „Bez Baumana nie zrozumiesz świata” takim sloganem reklamowana jest jego biografia. Na okładce książki znaleźć można frapującą reklamę jej bohatera. „Znany na całym świecie wybitny socjolog. Oskarżany o relatywizm, ale cytowany przez Benedykta XVI i doceniany przez papieża Franciszka. Autor pojęcia «płynna nowoczesność», które zrobiło zawrotną karierę w naukach humanistycznych”. No cóż, kariera „płynnej nowoczesności” zdaje się bezdyskusyjna. Podtytuł ostatniego zbioru tekstów Umberto Eco brzmi „Kroniki płynnej nowoczesności”. A Benedykt XVI rzeczywiście poczynił swego czasu następującą uwagę: „Wenecja, miasto wody, nasuwa myśl o sławnym współczesnym socjologu, który określił jako «płynne» nasze społeczeństwo, a kulturę europejską jak kulturę «płynną», by opisać jej niestałość, jej słabą stabilizację czy może brak stabilności, zmienność, nietrwałość, która czasem

zdaje się ją charakteryzować”. Dzisiaj kiedy oglądamy w Internecie fotografię zalanej wodą, podtopionej Wenecji, metafora Baumana zyskuje dodatkowo, jeszcze bardziej dramatyczny czy nawet tragiczny wymiar.

IV Kilkanaście lat temu środowiska lewicowo-liberalne chciały uczynić Baumana swoim guru – ostentacyjnie postawić go w kontrze do swego dawnego idola, wybitnego filozofa, Leszka Kołakowskiego. Jak na te próby osadzenia go na tronie Największego Intelektualisty Naszych Czasów zareagował Bauman? No cóż, wyznał, że uważa się „za ucznia Leszka [Kołakowskiego]”. I dodawał – „A nadto, jeśli on jest w pierwszej lidze, to ja najwyżej w A klasie”. A cóż miał do powiedzenia Leszek Kołakowski? Po śmierci polskiego papieża Kołakowski opublikował artykuł *Prorok odpowiedzialnej wolności*. Napisał w nim, że Jana Pawła II charakteryzowało głębokie rozumienie własnej epoki, chociaż zaprzeczał temu ci – a jest ich wielu – którzy stawiają znak równości pomiędzy rozumieniem swoich czasów, a bezrefleksyjnym uleganiem aktualnym trendom i modom z myślą o ułagodzeniu potencjalnych krytyków. W ten sam sposób określić by można postawę Leszka Kołakowskiego. Ma on przy tym – charakterystyczny dla ludzi naprawdę mądrych – dystans do intelektualnych mód. Jak pisze biograf Baumana Dariusz Rosiak: „Kołakowski dryfował w stronę prawicy, ostatecznie został przez nią zaadoptowany i uznany za mistrza nawet przez katolickich konserwatystów”. No cóż, książkę Rosiaka dobrze się czyta, ale skąd pomysł o „dryfie” wybitnego filozofa, jakim był i pozostanie Kołakowski? Czyż odchodzenie od ideologii w poszukiwaniu Prawdy można nazwać dryfowaniem? Myślę, że wątplię.

V Leszek Kołakowski w pisanych na początku lat 50. XX w. *Szkicach z filozofii katolickiej* przedstawiać się mógł jako osobisty wróg Pana Boga. Tyle, że w dziewiątej dekadzie XX wieku dał swojej książce *Religion* zapożyczony od Fiodora Dostojewskiego tytuł *Jeśli Boga nie ma...* Którą z nich warto dziś czytać? A to już zależy od literackiego smaku i poziomu intelektualnego czytelnika/czytelniczki...

Wspomnienia urwisa

TOMASZ DZIANOWICZ

Mama zostaje dentystką

Nasza rodzina, tak jak prawie wszystkie rodziny w Polsce, była całkowicie nieprzygotowana na wybuch wojny. Nie zgromadziliśmy żadnych zapasów, nie mieliśmy też żadnych środków, które złagodziłyby szok wywołany nagłą zmianą warunków bytowych. Poza drobną biżuterią nie posiadaliśmy ani obcych walut, ani złota, ani jakichkolwiek innych walorów. Wprawdzie tata miał w swoim biurku jedną dużą szufladę wypełnioną po brzegi akcjami Cegielskiego, a drugą podobnymi papierami innych fabryk w Mielcu czy Rzeszowie, ale każdy się domyśla, co można było w zaistniałej sytuacji z tymi akcjami zrobić. Zresztą ojciec, policjant, wyjechał do Rumunii jako obstawa jakichś oficjeli, więc na pomoc z jego strony w żadnej mierze nie można było liczyć.

Mama, gospodyni domowa – jak to się wówczas określało „przy mężu” – miała ukończone kursy handlowe i posiadała dyplom felczerski z dentystyki, nie miała jednak żadnej praktyki w obydwu tych dziedzinach. Na szczęście posiadała, jak to się mówi, głowę – błyskawicznie analizowała sytuację i natychmiast podejmowała słuszną decyzję. Miała też charakter, odwagę i urok osobisty. No i przy tym wszystkim była pracowita. (Pod tym względem tylko Dzidzia wrodziła się w mamę). Ach, jeszcze jedno! Mama znakomicie mówiła po niemiecku i po rosyjsku. Niemcy, słuchając jej, byli pewni, że jest stuprocentową Niemką, a Rosjanie, że Rosjanką.

Zaraz w pierwszych dniach wojny mama dokonała wyboru. Handel? Czemu nie, jak nadarzy się okazja, to i owszem. Jednak zęby – rozumowała – będą ludzi bolały zawsze, niezależnie od polityki i wydarzeń na frontach. Oznajmiła nam zatem: „Zostanę dentystką!”

Bardzo szybko urządziła sobie przenośny gabinet. Wszystko, co niezbędne, zmieściła w sporej walizce. W pokoju na stałe zainstalowany był tylko sterylizator parowy. Mama

szaloną wagę przywiązywała do aseptyki i dzięki temu przez wszystkie te lata nigdy nikogo nie zakaziła. Miała też chyba niebywałe szczęście, bo nie pamiętam, aby kiedykolwiek mówiła o jakimś nadzwyczaj trudnym przypadku, o silnym krwotoku na przykład. W szczelnej szafce wisiały białe fartuchy i leżały wyprane i wyprasowane bardzo gorącym żelazkiem prześcieradła i ręczniki. Zaledwie kilka minut wystarczało, żeby z pokoju zrobić funkcjonalny gabinet: na specjalnie wykonanym podwyższeniu odpowiednio przerobiony i okryty prześcieradłem leżak udawał fotel dentystyczny, wujek Józek wykonał ze stojącej lampy pokojowej bezcieniową lampę, a wujek Felk zdobył gdzieś sprawną, napędzaną nożnie wiertarkę dentystyczną z pełnym oprzyrządowaniem. Najtrudniejszą rzeczą było uzyskanie na podstawie wspomnianego dyplomu felczerskiego zgody na wykonywanie zawodu dentysty, ale i to się mamie udało.

Tak się złożyło, że pierwszym pacjentem mamy został Niemiec. Wpadła do nas na kontrolę trzynosobowa komisja kontraktacyjna w składzie: urzędnik, weterynarz i policjant. Urzędnik miał wykrzywioną twarz, bo od trzech dni męczył go okropny ból zęba. Mama poleciła nam przygotowanie gabinetu i jak tylko komisja skończyła swoje czynności, poprosiła cierpiącego do siebie i po schłodzeniu mu dziąsła chloroformem czy eterem wyrwała feralny ząb. Facet piał z zachwytem, że jeszcze nigdy żaden dentysta tak zgrabnie i bezboleśnie nie usunął mu zęba. On i pozostała dwójka musieli mamie zrobić niezłą reklamę, bo wkrótce o cudownej dentystce na Rudzie zrobiło się głośno w całej okolicy.

Za ząb coś „na ząb”

Tajemnica stomatologicznych sukcesów mamy kryła się głównie w dobrej ręce do rwania i w tym, że z nikogo nie zdierała skóry – przeciwnie, często zadawała się tak zwanym „Bóg zapłać”, ponadto zamiast pieniędzy wołała dobra naturalne. W tamtych czasach zapłata miała realną wartość wtedy, gdy była wnoszona w naturze, za pieniądze niewiele można było kupić: w sklepach dla Polaków prawie nigdy nic nie było, a jeśli nawet przypadkiem było, to bardzo drogie i na kartki, a akurat twoja kartka tego towaru nie obejmowała, albo obejmowała, ale kuponik miałeś już wycięty, albo kartki w ogóle ci nie przysługiwały, itd. Natomiast zapłata w postaci kilku jajek, kawałka kiełbasy, czy ośelki masła miała sens zawsze.

Oczywiście każdy obrót żywnością poza oficjalnym obiegiem był przez okupanta traktowany jak szmugiel, za który groziły surowe kary, toteż pomysłowość rodaków w dystrybucji prowiantu była ogromna, a szmuglerzy cieszyli się powszechnym szacunkiem.

Kiedyś mama wyświadczyła jakieś usługi dentystyczne kilku gospodarzom ze Starej Gadki czy Ksawerowa i byli jej sporo winni. By nie narażać wielu osób na niebezpieczeństwo, postanowili spłacić dług za jednym zamachem. Wybrali spośród siebie jednego i po odpowiednim zaopatrzeniu okryli go jakimiś starymi, śmierdzącymi ciuchami. Chłop wziął w ręce kostur, zarzucił przez ramię worek i udając starego dziada poszedł na Rudę. Przy przystanku



Dom Dziańkowiczów, Ruda Pabianicka, lata 30.

stała budka wartownicza, a w niej policjant, który wybiórczo rewidował przechodzących, jeśli ktoś wydawał mu się podejrany. Nasz posłaniec wyglądał chyba nieprzekonująco, bo wartownik kazał sobie pokazać, co jest w worku. A tam kilka kilogramów gnoju. Ponieważ sam gospodarz też nieźle śmierdział, stójkowy się zdenerwował i przegonił go za rogatki.

Gość wchodzi do naszego domu już bez worka oraz cuchnących łachów i mówi mamie, że przynosi zapłatę od wszystkich klientów. Rozpina kurtkę, ściąga koszulę – a pod nią przeróżne wyroby masarskie. Następnie zaczyna ściągać spodnie. Mama każe nam wyjść z pokoju, ale w końcu wychodzi sama z Dzidką, bo nas by nikt wtedy z pokoju nie wygonił. No więc facet ściąga spodnie, a tu wokół pasa krążek kiełbasy i inne delicje. I drugie spodnie. Ściąga te drugie, rozwiązuje troki u kalesonów i z każdej nogawki wyjmując jeszcze po dwanaście jaj zawiniętych w papier.

Facet zrobił męski striptiz i wyczarował delikatesy. Robiło wrażenie, wierzcie mi! Robiło!

Dziwni ci dentyści

Sława mamy jako cudownej dentystki rosła z dnia na dzień i – jak to zwykle bywa – także z dnia na dzień rosła zażach dwóch innych dentystrów mieszkających na Rudzie.

Jeden z nich mieszkał „Przy Zegarze” – tak nazywał się przystanek tramwajowy. Temu, odwrotnie niż naszej mamie, przytrafiały się nieszczęścia – albo to były błędy w sztuce, albo po prostu miał pecha, nie wiem. Dwu pacjentów mu zmarło: jeden na fotelu, a drugi po powrocie do domu. Podobno rodziny tych pacjentów wykupiły kawałek gruntu niedaleko przystanku i postawiły kilkumetrowy krzyż, na którego postumencie wyryto napis „Panie, oświeć tych, którzy przez chciwość i niedołęstwo swoje niszczą i skracają życie ludzkie”. Nieszczęśnik ów przez półtora roku konsekwentnie donosił na mamę do władz, aż w końcu posmarował komu trzeba i cofnięto jej zgodę na wykonywanie zawodu. Mama się tym specjalnie nie przejęła i z jeszcze większym zapalem pracowała na czarno.

Drugi nie donosił, ale za to był tak zazdrosny, że zaczął pić. To picie nasilało się z każdym miesiącem, tak że po roku pił już denaturat, wkrótce stracił wzrok i zaraz potem zmarł. Mama szczerze go żałowała, bo był zdolnym protetykiem i podrzucała mu sporo zamówień. Naprawdę dziwni są ci dentyści – gość mógł dzięki mamie zrobić sporą kasę, ale wolał się zapić na śmierć.

Mama jeszcze przez jakiś czas rwała zęby, ale z chwilą uruchomienia w naszym domu szpitalika dla lotników (o czym przy następnej okazji) zawiesiła działalność, bo nagle za dużo zaczęło się wokół nas kręcić Niemców.

Bimbrownicy

Na strychu tymczasem pędziliśmy bimber. W tym celu mama wynajęła na Starej Gadce dwóch najwybitniejszych specjalistów: pana Kazia i pana Micia. Odróżniał ich kształt i kolor nosa. Pan Kazio miał długi i siny nochal, na końcu którego zawsze błyszczała połętna perelka (perelka ta niekiedy spadała na podłogę, turlając się niczym kropelka rtęci, a czasem z pluskiem wpadała do zacieru i też ginęła). Pan Micio miał natomiast nos krótki, ale za to zakończony sporą purchawką koloru bordowego.

Panowie pracowali z wielkim oddaniem. Stawali przy warsztacie jeszcze przed świtem, a zdarzało im się tak zażać w robocie, że późnym wieczorem nie mieli już siły na powrót do domu, więc spali na posterunku pracy. Za swoje poświęcenie otrzymywali zapłatę w postaci produktu finalnego, nie mówiąc już o darmowej konsumpcji na miejscu. Na dziesięć litrów osiem należało do mamy, a po litrze zabierali fachowcy.



Tomasz Dzianowicz (z prawej) z mamą i rodzeństwem

Umieszczenie aparatury produkcyjnej na strychu było decyzją trafną, ponieważ nigdy ani w domu, ani na podwórku żaden zapach nie zdradzał charakteru prowadzonej tam działalności. Specyficzny aromat, typowy dla tego rodzaju produkcji, zachodnie wiatry niosły ponad drzewami lasów Hauzycha i Hoffmana w kierunku góry „z której Łódź widać”, a na tej trasie najbliższe domy były dopiero na Chojnach.

Za pędzenie bimbru groziła zsyłka do obozu, więc cały proceder odbywał się w całkowitej tajemnicy nie tylko przed Niemcami, ale także przed sąsiadami i przyjaciółmi. Surowiec był dostarczany, a produkt końcowy odbierany wyłącznie nocą i to z zachowaniem najwyższej ostrożności. Dla kamuflażu hodowaliśmy króliki (do hodowli królików Niemcy zachęcali), po które dwa razy w tygodniu ktoś przyjeżdżał. Klatki, w których zabierał zwierzęta, miały podwójne dno i tam umieszczano butelki ze bimbrem. Po wyjściu butelek króliki w ten sam sposób wracały do nas.

Zapotrzebowanie na produkt wzrastało i okazało się, że trzeba nająć jeszcze jednego fachowca. Pan Micio proponował swojego szwagra. Nikt go nie znał, nawet pan Mietek mówił, że mało o nim wie, ale „dobrze mu z oczu patrzy”. Brzmiało to jak kpina, bo szwagier miał rzadko spotykanego, maksymalnego zęza rozbieżnego – wyglądał tak, jakby nie ruszając głową mógł widzieć, co się dzieje za nim. Ów ludzki kameleon z punktu zażądał tak dużych udziałów w zyskach, że mama zmuszona była mu podziękować. A że nieszczęścia często chodzą parami, więc następnego dnia nad ranem eksplodował na strychu kociołek i panowie fachowcy z trudem ugasił ogień. Zeszli na dół i właśnie przepraszała mamę, gdy nadszedł szwagier z dwoma



Tomasz Dziańowicz (z przodu) z rodzeństwem i kuzynkami.

policjantami. „Panowie władza, ta kobieta pędzi bimber” – i tu pokazuje łapskiem na mamę. „Gdzie”? – pytają mundurowi. „Nie wiem, ale na pewno w tym domu”. Wszyscy struchleli. Jedziemy do obozu, to pewne...

Tylko mama zachowała zimną krew i jedno nieszczęście skierowała przeciw drugiemu. Przyskoczyła do kameleona i jak go nie chlaśnie ścierką do podłogi raz i drugi po facjacie: „Ach, nie wiesz, draniu!”. I do policjantów: „Kochani panowie policjanci, ten pijaczyna o mało nas wszystkich dzisiaj nie pozabija! Ci panowie (tu mama pokazuje na pana Mietka i pana Kazia) zaświadczą, że ja się skarżyłam na podejrzone zapachy i okazuje się, że ten drań wykorzystał moje dobre serce! Przygarnełam go, bo niby nie miał gdzie mieszkać, a ja tu napraw mam sporo do zrobienia i on coś tam majstrował na strychu, niby żeby komin naprawić. Ale ten pijaczyna rano wysadził własny kocioł, w którym chyba chciał bimber pędzić, bo skąd by śmierdziało? Cały strych z dymem! Nie przeszkażdało ci, draniu, że małe dzieci narażasz! (Ściera znów w robocie.) Ci panowie widzieli, jak rano uciekał po wybuchu! Ty bandyto!... Kochani, przyłóżcie mu od siebie, bo ja już nie mogę i pogońcie go z mojego podwórka. A potem zapraszam na śniadanie”. Policjanci dołożyli ochoczo i szczerze szwagrowi, a mama była jeszcze na tyle bezczelna, że przy śniadaniu podała im swój flagowy produkt. Zaś na odchodnym, za fatygę, każdy z nich otrzymał po „góralu” – jako prezent dla ich dzieci.

Na tym skończyła się nasza działalność bimbrownicza. Jeszcze tego samego dnia panowie Miecio i Kazio znieśli ze strychu wszystko, co mogłoby świadczyć przeciwko nam i zakopali na placu Bocheńskiego. Piętnaście kroków od polnej gruszy w kierunku Pabianic, jeśli to kogoś interesuje.

Były sobie świnki trzy

Każdy dorosły Polak miał obowiązek zarejestrować się w niemieckim urzędzie pracy. Ponieważ mieliśmy spory ogród, to najłatwiej było nam zgłosić do Arbeitsamtu produkcję rolną. Według przepisów administracji okupacyjnej za gospodarstwo rolne uchodziło takie, w którym hodowano co najmniej pięć kur i przynajmniej jedną świnię.

Odtąd systematycznie najeżdżały nas komisje kontraktacyjne, które nad podziw szybko nauczyły się biegle liczyć po polsku i poprawnie pytać: „Gdzie szedzy szwyna kolszykowana sztik eins?”. Pewnego razu jeden wybitny poliglota w furazerce zapytał mamę: „Gdzie szedzy ta nemeczka

szwyna?”. Ryknęliśmy z Zenkiem, że o mało nas nie rozerało, bo do tej pory słyszano od Niemców tylko o „polskich świniach”. Gość się poprawia i pyta ponownie: „Gdzie jeszt deutsche schwain?” i wymownie chwytą się lewą ręką za ucho, a prawą demonstruje kolczykowanie. „A, bitte, deutsche schwain, bitte!” – mówi mama i dopiero wtedy prowadzi do chlewika.

Mama bez przerwy rozmyślała nad tym, jak tu przechrzyć Niemców i choć jedną świnkę móc wyhodować dla siebie, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Aż pewnego razu pojechała na wieś, do Niemki, którą władzę okupacyjne przeniosły tutaj aż z Wołynia i osiedliły w dużym gospodarstwie skonfiskowanym Polakowi, którego z całą rodziną wywieziono do obozu.

Ta Wołynianka to była wyjątkowo morowa baba. Za nic miała swojego męża, który zajmował jakieś wysokie stanowisko w łódzkim gestapo. Cały czas mówiła, że tego chłopca ona otruje, udusi, wrzuci pod tramwaj, spali żywcem, utopi, porazi prądem, a na koniec poćwiartuje. Mama relacjonowała nam jednego razu, że jej najnowsza propozycja brzmiała tak: „Po poćwiartowaniu zapekluję łobuza i w beczie wyślę na front wschodni jako dar od wdzięcznej ludności na tyłach”. Późniejsze wydarzenia pokazały, że te plany były naprawdę szczerze.

Pani ta nienawidziła męża z dwóch powodów. Po pierwsze – nigdy go nie kochała. Wymógł on na swoich rodzicach, aby ci wymusili na jej rodzicach zgodę na ślub, a ponieważ – jak to często bywa – jej rodzina była niezamożna, a jego bardzo bogata, to po różnych obietnicach i naciskach biedni ulegli. Drugim zaś powodem było to, że pan małżonek nakłonił ich syna-jedynaka do ochotniczego zasilenia szeregów SS, dzięki czemu młodzian został bardzo szybko bohaterem, bo zginął ponoć zaraz w pierwszym zwołgu, jaki został przez Rosjan rozbity po rozpoczęciu operacji „Barbarossa”. Pani otrzymała w prezencie od jego korpusu pancernego kronikę filmową, na której fakt ten został zarejestrowany, oraz projektor, dzięki czemu mogła sobie to wydarzenie oglądać na okrągło.

Mama powiedziała nam, że Niemka owa zrobiła bardzo piękną rzecz: tak długo suszyła małżonkowi głowę, aż ten dzięki swoim koneksjom załatwił zwolnienie z obozu dla całej rodziny byłych właścicieli gospodarstwa, których ona następnie zatrudniła jako pracowników rolnych.

Ale wracając do naszej historii: mama wyrwała jej „zapóźniony” ząb mądrości, a po zabiegu została zaproszona do zwiedzenia obejścia. Wchodzi do chlewika, a tam w kąciku siedzi stworzonko podobne do świni, ale z podwójnie wielką głową i bardzo małym tułowiem. Gospodyni tłumaczy, że ta sztuka w ogóle nie chce rosnąć i że bardzo chętnie by się jej pozbyła. Wtedy mamę olśniło. Zrezygnowała z zapłaty za usługę – w zamian za tę pokraczną świnkę.

Wkrótce zwierzę zamieszkało u nas na Rudzie, gdzie otrzymało status dożywotniej rezydentki – chyba nikt, nigdy i nigdzie nie dbał tak o świnię, jak myśmy dbali o tę. Mama zgłosiła ją do kontraktacji, przyjechała komisja i zakolczykowała nasze maleństwo, które zamieszkało w przestronnej, frontowej części komórki. Za ścianą zaś, w bardzo solidnie wygłuszonym pomieszczeniu, urządziliśmy dwa małe boksy dla egzemplarzy normalnych. Te oczywiście zakontraktowane nie były, ale nie wiedząc o tym rośły jak na drożdżach i co pewien czas było u nas świniobicie. Pralnia w piwnicy zamieniała się wtedy na jedną noc w ubojnię i masarnię.

Każdą kolejną kontrolę mama jak najuprzejmiej prosiła o wyrażenie zgody na zabicie dla potrzeb własnych świnińskiej karykatury, bo „przecież coś takiego, moi panowie, wstyd oddać władzom”. Za każdym jednak razem spotykała się z kategoryczną odmową i ostrym poleceniem, żeby się bardziej przykładła do dalszej hodowli. W ten to sposób nasza dzielna rezydentka przeżyła kilka pokoleń swo-

ich zdrowszych, bardziej dorodnych kuzynek i zginęła dopiero tuż przed naszym wysiedleniem.

Krażyły plotki, że w podobny sposób zakończył też życie gestapowiec. Kiedy zbliżał się front, a mężulek był już spakowany i gotowy do ucieczki, wołyńska Niemka podobno rzetelnie spełniła swoje zapowiedzi: najpierw zdzieliła męża styliskiem od siekiery, potem dodusiła poduszką, następnie poćwiartowała tasakiem, wreszcie wsadziła do beczki i utopiła w Nerze, naszej pięknej rzece. A że były to czasy, kiedy nikt się już zaginionym funkcjonariuszem nie przejmował, więc spokojnie dożyła swoich dni w kochającej rodzinie właścicieli i zmarła mając lat 89.

Znaki na niebie, albo największe cudeńka tego roku

W kończącym się właśnie 1942 roku na naszym kawałku nieba i ziemi ukazało się kilka zaskakujących osobliwości. Ludzie mówili, że zwiastują one poważne zmiany dla nas i całej okolicy.

Zorza

Jednego wieczoru, po zachodzie słońca, nad lasem w kierunku Łodzi całe północne niebo zapłonęło szerokimi, wijącymi się wstęgami koloru zielonego i złotawo-różowego. Te falujące wstęgi na tle kobaltowego nieba były tak piękne i niezwykle, że wszyscy, którzy to widzieli, oczy i usta szeroko pootwierali ze zdziwienia. Najstarsi mieszkańcy w całym swoim życiu nie widzieli takiego dziwu. Nie było wątpliwości: Ktoś lub Coś próbowało w ten sposób ostrzec ludzi przed czymś, co mogło być nawet końcem świata (pani Karwowska), a jak nie końcem świata, to może, że Niemcy przegrają wojnę (tata Stefana), albo ją wygrają (tata Marka).

Ja i Zenek wynieśliśmy przed dom wielką księgę „Wszech świat i człowiek” i próbowaliśmy wyjaśnić ludziom, co to takiego zorza polarna, ale efekt był żaden: nikt nie chciał patrzeć ani słuchać. Tylko mama usłyszała od pani Karwowskiej: „Oj pani, pani, jak pani te dzieci wychowuje, że one tylko się wymądrzają, jakby wszystkie rozumy pozjadali, a do szkoły przecie nie chodzą, bo wojna”. „O! O! Właśnie, skąd one takie przemądrzałe są?” – wtórował jej stary Nowak.

Zawstydzeni odnieśliśmy księgę do domu i zaczęliśmy z zainteresowaniem słuchać starszych. Ale że po długiej dyskusji żadnej wspólnej wersji nie ustalono, więc Zenek się wyrwał, że to z pewnością znak przegranej Niemców, no bo jakby Niemiec miał wygrać, to by migotała flaga ze swastyką, a widać tylko zielone, niebieskie i różowe, a to oznacza nadzieję, pokój i miłość, no to muszą wygrać Anglicy! „A wie pani, że te pani dzieci to nie są takie głupie. Może nie za mądre są, ale też nie całkiem głupie” – powiedziała wtedy pani Karwowska. „Tylko czy to znaczy, że one, te Angliki i Ruskie, wygrają przed Bożym Narodzeniem, czy dopiero na Wielkanoc?”.

Gigant

Miał ogromny, pękaty kadłub i na każdym skrzydle trzy wielkie, ryzujące silniki. Leciał bardzo wolno i tak nisko, że prawie szorował brzuchem po czubkach drzew. Jak tylko go usłyszeliśmy, to pobiegliśmy na górną werandę, a on nawet jeszcze do nas nie doleciał. Zenek mówi, że jadąc z góry to rowerem by go przegonił – tak wolno leciał. Nie było na nim widać żadnych znaków: ani czarno-białych krzyży, ani żadnych innych, tylko ciapki szare, brązowe i zielone. Za to hałas robił taki, że bębni w uszach się trzęsły.

Jak raz byli u nas ojciec Marka i wujek Józek, dlatego zaraz zaczęła się dyskusja dwóch strategów. Wujek wysunął tezę, że to alianci przewożą coś z Afryki do Rosji. Na to ojciec Marka się roześmiał: „Panie, gdyby to byli alianci, to lecieliby tak wysoko, że wcale by ich nie było widać.

Tak nisko to tylko głupi by leciał, bo nawet gajowy od Hoffmana z dubeltówki by go zestrzelił. Musi Hitlera wiozą. Nie inaczej, tylko Hitlera”.

Myśmy z Zenkiem uwierzyli jednak Stefanowi, który powiedział później, że Niemcy sprawdzają nowego bombowca i tu, nad Łodzią, badają jak to będzie, gdy przyjdzie im z niska bombardować inne miasta, a przy okazji uczyć się, jak unikać obrony przeciwlotniczej, czyli prawdopodobnie gajowego od Hoffmana. Potem od lotników, którzy się u nas kurowali (kiedys do tego dojdziemy), dowiedzieliśmy się, że był to Messerschmitt ME-323 Gigant – transportowiec, który mógł przewieźć lekki czołg, trzystu ludzi albo kilkanaście ton bomb.

Gabriel(a)

Nie była taka wielka, jak Gigant, ale w swoim gatunku ogromna. Nikt nigdy nie widział tu takiego ptaka. Wprawdzie były u nas sowy – na wyspie na Stawach Stefańskiego od lat gniazdowała rodzina puchaczy – ale wszystkie były brunatne. A tu nagle sowa biała jak śnieg. Przyleciała znikąd i po cichutku usiadła na czubku słupa, który stał na środku naszego ogrodu. Mało tego, że była biała i ogromna i znikąd, to jeszcze nie dała się przegonić. Pani Karwowska, nasza miejscowa czarownica, która żywiła się wyłącznie proskami z kogutkiem albo z krzyżykiem (takimi od bólu głowy), biegała dookoła słupa mamrocząc stosowne zaklęcia – a sowa nic. Zupełnie nie zwracała na nikogo uwagi i chyba zasnęła. Śpiąca, ogromna, biała sowa, która przyleciała nie wiedzieć skąd, obojętna na wszystko i jeszcze nie dająca się wygonić pani Karwowskiej – czy to nie dziw nad dziwy?

„Może to robota Złego?” – zastanowił się głośno stary Nowak. „Głupis ty i jak twój cap durny” – odpowiedziała Karwowska. – „Jakby była od Złego, to by była czarna, a ona jak śnieg. To jest anioł, wielki anioł. Może sam Gabriel?”.

Zziajana bieganiami pani Karwowska przystanęła, by ochłonąć i dlatego miała okazję pogawędzić ze starym Nowakiem. Tymczasem zlecieli się ludziska z całej okolicy: patrzą, a na słupie siedzi wielka biała sowa, która przyleciała cichuteńko nie wiadomo skąd, nie daje się wygonić pani Karwowskiej i śpi. Zrobiło się szaro, a ludzie stali i patrzyli, a sowa siedziała i spała. Dopiero jak już nic nie było widać, to zbiegowisko się rozeszło i sowa miała wreszcie święty spokój.

Nazajutrz o dziesiątej – tak jakoś po Mszy Świętej – zebrała się ludzi jeszcze większa kupa, bo każdy na Rudzie chciał zobaczyć archaniła. Ledwie się zeszli, ledwie się zdążyli przeżegnać, a tu Gabriel otworzył oczy, zamrugał nimi kilka razy, rozpostarł szeroko skrzydła, raz nimi tylko machnął i bezszelestnie odleciał. Nie wiadomo dokąd.

Po obiedzie pani Karwowska przysłała do mamy pożyczkę kogutki z krzyżykiem, bo „dzisiaj, moja pani, to ja jeszcze niczego nie jadłam”, następne zdania poświęcając wyłącznie Gabrielowi: „Gdyby to był ptak, to by go słyszał było. Taki łabędź, jak leci, to hałasuje i to jeszcze jak! To jakby to w niebie miało być, gdyby taki anioły hałas robiły? Przecie dobry Pan Bóg nie miałby, biedaczyna, kiedy wypocząć, ani chwili spokoju by nie miał. A i inne dusze, które już tam są, to chcą przecie mieć wreszcie święty spokój, a jaki to byłby spokój, gdyby anioły tak hałasowały, jak łabędzie. Pani, anioł u nas był!”. „Był, pospał i poleciał” – skwitowała mama. ■

Tomasz Dzianowicz, rocznik 1935. Emerytowany pedagog i wychowawca, aktywny pasjonat nauki i wiedzy. Szanuje Śląsk, gdzie osiadł 60 lat temu, tęskni za podłódzką Rudą, skąd pochodzi i gdzie dorastał. Pierwsze fragmenty *Wspomnień urwisa* opublikowaliśmy w nr. 9/2018.

Kradzież patriotyczna

TOMASZ SŁUPIK

Rosyjski satyryk i autor bajek Michaił Sałtykow-Szczedrin jest twórcą znakomitego powiedzenia: „Kiedy zaczyna się dużo mówić o patriotyzmie, to pewnie znowu coś ukradli”. Zdanie to idealnie pasuje do naszej umęczonej ojczyzny. Prawica głośno krzyczy o zagrożeniach dla naszego kraju. Rosja na nas nastaje, jednak od Rosji jest jeszcze bardziej śmiertelny wróg, to Unia Europejska, a właściwie Niemcy, którzy nią przeciw rządzą. Przez prawicowych polityków wytwarzana jest atmosfera niebezpieczeństwa, które na nas czyha, tuż za rogiem, a nawet w naszej, własnej europejskiej rodzinie. W końcu do Unii Europejskiej przystępowaliśmy dobrowolnie i w dodatku za zgodą społeczeństwa, większość obywateli była za w referendum akcesyjnym. To nic nie znaczy – głośno krzyczą. Wilk przebrany w owczą skórę, jest dużo groźniejszy od prawdziwego wroga, jakim aktualnie jest Rosja. Można zrozumieć, że politycy od najdawniejszych czasów, jak również filozofowie polityki zrozumieli, że strach, jako jedna z najbardziej atawistycznych, ludzkich emocji, jest skutecznym narzędziem dyscyplinowania ludzi, a co za tym idzie rządzenia nimi. Jednak to nie tylko o to chodzi. Bowiem przez ponad dwie dekady po 1989 roku poddawani byliśmy pedagogice wstydu, której celem miało być wpędzenie dumnego, polskiego narodu w kompleksy. Jesteśmy gorsi, jacyś tacy niekompletni, gdzie nam do mitycznego i wymarzonego Zachodu. W takich Niemczech, Anglii, Francji, Szwajcarii, ludzie są bogaci, pociągi się nie spóźniają, do lekarzy nie ma kolejek, a z budżetowego rogu obfitości finansowane są wysokiej jakości usługi publiczne – basowali sympatyzujący z prawicą publicyści. Zaś druga strona opisywanego przez nich medalu, to idylliczny obrazek, gdzie Polska jest wielka, a właściwie wieczna. Jesteśmy już prawie tak bogaci jak Niemcy, za chwilę prześcigniemy Brytyjczyków. Zbudujemy, to znaczy państwo zbuduje milion mieszkań, pod Jaworzniem w fabryce Izera wyprodukujemy dwa miliony samochodów elektrycznych, a na łące pod Baranowem (w środku niczego), żeby jeszcze bardziej podkreślić tę wielkość i rosnące aspiracje polskiego społeczeństwa – powstanie CPK. Trzy magiczne litery, to aspiracyjne zaklęcie, którego polskie i nie tylko polskie dzieci

będą się uczyć w szkołach zamiast wierszyka: kto Ty jesteś, Polak mały... Pospolitość jednak skrzeczy. Zamiast miliona mieszkań powstało kilkadziesiąt tysięcy, fabryka samochodów elektrycznych na razie jest w planach, a łąka w środku niczego, jakbyśmy nie wyteżali wzroku, nie zamieniła się w wielki projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego.

I tu kłania się Sałtykow-Szczedrin, ponieważ za tą patriotyczną zasłoną-maszką można bezkarnie kraść. Żeby zbudować CPK należy powołać spółkę celową i zarząd, którego członkowie zarabiają kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Co tam Fundusz Sprawiedliwości, przeznaczony dla ofiar przestępstw. Może stać się on znakomitym źródłem finansowania działalności fundacji prowadzonych przez bliższych lub dalszych znajomych królika. Poza tym opozycja zbyt głośno krzyczy, to powinniśmy ją uciszyć, kupując z tych pieniędzy program o wdzięcznej nazwie Pegasus, do inwigilowania najaktywniejszych jej przedstawicieli. Na pewno mają coś do ukrycia. Wystarczy tylko sumiennie ich śledzić i podsłuchiwać i akt oskarżenia już prawie gotowy. W zdumienie wprawia skala tego procederu. Weźmy dla przykładu spółki Skarbu Państwa, dodajmy do tego pomysłowość polityków i przepis na transferowanie środków publicznych do prywatnych i partyjnych, głębokich kieszeni gotowy. W ramach jego realizacji można zatrudnić swoich wiernych, politycznych żołnierzy, jak i tych wyższych rangą na dziesiątkach tysięcy lukratywnych posad w państwowych rzecz jasna: bankach, firmach ubezpieczeniowych, energetycznych, paliwowych, kolejowych, górniczych, w zamian za drobną przysługę, w miarę regularnych wpłat na fundusz partyjny, a ściślej rzecz biorąc fundusz wyborczy. Zapomniałem jeszcze o jednym miejscu. Wszak w Ministerstwie Sportu nie mylić z Ministerstwem Dziwnych Kroków, nie stanowi problemu zgromadzenie dość dużych pieniędzy i wydawanie ich na, z grubsza rzecz biorąc, przedsięwzięcia sportowe, bliższych lub dalszych politycznych znajomych.

Drogi czytelniku, kończę tą przeciw wysoce niekompletną wyliczankę. Wiem, że od wysokości kwot, liczby ludzi i nazw firm możesz dostać zawrót głowy. Karuzela z posadami się kręci, wielkie słomiane inwestycje zostały zaplanowane, a nieograniczone zasoby państwa politykom się przeciw nie należą. W końcu wykonują tak ważną i odpowiedzialną pracę. Część najbardziej cynicznych wyborców na zasadzie współudziału zdołało sformułować pokrętnie, a właściwie skandaliczne usprawiedliwienie „kradzieży patriotycznej”: kradną, ale przynajmniej się z nami dzielą. Nieważne, że domena publiczna jest własnością całego społeczeństwa, nieistotne, że utrzymanie państwa i jego instytucji, świadczenie usług publicznych i transfery socjalne możliwe są dzięki wielu podatkom i daninom, które każdy obywatel naszego kraju sumiennie płaci. Przecież im głośniej krzyczą o miłości do ojczyzny, tym bardziej w ramach zasłużonej rekompensaty mogą bezkarnie przywłaszczać sobie publiczny grosz. Jakie dobro wspólne, jakie nowoczesne państwo, gdzie obywatele, komu potrzebne są wydatki na rozwój. Kto będzie sobie zawracał głowę takimi drobiazgami. Ojczyzna tonie, trzeba głośno tupać, krzyczeć i rozdzierać szaty. Wszakże zajęte swoimi sprawami społeczeństwo, pewnie tego nie słyszy, najpewniej w związku z krótkowzrocznością nie dostrzega niebezpieczeństwa majaczącego gdzieś na horyzoncie. Tymczasem prawdziwi patrioci nie wstydzą się swojego zatroskania losami umęczonej ojczyzny. W ostatecznym rozrachunku wszystko na tym świecie ma swoją cenę i to bardzo wymierną, liczoną w setkach miliardów złotych w brzęczącej monecie. ■



Podwójne urodziny bluesowe

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Andrzej Matysik, rodowity chorzowianin, kierujący od 25 lat znaczącym kwartalnikiem muzycznym „Twój Blues” obchodził niedawno swoje 75. urodziny. Podwójny jubileusz świętowano z bluesowym zacięciem w chorzowskiej „Galerii Sztuki Muzycznej i Obrazu”. W sympatycznej uroczystości krojenia muzycznego tortu wzięło udział liczne grono znajomych i przyjaciół jubilata – inżyniera górnika, dziennikarza i przysięgłego miłośnika i popularyzatora bluesa w jednym wcieleniu.

Matysik to szczególna postać w śląskim środowisku bluesmanów. Dał się poznać m.in. jako autor pulsujących pozytywnymi emocjami audycji radiowych w różnych rozgłośniach. Od lat jest organizatorem cyklicznych imprez estradowych, z których największy rozgłos zdobyły bez wątpienia „Blustracje”. Wraz z rodziną prowadzi agencję koncertową, prezentującą wszystkim zainteresowanym występy gwiazd polskiego i światowego bluesa.

Periodyk, jakich mało

Najważniejszym dziełem jego życia jest jednak kwartalnik „Twój Blues”. Od początku sprawuje funkcję redaktora naczelnego tego periodyku. To jedyne w naszym kraju czasopismo poświęcone w całości muzyce bluesowej. Na łamach „TB” publikowane są rozmowy z muzykami, recenzje koncertów, a także omówienia płyt bluesowych.

Kwartalnik został uhonorowany wieloma znaczącymi nagrodami międzynarodowymi, w tym m.in.: „Keeping The Blues Alive” w kategorii „Press – World” (2011 – The Blues Foundation, Memphis, USA), a także „Blues Behind The Scenes” (2016 – European Blues Union,



fol. Ryszard Filla

Bruksela, Belgia). Od 12 lat nazwisko twórcy „Twojego Bluesa” widnieje – co z pewnością warto odnotować – na popularnym deptaku pod nazwą „Aleja Bluesa” w Białymstoku.

Propagator i patriarcha

– Andrzej Matysik ma ogromne zasługi dla promowania bluesa w Polsce. Tym bardziej jest to godne podkreślenia, że zaczął praktycznie od zera. Sukces zawdzięcza pasji, determinacji, konsekwencji, latom pracy, talentowi, a przede wszystkim miłości do bluesa. Niesamowite, że jego świetnie prosperująca firma, którą założył przed laty, ma w zasadzie od początku rodzinny charakter. Sam zajmując się podobną pracą organizacyjną (często zresztą z Andrzejem współpracujemy) i proszę mi wierzyć: wiem, ile ona kosztuje – przekazuje Ireneusz Dudek, pomysłodawca i organizator corocznych festiwali RAWA BLUES w Katowicach.

– Przy zachowaniu wszelkich należnych proporcji uważam, że Andrzej Matysik jest patriarchą polskiego blues-biznesu. Z inżynierską precyzją i konsekwencją przekształcił swoją fascynację kulturą bluesa w dobrze funkcjonujący biznes. I jest to biznes, bez którego polskie życie muzyczne byłoby uboższe i który żywi pokolenia naszych blues-fanek

i blues-fanów strawą prawdziwej żywej muzyki. A przy tym Andrzej sam niezmienne pozostaje jej fanem. Jednym z tych prawdziwych, którzy czują bluesa – zapewnia Jan Chojnacki, jeden z najbardziej znanych w Polsce dziennikarzy zafascynowanych bluesem.

Degustacja muzycznego tortu

Chorzowska impreza pod hasłem „Podwójne urodziny bluesowe” obfitowała w rozmaite niespodzianki. Publiczność słuchała ulubionych utworów Matysika, odtwarzanych z płyt winylowych, wśród których, co ciekawe, znalazły się utrzymane w bluesowym klimacie krążki z muzycznego dorobku Rolling Stonesów. Na ekranie wyświetlano duże fotografie kolorowych okładek „Twojego Bluesa” z różnych lat. Na żywo grali zaś muzycy z bluesowej rodziny Głuchów. Rozbrzmiewały w ich wykonaniu kompozycje inspirowane twórczością legendarnej formacji bluesrockowej „Allman Brothers Band”.

Bluesowy jubilat był adresatem specjalnych życzeń urodzinowych, składanych mu przez przedstawicieli władz samorządowych Chorzowa oraz przez innych fanów bluesa. Nie zabrakło tradycyjnej ceremonii krojenia okolicznościowego tortu. Każdy z uczestników spotkania miał potem okazję skosztowania smakołyku. Zgromadzeni w chorzowskim przybytku kultury słuchacze pamiętali z pewnością o słowach amerykańskiego muzyka Williego Dixona, który przed laty stwierdził: *Blues – to korzenie, a reszta muzyki – to owoce.*

fol. Ryszard Filla



Tessa z „Solidarności”

JAROSŁAW KAPSA

Była gwiazdą częstochowskiej „Solidarności” – Teresa Ujazdowska, aktorka z Teatru im. Adama Mickiewicza, zwana Tessą, gdy kultowy stał się film Polańskiego. Częstochowa była jedynie przystankiem na jej drodze życia, być może niezbyt miło wspomnianym epizodem. Epizodem ważnym dla nas, dla malejącej już grupy częstochowian, pamiętających atmosferę rozbudzoną Sierpniem 1980 r.

Do naszego miasta ściągnął Teresę Ujazdowską nowy dyrektor Teatru Tadeusz Bartosik. Znany aktor warszawski, uznany w plebiscycie w 1967 r. za najpopularniejszego aktora stolicy, zaangażowany został pod Jasną Górę w 1976 r., z wyznaczonym przez lokalne władze zadaniem odbudowania prestiżu placówki. Teatr, o którym było głośno w latach 60., gdy eksperymentował tu dyrektor August Kowalczyk, w epoce gierkowskiej stracił i prestiż i widzów. Nie podnosiła frekwencji akcja wyjazdów zespołów, by grać w zakładach pracy. Fani kultury odwrócili się od sceny, wybrali ekran, rozgrzani emocjonalnie atmosferą kręconego w Częstochowie *Potopu*. W dodatku teatr, wybudowany przed wojną, odstraszał stanem technicznym, duża sala wymagała natychmiastowego remontu. Bartosik nie zawiódł oczekiwań, jego nazwisko na nowo przyciągnęło widzów. Sukcesem frekwencyjnym stała się *Wojna i pokój* według Lwa Tolstoj, z główną rolą nowego dyrektora. Rok później podobny sukces przyniosła *Staromodna komedia* Arbusowa, dzięki kreacji zaproszonej z Warszawy Ryszardy Hanin.

Sprowadzenie Ujazdowskiej w 1979 r. miało utrwalić sukcesy, na stałe związać publiczność z teatrem. Urodzona w 1931 „Tessa”, miała piękną kartę z lat okupacji: druhna „Szarych Szeregów”, łączniczka w Powstaniu Warszawskim. Jej krewni zostali na emigracji w Wielkiej Brytanii, utrzymywała z nimi kontakty, pielęgnując przy tej okazji znajomość języka angielskiego i francuskiego. W 1953 wyszła za mąż za scenografa Jerzego Groszanga, miała z nim syna Konrada. Występy na deskach teatrów zaczęła w Szczecinie w 1951, zaocznie ukończyła studia aktorskie. Jej kariera to pielgrzymka po kraju: teatr w Łodzi (1953–1960), w Kaliszu (1960–64), w Rzeszowie (1968–70), w Wałbrzychu (1970–76). Wiecznie na walizkach, małżeństwo się rozpadło, choć z byłym mężem utrzymywa-

ła przyjazne kontakty. Szacunek, jakim cieszyła się w środowisku, spowodował, że prawie natychmiast po przybyciu do Częstochowy wybrano ją przewodniczącą koła ZASP.

Sierpień 1980 zaskoczył Częstochowę, nieliczne grupy opozycyjne nie miały wpływu na duże przedsięwzięcia. Strajki, a w ślad za tym próby organizacji niezależnych związków, zaczęły się dopiero we wrześniu, od protestu w Hucie im. Bolesława Bieruta oraz trzydniowego strajku MPK. Aktyw PZPR próbował przyjąć i skanalizować atmosferę buntu. Tak też wyglądało w teatrze. 2 września do sekretariatu przyszedł faks z teatru na Wybrzeżu informujący o inicjatywie tworzenia niezależnych związków. Pismo przejął sekretarz organizacji partyjnej Ryszard Wachowski, postać dość barwna, słynąca z miłości do alkoholu. Wachowski zwołał tego dnia zebranie technicznego personelu teatralnego, na szybko wybrał grono założycieli nowego związku, dobierając dwóch stolarzy. Wiadomości z Wybrzeża dotarły także do aktorów mieszkających w Domu Aktora. Z ich inicjatywy zwołano 12 września spotkanie wszystkich pracowników,

zarówno aktorów jak i personelu technicznego. Zaproszenie do aktorów wystosowała przewodnicząca koła ZASP Ujazdowska. Przed zebraniem wysłała delegację – stolarza W. Musę i aktora Wojciecha Jabłczyńskiego – do Macieja Reyzechera, by ten – znany z działań w opozycji – aktor warszawski pomógł w przygotowaniu statutu nowego związku. Na zebraniu 12 września dominowały głosy przeciwników Wachowskiego, sekretarz POP wnioskował, by wstrzymać prace organizacyjne do czasu, gdy ZASP i SPATiF nie ogłoszą swego stanowiska wobec próby tworzenia nowego, niezależnego związku. Na wrześniowy zjazd SPATiF-u pojechała Teresa Ujazdowska, wróciła z uchwałą popierającą „Solidarność”. Na kolejnym zebraniu pracowników teatru 82 z 83 osób opowiedziało się za tworzeniem „Solidarności”. Powołano Komitet Założycielski, w składzie Teresa Ujazdowska, Tadeusz Krasnodębski – aktorzy, Tadeusz Górniak – stolarz i S. Bruckner – księgowa. Ujazdowską upoważniono do kontaktów z tworzącym się Regionalnym Komitetem Założycielskim, w pierwszej kolejności z grupami inicjatywnymi tworzącymi się w insty-



Teresa Ujazdowska, z realizacji: Niemcy, 16 marca 1974, Teatr Dramatyczny, Wałbrzych

fol. Wyszomirska Grażyna

tucjach kultury: Bibliotece Wojewódzkiej, Biurze Wystaw Artystycznych, Muzeum Okręgowym, Filharmonii.

Ówczesnym szefem szefów tych instytucji, dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego był płk lotnictwa Stefan Połturzycki. Łączył ortodoksyjną wierność wobec PZPR z żołnierską twardością i ambicjami umocnienia lokalnej kultury. Przyznać mu należy szereg zasług, przyciągnął do Częstochowy nie tylko Bartosika, ale też plastyków oraz poetów z Warszawy i Krakowa, „wrywał” z budżetu województwa środki na niezbędne remonty w placówkach, zadbał o zwiększenie powierzchni wystawienniczych dla plastyków i punktów bibliotecznych. „Solidarność” uważał za „kontrewolucję”. W teatrze wymusił na Bartosiku deklarację zniechęcającą aktorów do wstępowania do związku. Przeciw związkowi był także dyrektor administracyjny Zygmunt Kempa oraz sekretarz Wachowski. Ortodoksyjność Połturzyckiego w pewien sposób sprowokowała strajk w „Ikarze”, wydarzenie będące częstochowskim mitem założycielskim „Solidarności”.

W listopadzie ważyła się w Polsce kwestia legalizacji nowego związku. Sąd Wojewódzki w Warszawie odrzucił statut, domagając się wpisania do niego „kierowniczej roli PZPR”. 10 listopada 1980 miała odbyć się rozprawa odwoławcza, krajowe władze związkowe zagroziły strajkiem generalnym w przypadku odmowy legalizacji. Kilka dni wcześniej, 8 listopada, odbyło się w Częstochowie spotkanie Połturzyckiego z kierownikami instytucji kulturalnych. Pułkownik w żołnierskich słowach przedstawił plan reakcji na strajk: miano wprowadzić stan wyjątkowy, zawiesić prawa zgromadzeń i stowarzyszeń, usunąć grupy założycieli nowych związków z zakładów pracy, a protestujących aresztować.

Ujawnienie tego miało, zdaniem Połturzyckiego, przstraszyć „kontrewolucjonistów”. Efekt był odwrotny.

Dyrektorka Biblioteki przekazała informacje działaczom zakładowej „S” – Annie Woźnickiej, Halinie Solderskiej i Marianowi Rawinisowi. Ci przekazali to dalej, nieformalnej szefowej związków „w kulturze” Teresie Ujazdowskiej. Ta już była przygotowana. Połturzycki odbył podobne spotkanie z pracownikami teatru, tam także straszył. O ewentualnym zawieszeniu praw pracowniczych mówił, w tym samym czasie, prezes Spółdzielni Inwalidów „Anka” na spotkaniu z załogą. 11 listopada w klubie zakładowym MPK „Ikar” odbywało się zaplanowane wcześniej posiedzenie RKS, poszerzone o przedstawicieli największych zakładów pracy. Na tym spotkaniu szefowa „S” z SI „Anka” Teresa Staniowska poinformowała o groźbach prezesa, następnie Teresa Ujazdowska wraz z Woźnicką o wystąpieniu Połturzyckiego. Zaapelowano, by duże zakłady pokazały swoją solidarność z instytucjami kultury i spółdzielni inwalidów. RKS nie mógł odmówić reakcji. Zażądano natychmiastowego przybycia do „Ikaru” wojewody częstochowskiego Mirosława Wierzbickiego. Ten zrobił unik, zaprosił delegację „S” do Urzędu Wojewódzkiego, a gdy to się okazało nieskuteczne, spotkał się z aktywnym partyjnym w Zakładach Ogniotrwałych. Częstochowskie władze związkowe ogłosiły rozpoczęcie akcji protestacyjnej. Zdecydowano się na nieopuszczanie klubu „Ikar” do czasu podpisania porozumienia. W zakładach ogłoszono pogotowie strajkowe, które 14 listopada miało przekształcić się w czterogodzinny strajk ostrzegawczy, a gdyby ten okazał się bezskuteczny, w strajk generalny.

„Ikar” był symbolem skuteczności presji robotników. Protest zakończył się sukcesem, przybyła z Warszawy delegacja, kie-

rowana przez ministra administracji Józefa Kępę, zgodziła się z postulatami związkowców. Odwołano wojewodę i jego zastępców, do dymisji podał się prezydent miasta, odszedł ze stanowiska I sekretarz KW PZPR Józef Grygiel. Ten sukces rozdził się na oczach mieszkańców; rozmowy z delegacją rządową były transmitowane przez radiowęzeł, budynek zajezdni MPK oblegał kilkutysięczny tłum sympatyków „S”. Ta wygrana, stanowiąc jeden z najważniejszych epizodów w historii lokalnej „S”, wielokrotnie była opisywana, organizowano także uroczystości rocznicowe. Pamiętano o „ojcach sukcesu”: robotnikach z huty, z MPK, z innych zakładów; minimalizowano fakt, że istotniejszą rolę odegrały „matki”: Teresa Ujazdowska, Anna Woźnicka, Teresa Staniowska z SI „Anka”, aktywistka z domu kultury Agata Grzybowska, radczyni prawna Elżbieta Biernacka.

Zwłaszcza ogromną rolę odgrywała tu Tessa. Nie tylko przez wspieranie robotników *ad hoc* organizowanymi występami artystycznymi, recytacjami poezji patriotycznej... Jej osobiste kontakty rozszerzyły poparcie dla protestu. Po przez kontakt z Gustawem Holoubkiem uzyskała deklaracje wsparcia przez warszawskie środowiska kulturalne. Stała się także naczelną redaktorką drukowanego w „Ikarze” „Biuletynu Informacyjnego”; w pierwszym numerze ukazał się jej *Apel do kobiet*. Istotne znaczenie miało także jej obycie z życiem publicznym, w tym umiejętność prowadzenia negocjacji. Liderzy związkowi: Jerzy Styra, radca prawny z urzędu gminy, Zdzisław Bojarski, kierownik MPK, Zbigniew Kokot i Aleksander Przygodziński – robotnicy z huty, takich umiejętności nie mieli. Uczyli się dopiero, a musieli zmierzyć się z doświadczonymi aparaczkami partyjnymi, z I sekretarzem KW PZPR Gryglem, z prezydentem miasta, z ludźmi wojewody. 16 listopada przybyła pierwsza delegacja z Warszawy, z wiceministrem Janem Jabłońskim na czele, dwa dni później rozmowy toczono z ministrem Kępą. Tessa sprawdziła się od początku jako sprawna negocjatorka. Powierzono jej obowiązek przedstawienia postulatów delegacji ministerialnej. Z Kępą przybył członek KC PZPR Leszek Jaszczewski oraz zastępca Prokuratora Generalnego gen. Józef Żyto. Rozmowy trwały cały dzień 18 listopada oraz całą noc. Porozumienie podpisano 19 listopada 1980 r. o 6.30. Przez ten czas Teresa Ujazdowska w praktyce kierowała dziesięcioosobowym komitetem negocjacyjnym strony solidarnościowej.

Potem zaczął się czas budowania struktur nowego związku. W listopadzie 1980 r. odbyły się w klubie „Politechnik” wybory Komitetu Zakładowego „S” w teatrze. Wybrano do prezydium KZ: Tadeusza Krasnodębskiego (aktor), Lidę Wysocką (księgową), Adama Sułkowskiego

fol. Tomasz Bienek



Częstochowski Teatr im. Adama Mickiewicza, w którym występowała Teresa Ujazdowska

(akustyka), Andrzeja Golańskiego (kierownika technicznego), Jerzego Mochackiego (inspicjenta). Teresa został delegatem do władz regionalnych, wybrano ją także do Rady Artystycznej teatru i do Sądu Koleżeńskiego. Nie widziała siebie w pracy związkowej, miała plany artystyczne. Zdaniem szefa wydziału III częstochowskiej SB, Aleksandra Skrzypczyka, skład komisji gwarantował spokój, „nie ma elementów antysocjalistycznych”. SB pośrednio przyczyniła się do zaprzestania pracy Tessy w regionalnej władzy „S”. Grano na niechęci robotników do inteligencji. Odebrano jej redakcję „Biuletynu Informacyjnego”, oddając ją pracownikowi naukowemu z Politechniki. Rozpuszczano pogłoski o „nadużyciach” przy wyjazdach służbowych. Donos TW „Stelli” z 15 stycznia 1981 r. głosił: obecnie na indeksie „S” – Ujazdowska, Styra, Łukomski – podejrzani o współpracę z SB. Zarzucono Ujazdowskiej, że w „Biuletynie” wybieliła Połturzyckiego.

Miała dosyć. Zrezygnowała z aktywności w RKS, nie kandydowała do władz regionalnych na czerwcowym zjeździe. W teatrze skupiła się na pracy zawodowej. Miała plan i przekonała do niego Tadeusza Bartosika, by w jesiennej części sezonu 1981 r., wystawić spektakl *Relacje* według Hanny Krall, opowieść o Annie Walentynowicz. Podejmując się reżyserii i odegrania głównej postaci, specjalnie pojechała do Gdańska, spędziła noc na rozmowie z bohaterką Sierpnia. Premiera sztuki odbyła się w październiku. Przyjechała Anna Walentynowicz, dwa dni spędziła u Tessy w Domu Aktora. Spektakl zapełnił całą salę klubu „Politechnik”, uhonorowano go killkunastominiutową owacją na stojącą.

W listopadzie Tessa znów była w Gdańsku, na zebraniu sekcji teatralnej przy KK „S”. Nocowała u Walentynowicz. Umówiły się na kolejne spotkanie, 13 grudnia, w Częstochowie; pani Anna miała być „matką chrzestną” sztandaru „S” w Cementowni Rudniki. Przyjechała nocnym pociągami, na miejscu dowiadując się, że zamiast „Teleranka” w TVP wystąpił Jaruzelski. Tessa w tym czasie była już w celi Komendy Wojewódzkiej MO, przyszedł po nią około północy do Domu Aktora. Z aresztu przewieziono ją dzień później do więzienia dla kobiet w Lublińcu. Pierwsze dni nie wyróżniały internowanych, siedziała razem z Anka Reterską w celi pełnej zwykłych kryminalistek. Dla nich aktorka, to postać z lepszego świata, otaczały więc Tessę nabożną czcią. Potem oddzielono „politycznych”, zaczęła się więzienna szarżyzna.

O zwolnienie byłej żony starał się desperacko były mąż Jerzy Groszang. Nie zawiódł także dyrektor Tadeusz Bartosik, pisząc w jej obronie petycję do „wszystkich świętych”. Może nawet skutecznie, bo aktorkę zwolniono 6 marca 1982 r. Nietety, nie tylko z więzienia. Zdjęto z programu *Relacje*, nie przewidywano obsa-



Slup z afiszami częstochowskiego teatru, stan obecny.

dzenia jej w żadnej innej roli. Bartosik pomóc już nie mógł, jego też powiadomiono o zwolnieniu z funkcji dyrektora. Tylko nieliczna grupa aktorów okazywała jej wsparcie, większość bała się z nią rozmawiać, nawet na banalne tematy. Jeden z kolegów, aktor, zarejestrowany jak TW „Alpinista”, przedstawiał ją w donosie: „słaba aktorka, utrzymanie w zawodzie zawdzięcza umiejętności przechodzenia z łóżka do łóżka, bytność w Częstochowie wynika z wypłucia przez inne środowiska, sierpień wykorzystała, by lansować się w Solidarności”.

Koleżanka z celi Anka Reterska wymyśliła, by zwolnione internowane przyszły 3 maja 1982 r. pod Grób Nieznanego Żołnierza z kwiatami. Teresa Ujazdowska nie odmówiła prośbie. Ankę za to internowano ponownie, Tessę wyrzucono z mieszkania w Domu Aktora. Znalazła się na bruku, bez pracy, bez mieszkania, bez pieniędzy, bez możliwości wykonywania zawodu, któremu poświęciła 30 lat życia. Zdecydowała się na wyjazd.

Dzięki pomocy krewnych mogła odbudować swoje życie w Londynie. Tam,

najpierw społecznie, rozpoczęła pracę w związanym ze starą emigracją Polskim Ośrodkiem Kulturalno-Społecznym. Prowadziła tam amatorski teatr, organizowała wieczory poetyckie. Kolejną jej pracą było redagowanie zasłużonego, istniejącego od 1944 r., pisma polonijnego „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”. Zaczynała od korektorki, skończyła jako redaktor naczelny.

Z Częstochową starała się podtrzymywać kontakty. Gdy w 1985 r. powstał jawny Komitet Obrony Interesów Społecznych, zadeklarowała w nim udział, nakazując podpisywanie także jej nazwiskiem oświadczeń i komunikatów. Z opozycją związani byli jej najbliżsi. Brat Kazimierz Ujazdowski, adwokat z Kielc, na jej prośbę, bronił aresztowanych działaczy „S” z Częstochowy. Syn adwokata, Kazimierz Michał Ujazdowski, współtworzył Ruch Młodej Polski.

Przed śmiercią wróciła do Polski, ostatnie chwile spędziła w domu opieki pod Łodzią. Zmarła 27 lipca 2021 r., w wieku 90 lat. IPN uczcił jej pamięć wspomnieniem w „Biuletynie”, pochowano ją na warszawskich Starych Powązkach.

Zastygnąć w bezruchu

WOJCIECH LIPOWSKI

Głośny ryk syren przykuł ludzi do krzeseł. Wszyscy pomyśleli, że to już, zaczęło się, kolej na nas, trzeba się ratować, uciekać, ale nikt nie ruszył się, bo gdzie, dokąd iść, przecież to teatr a nie obiekt wojskowy. Czy ktoś wiedział, gdzie jest w ogóle jakiś schron? Tak się zaczęło. Na scenie widzowie a oni w zapadni pod nią. Zakrwawieni, brudni, zmęczeni. Krótkie wytchnienie przed kolejnym atakiem? I jaka jest rola obserwatorów? Czy są na świecie wojny, które można oglądać bezkarnie siedząc na krześle? A przed nami? Mieli być studenci wileńscy a przypominają żołnierzy z Mariupola, z Azowstalu. Czy to ma znaczenie? Definicja wroga się nie zmieniała. Natomiast strofy Mickiewicza zmieniły kształty. Tamci z Wilna także nie wiedzieli, co ich czeka, też się modlili, żartowali, popadali w rozpacz, marzyli i pragnęli jednego: wolności.

To nie relacja z frontu a spotkanie z *Dziadami* Mai Kleczewskiej, już nie krakowskimi, ale ukraińskimi, prosto z Iwano-Frankiwska i Teatru Dramatycznego, pokazanymi w Katowicach na kolejnej edycji Festiwalu Open The Door. Choć z tyłu głowy Słowak i przekonanie, że nie da się uciec od tamtej adaptacji, to poza kilkoma rozwiązaniami, które mają charakter uniwersalny i można zawsze z nich skorzystać, szybko zapominamy, bo tu kłuje groza aktualizująca znany na pamięć tekst poety. Tamten krakowski spektakl Kleczewskiej mówił o narodowym buncie, którego siłą sprawczą były udręczone kobiety. Ta perspektywa stała się dominantą, podkreśloną sceną Improwizacji Konrada w ujęciu Dominiki Bednarczyk, która przeciwstawiła się milczącemu Bogu. Teraz jest nadal odległy, nieobecny, nie obchodzi go los uwięzionych, ale przecież niepokonanych bohaterów, te przejmujące *Dziady* traktują o przemocy, okrutnej i niezłomności.

Pierwsza scena. Prolog. Fragmenty Obrazu. Nad publicznością ekran, jesteśmy osaczeni, kilka ujęć z różnych perspektyw, kilka możliwości patrzenia na wojenny los, ale czas jakby zwolnił, zgęstniał, sprawił, że napięcie sięgnęło zenitu. Płynnie korowód postaci, a Gustaw-Konrad nieruchomieje, bo paraliżują go one całkowicie. Roman Lutsky, odziany w zieloną bluzę z tryzubem (kogoś nam przypomina w tym stroju) pokazuje mistrzostwo interpretacji każdego zdania, gdy mówi

o wolności, walce ze złem, konieczności oporu za wszelką cenę. W tej postaci Kleczewska jakby skoncentrowała historyczne dziedzictwo ciemnionej Ukrainy. Zdania, które płynęły w języku ukraińskim, raz wykrzykane, innym razem szeptane, dotknęły istoty cierpienia, zniewolenia, raziły do głębi, gdy traktowały o przemocy. Nie było wyjścia, zostaliśmy zmuszeni do zanurzenia się w tym bólu. Od tej pory teatr przeniósł swój dyskurs w sferę emocji, rozderganych, mocnych, zawsze bolesnych, trudnych do opisu. No i oczywisty kontekst, który zdominował całość tych skróconych znaczeń przez reżyserkę *Dziadów*. Bombardo-

wania, alarmy, ciągła niepewność, kiedy się zacznie i kto przeżyje. Tak powstawały w Iwano-Frankiwsku, przerywane, gdy trzeba było zejść do schronu.

Scena więzienna. Grupa żołnierzy w okopie. Aktorzy pokazali tu harmonię i zagraли jak dobrze zestrojona orkiestra. Ubrudzone, poszarpane mundury, zakrwawione twarze, jakby przypuściły na chwilę po morderczej walce. Bandaże, papierosy, koszula w narodowych barwach. Wszyscy krzyczą, napięcie udziela się widzom. Może to w naszą stronę, tej bezpiecznej Europy, co to rozsiadła się wygodnie i patrzy na przekaz spotęgowany siłą ogromnego ekranu nad



fot. Jeremi Asiaszow





fol. Jeremi Asiaszow

naszymi głowami. Jak mają się czuć, gdy patrzymy na nich z różnych perspektyw? Ładują prosto w nas Mickiewiczowskimi wersami, zagrzewając się do walki. Czy powinniśmy śpiewać razem z nimi „Zemsta na wroga/ Z Bogiem i choćby mimo Boga”? A może powtarzać szarpiące sumienia i uszy znaczące „ra ra ra ra”? Co mają robić ludzie zastygli w milczeniu, porażeni tym wszystkim? Biec do okopu, budować wspólnotę, podjąć wojenną pieśń i spełnić konieczność walki do ostatniego? Mocny przekaz. Trzeba przyznać, że w tej poruszającej scenie Kleczewska sięgnęła artystycznych wyżyn swego teatru: spoliczkować oskarżeniem, unieruchomić w poczuciu krzywdy i w końcu stworzyć coś na kształt jedności nas wszystkich, by jak u Homera współcierpieć z cierpiącymi, bo wojna, jak pokazuje ostatni czas, może dotyczyć każdego, także widza, bezpiecznego obserwatora.

Mało? No to Wielka Improwizacja, a raczej kilka jej taktów, co wybrzmiały w tym spektaklu. Słyszeliście kiedyś krzyk? Jeśli nie, to powinniście kiedyś to zobaczyć. Roman Lutsky perfekcyjnie szarpiący strofy romantycznego Wieszcza. Artysta krzyczy do Boga, bo ten, jak już wspomnieliśmy, jest nieobecny. A tu morze cierpienia. Dlaczego zapomniał o mordowanych, ma ważniejsze sprawy? Ten Konrad jest wojownikiem, który staje do walki w obronie ojczyzny i swego narodu. Wszystko w tej Improwizacji widzimy. Jest na wierzchu. Tam w Krakowie było schowane, wewnętrzne, siła ukryta była w milczeniu. Tutaj inaczej, na polu bitwy tylko siła wyrazu, wykrzywane oskarżenie może poruszyć, skruszyć obojętność, sprawić, że ci odwróceni zmieniają pozycję, spojrzaj prosto w twarz okrucieństwa, jakie niesie wojna. Drugi plan tej sceny dopełnia Duch Konrada, w tej roli Dymytro Leka, choreograf teatru, który, podczas polemiki z Bogiem tańczy w głębi pustej widowni, na którą patrzymy nagle w osłupieniu, bo nas tam nie ma. A powinniśmy być? Kleczewska zbudowała tym samym Wielką Improwizację z elementów poezji, tańca i muzyki. To propozycja czytania Mickiewicza w różnych porządkach narracyjnych. Tak naprawdę odbiorca powinien dokonać wyboru

drogi, którą ostatecznie podąży ruszając w teatralną podróż.

Gdzieś obok tego inna broń tej wojny, czyli hipokryzja Kościoła prawosławnego, stosunek do niej Cerkwi. Zapadająca w pamięć scena Kazania księdza Piotra, który przypomina patriarchę Cyryla świetnie zagranego przez Jurija Litwinowa. On później dokona egzorcyzmów Konrada poddając go presji duchowej i cierpieniom fizycznym. Rytuał egzorcyzmów zostanie zapamiętany dzięki niezwykłej wprost sile ekspresji i manipulacji względem bohatera. Tortury przypominające czasy Inkwizycji, a stosowane przez Kyryla, bez ogródek nawiązują do sposobu traktowania żołnierzy ukraińskich przebywających w rosyjskiej niewoli. Gdy głowa Konrada zostaje zanurzona w wiadrze pełnym wody i znęcanie, a raczej „oczyszczanie” i „zbawianie” sięga zenitu, ogromny cerkiewny ikonostas, bijący blaskiem złota, odwraca uwagę od ofiary. W końcu, gdy wszystko ucichnie, znajdziemy pod naszymi stopami dwa leżące ciała: Konrada i jego Ducha.

Reszta rozegra się już poza teatrem. W mroku wieczoru przed budynkiem Teatru Śląskiego, gdzie zainscenizowano Salon Warszawski i wizję Senatora. Pulsujące życiem miasto, czerwony dywan, ochrona, doborowe towarzystwo. Gdzie jesteście? Na schodach Pałacu Festiwalowego w Cannes. Nowosilcow opuścił Księstwo Warszawskie i jako celebryta rosyjski zawitał do Cannes. Kleczewska, jakby mało już było oskarżeń, włożyła kolejne w dosłowność, dokonując rekapitulacji, sumując wcześniejsze zarzuty dotyczące obojętności względem toczącej się wojny. Już wcześniej obejrzelśmy na ekranie, słysząc wyraźne poruszenie wśród ukraińskich widzów spektaklu, sekwencje filmowe ukazujące Netrebko, Gergieva, czy Michałkowa, zwolenników władzy, zmieniających się w spływające krwią potwory. Teraz trafiliśmy na coś w rodzaju targowiska próżności i spojrzeliśmy w cześć tego świata. Świata, który żyje jakby nic nie był winien ofiarom, świata, który z otwartymi ramionami przyjmuje celebrytów, popleczników reżimu i nie rozumie konsekwencji. Nowosilcow w ciemnych okularach,

otoczony dworem, gotowy na wszystko, bandzior w drogim garniturze, syty władzą, razem z zausznikami pławi się w luksusie. Nikt nie zwraca uwagi na pojawiającą się jakby przypadkiem niewidomą wdowę, panią Rollison, matkę więzionego i torturowanego młodego studenta, proszącą o ułaskawienie. Kiedy zostaje brutalnie odtrącona, rozrywa suknię i ukazuje pomalowane w narodowe barwy piersi. Czy nie jest w tym figurą wszystkiego, co najważniejsze, czyli Ukrainą, cierpiącą ofiarą tej wojny?

Na zakończenie ofiary przepadną niezauważone pośród zgłębku celebryckiego świata. To najboleśniejsze oskarżenie wybrzmiało najpełniej właśnie w tej rozbudowanej do granic wytrzymałości scenie. Obok w kawiarnianych ogródkach goście spokojnie prowadzili rozmowy i pili trunki. W ten sposób spektakl otworzył się nieoczekiwanie na zupełnie nowy kontekst. Wzmocniony ostatnią mową Konrada, kiedy Duch zakłada na niego kamizelkę kuloodporną i znika.

Czego w istocie dotknęliśmy wraz ze świetnymi aktorkami i aktorami Iwano-Frankińskiego Narodowego Akademickiego Teatru Dramatycznego tej nocy? Nośnych w znaczenia i pojemnych fraz Mickiewiczowskiego dzieła, co niektórym wycisnęły z oczu łzy wzruszenia, buntu, przerażenia, że to ciągle aktualne, że to o nas, naszych postawach, reakcjach na zło, zaniedbaniach, obojętności? A może znowu zapadliśmy się w otchłań obywateli mnogością znaczeń, kontekstów, odczytań nieśmiertelnego dzieła, co nie daje o sobie zapomnieć? Mogło się też zdarzyć, że w zapadającym mroku powstał załazek wspólnoty, niewielkiej, ale wystarczającej, by odejść od spraw nieistotnych, błahych na rzecz tych znaczących, bo ostatecznie to od nich zależeć będzie nasza przyszłość. ■

Adam Mickiewicz
Dziady
reż. Maja Kleczewska
pokaz na Festiwalu Open The Door
w Teatrze Śląskim
1.06.2024





Tajemnica zaginionych skarpetek odkryta!

WERONIKA GÓRSKA

Detektyw Pozytywka cierpliwie rozwiązuje zagadki, którymi inni śledczy gardzą... A może po prostu się boją, że nie podołają i będzie wstyd, bo to na pozór taka banalna sprawa? Tytułowy bohater wykrył na przykład, co się stało z ulubionymi skarpetkami kilkuletniej Zuzi, tymi z delfinami. Dziewczynka nosiła je przez trzy dni i chciała założyć również czwartego, ale nigdzie nie umiała ich znaleźć. Podejrzała najgorsze – kradzież, której podły sprawca nigdy nie zostanie ujawniony. Dzielný detektyw domyślił się jednak, że zguba wisi na sznurku na pranie, ponieważ żaden rodzic nie zniósłby noszenia skarpetek przez dziecko kilka dni z rzędu, zatem musiał je porwać i podać okrutnym torturom w bębnie pralki.

Pozytywka nie tylko znakomicie opowiada sztukę dedukcji, ale również samoobrony – w tym celu używa kaktusa, którego kolce pieczołowicie ostrzy każdego dnia. Jest też niezwykle oszczędny. Zamiast kupić nowy czajnik elektryczny, podgrzewa wodę w zepsutym, kładąc go na... kaloryferze! I jeszcze ciekawostka – ponieważ jego zleceniodawcami są przede wszystkim dzieci, detektyw przyjmuje zapłatę w formie czekolady oraz cukierków.

Życie przenikliwego i zawsze chętnego do pomocy śledczego komplikuje się, kiedy sam pada ofiarą przestępstwa. Jego ukochany rower, którym jeździ nad jezioro za miastem, by podumać, zostaje skradziony z podwórka! Na pomoc detektywowi przychodzi troje policjantów. Krok po kroku rekonstruują wydarzenia, analizują zeznania świadków, a także zastanawiają się nad relacjami Pozytywki z sąsiadami, małymi oraz dużymi, usiłując dociec, kto miał motyw i sposobność, by pozbawić go środka lokomocji i przy okazji ośmieszyć (bo co to za detektyw, który daje się okraść?!).

Spektakl Teatru Żelaznego stanowi adaptację serii popularnych książek detektywistycznych Grzegorza Kasdepke przeznaczonych dla dzieci. Uwielbiany przez najmłodszych autor sam napisał scenariusz. Reżyserem jest zaś Grzegorz Eckert, którego znakomitą sztukę *Inny* widziałam niedawno w Śląskim Teatrze

Lalki i Aktora Ateneum. Troje aktorów (Magdalena Jędrusiak, Wojciech Kondzielnik i Tomasz Katan) miało do zrobienia na scenie bardzo dużo. Nie tylko wcielali się w policjantów rozwiązujących sprawę skradzionego roweru, ale też animowali lalki, przedstawiające Pozytywkę oraz jego otoczenie. Każdej z nich nadali inny głos oraz wyposażyli w nietuzinkową osobowość. Ponadto w kolejnych scenach aktorzy błyskawicznie obracali dekoracje, które widziane z różnych stron tworzyły a to ponure wnętrza komisariatu, a to przytulny, chociaż ciasny gabinet Pozytywki, a także podwórko kamienicy, w której mieszka i pracuje. Autorem scenografii jest Piotr Wiśniewski, a stworzone przez niego realistyczne lalki nawiązują do ilustracji, którymi Piotr Rychel ozdobił literacki pierwowzór. Nastrój spektaklu – momentami pełen napięcia, kiedy indziej grozy, a czasami zabawni – podkreślała muzyka Igi Eckert.

Każda z postaci sztuki posiada odmienne cechy osobowości. Czasami bez trudu daje się lubić, jak główny bohater, a kiedy indziej irytuje bądź rozzłości, jak konkurujący z Pozytywką zazdrosny i obraźliwy detektyw czy gderliwy dozorca, oskarżający okoliczne dzieci o ciągłe bałaganienie na podwórzu i inne psoty.

Sceniczna opowieść nie tylko intryguje, ale też w sposób nienachalny niesie walory edukacyjne. Podążając tokiem myślenia śledczych, młodzi widzowie mogą poznać nie tylko rodzicielskie standardy higieny, ale również prawa natury, takie jak kolejne etapy przemiany lizki w motyla, czynniki, które przyspieszają nagrzewanie się wody w zbiorniku czy trajektorię spadania z dachu topniejącego śniegu. Ponadto spektakl pomaga wnikać w psychikę postaci, zastanawiać się nad ich motywacjami oraz stojącymi za nimi emocjami. Dzięki temu dzieci osławiają takie trudne stany, jak smutek, złość czy niepokój, a także uczą się dawać im upust w sposób możliwie najmniej uciążliwy dla otoczenia.

Mimo że bez trudu domyśliłam się rozwiązania zagadki zaginionych skar-

petek i kilku innych (jedynie sprawa skradzionego roweru wymagała nieco dłuższego namysłu), spektakl mnie wciągnął oraz zapewnił znakomitą zabawę. Śmiałam się niemal równie często, co otaczające mnie maluchy. Nie wszystkie jednak – towarzyszący mi bratanek zaledwie kilka razy zachichotał. Znacznie częściej robił znieśmaczone miny, przewracał oczami, ostentacyjnie wzdychał lub szeptał ironiczne uwagi. Dlaczego? Po prostu był trochę za duży na przygodę detektywa Pozytywki. Kiedy ma się trzynaście lat, nie dopieszcza się swojego wewnętrznego dziecka, lecz z nim walczy, nieustannie udowadniając, jak bardzo jest się dorosłym i poważnym. Dlatego proponuję, by na przedstawienie zabierać przede wszystkim widzów do dziesięciu lat – oni bez krztyny zażenowania wyciągną z opowieści o dzielnym detektywie wszystko, co najlepsze.

Teatr Żelazny, mieszczący się na katowickim Załężu, specjalizuje się w komediach przeznaczonych dla dorosłej publiki. W swoim repertuarze, poza *Detektywem Pozytywką*, ma jednak jeszcze cztery sztuki dla dzieci: *Pchła Szachrajka*, *Złota Rybka*, *Różowy Kapłan* oraz *Dziadek Mróz*, czyli *po co komu zima*. Cieszy, że poza teatrami wystawiającymi przedstawienia wyłącznie dla młodych widzów (Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach oraz Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie), również inne sceny dbają o to, by zaznajamiać z Melpomeną i Talią publiczność już od pierwszych lat życia. Dzięki takim spektaklom, jak *Detektyw Pozytywka*, w dzieciach tworzy się nawyk i potrzebę odwiedzania teatru. Natomiast towarzyszących im rodziców i opiekunów zachęca, by byli widzami częściej – z podopiecznymi lub samodzielnie.

Grzegorz Kasdepke: *Detektyw Pozytywka*. Reżyseria: Grzegorz Eckert, scenografia: Piotr Wiśniewski, muzyka: Iga Eckert. Teatr Żelazny w Katowicach.

Fale 3

czyli dyskursywnik, tak jak cała reszta

KONRAD KITLIŃSKI

Ojciec to bardziej przynależność niż powinność. Przecież, zdaniem dzieci, a co ważniejsze profili psychologicznych, większość polskich ojców to wielorazki rozdzielone do oddalonych od siebie okien życia. Potrzebni w pierwszych latach rozwoju. Człowiek powinien obcować z intelektualnymi rówieśnikami. Dobrze, by wskazał bendiks lub chociaż klocek. Nawet klocek jest lepszy niż nic. Nic ojca to ojciec za kółkiem, na kierowniczym stanowisku, człowieka, którego nie sposób zburzyć. Te dzieci powinny założyć Wiarę Ojców. Jednak natura nie lubi próżni. Sataniści Ojców odwracaliby ich zdjęcia w złotych ramkach. Ateiści Ojców poszliby w karierę. Ciekawe co na to autorzy zadań maturalnych.

Wynosiłem kiedyś torbę pustych ćwiartek. Worek pustych ćwiartek. Niejeden *big bag* pustych ćwiartek. Wynoszenie torb to coś w rodzaju rekrutacji. Worki wynosisz jako pracownik. Przy *big bagach* jesteś już swój. Zabrzmi to fałszywie patologicznie, ale tak układałem swoje relacje z ojcem. Nasz jedyny wspólny Dawid, budowany dziesięć miesięcy. Warstwy w dwóch światach. Każdy każdego wyklął i każdy każdego uściaskał. Elektryczność i estetyka gładzi. Szlifowanie. Zastanawiam się czy świadkowie tych bajek opisaliby to inaczej.

Dopiero w wieku dojrzałym moja „babcia” powiedziała przy wódce mojej babci, że jej ojciec nie był jak Boryna. A właściwie był nie całkiem. Gdy trzeba było kupić wnukowi wolność od wojskowej służby, sypał złotem, podobnie jak sypało się zboże szlachetne, przenoszone rynkami jego domorodłego wynalazku. Sam oddzielałem nim ziarna od plew. Dwie drogi jednego plonu. Dziadek Stanisław nie stronił. Skoro jego córka wskazała skazę na słowiańskim naczyniu swojej rodziny... Syn, który rzekomo przewracał traktor pchnięciem ręki, zmarł na zawal podczas tanecznej zabawy... Niejedno zobaczyłem u ojca...

Podobno dziadek dziadka urządził wesele, podczas którego spłonął dom ojców. Wyniesiono jedynie zegar, do dziś nazywany Gustaw. Jako Konrad odkurzam go z sentymentem.

Podobnie jak człowiek cywilizowany nadaje podmiotowość swojemu zwierzęciu, tak Ślązak darzy tym samym zbiorowość gołębi. I leci ona, czy raczej „buja” poszczególnymi pierzastymi atomami, nad religijnymi Siemianowicami, nad Witosa starymi gwardiami, nad nami. Nad nami, kiedy z ojcem wracamy po zakupach nieczynnym torowiskiem. Wtedy obaj jesteśmy szczęśliwi w niesamowitym rezerwacie dawnych obrazów Śląska. Wbrew modelowi pokoleń wspólnie pijemy piwo, siedząc na osmołowanym podkładzie i skazując galoty na hasiok. Niekiedy harmonia nie musi mieć podziału na zimne i ciepłe, na całość czy jednostkę.

Dom jest rutyną, przestrzenią tego samego koloru o poranku. Spod podłogi słychać sąsiada w łazience, bym nie musiał ustawiać budzika przed wschodem. Chciałbym pomalować te odrapane schody, ale tylko kiedy jestem spóźniony. Już nie dorabiam klucza do klatki, bo w zamek, jak w sąsiadkę z parteru, co tydzień wchodzi inny. I tak starając się codziennie inaczej wyjść do pracy, jadę na pocztę. I chcę jak Bukowski żyć z poezji chwili, i nie wiedzieć, co jutro pocznę.

I ja opisując to wszystko. I mój ojciec pijący w pracy przy budowie nowego świata, budzący się w nocy i będący w toalecie bliżej nieokreślonych krain picia. Narnia picia wylewana na telewizor. Jego matka, która „pańcia” mówiła do synowej, delikatnej wtedy, nie dziś, mojej matki. Teściowa miewała w dobrych chwilach nieswoje myśli typu „woda rozmow-

na; napij się ze mną, a powiem ci kim jesteś”. I byłam ojcem jej Stanisław, konstruktor maszyn „ziarna od plew” bez jednego gwoźdźca. Opisała go córka, oczywiście w stanie, że chłop ze wsi wyszedł, ale w swoim celu i jego dom pamiętał fakty wiele lat. Choć sobą wyznaczali trakt, wnioski są obok dla pokoleń. I chociaż wiem, że pójdzie to dalej, nie nazwałem tego ani razu słowem.

A co z niesmakiem? Wbrew pozorom nie musi być negatywny. „Nie powiem nie płaczcie, nie wszystkie bowiem lzy są niedobre”. Wobec siebie, zarywającego noce w imię ratowania się przed ciszą, która przychodzi wtedy, kiedy jej nie brak i myśli... one bywają wszystkie; czasem emocje nie nadążają za ich narcystycznym poczuciem humoru. Wobec innych – tylko dług świata, który lubi wyrwyki, zamiast fabuły i szczerze wiązanki z przyjemnością trzód. „Może fine jak każdy mean przyjąć ten mood”.

Idę tak po tym śniegu, zmuszony do opieki nad psem z demencją i kupna czteropaka w promocji, i słyszę „jak to nawaliło, to już będą święta”, „gdzie mi ta godzina wprzód, jak teraz ciężko będzie tego gruzu wykopać”, „czymu się ciyszysz, jak to wszystko stopnieje na wilijo”. I myślę sobie jaki to cywilizacja poczyniła wsteczny progres. Jak, skoro kiedyś, a właściwie „Jak”, „kiedy” i „skoro” to dzisiaj „jak”. No i jak się tu dogadać? Okolicznikowi imbecyle. Myślałem o tym, idąc po czteropak, ale piszę, kiedy już się kończy. Skoro się kończy, to chyba czas się ogarnąć. Jak to możliwe, że już się skończył i że już pierwsza? Chyba za dużo krakowskiej poezji.

To nie pożegnanie z publicznością, a oddanie siebie i łza na policzku. Nie było nawet czasu, by złapać swoją chwilę, ale była ona w oczach bliskich obcych i moim chropowatym wdechu. Wydech brzmiał i brzmi do dziś, pamięć dobra niosła winyle, a to rzecz święta.

Kochać można różnorakie bóle. Wzruszenie z miłości obieira nam mowę. Spleen można piedestałować. Mrowiącą percepcję, pozbawioną wszystkiego, co poznawcze, czasem się odczuwa. Zahaczające na siłę plastikowymi kątami o nieopaloną skórę, wyłaniające się ze światła stroboskopu wielofunkcyjne beużyteczne elektronarzędzia. Chyba można użyć, a na pewno można kupić.

Ono się boi zedrzyć „siebie z siebie” w cyklicznym tańcu, tańcu konwenansów. Ono się boi położyć, bo minie z każdym gestem przestania, boi się zamorzyć. Mielonej udzi desperacka spowiedź. Zwymiotował.

Wszystko chamieje, jak ewolucja. Nawet *Fale* chamieją wobec siebie. Już nie parkują aut w dawnych garażach. Teraz wolą postawić BMW pod mieszkaniem komunalnym. Gdyby dołożyły jeszcze cztery godziny do zmiany dwunastki mogłyby zarobić jeszcze więcej i jeszcze większy kawałek świata kupić. Twoje własne, to zrozumiałe i bezsprzeczne. Kupując pole pod horyzont stajesz się Panem Bogiem.

Pośród aktywnych ludów księżycowych spaceruje nieodżałowany Krzysztof Respondek. Spaceruje z bliskimi pośród rzepaku. Patrzą w górę, myśląc o dole. O zawale. Śląskie nieszczęście. Nie lubimy się sposobić. Nie sposób uzupełnić nas o nie-tutejszość. Tutaj cykl życia spotkał diabła w postaci Darwina.

Ciąg Fibonacciego. 3 wyrasta z 1 i 2? Tokarczuk widzi czułość w wirze zlewozmywaka? Płatki stokrotki ułożono, by ktoś kochał, a ktoś był kochany? Zachód słońca odwiecznie kołem się toczy? A gdzie czyste toalety dla mężczyzn? Dlaczego nóż do masła nie kroi? Czemu połowa pękniętego serca



wygląda na bardziej samodzielna? W jakim celu i wbrew ilu ktoś stwierdził, że ziemia nie jest ani płaska ani równa kuli?

A ja myślę, ojciec księżę redaktorze na fotelu terapeuty, że ta pisanina przyszła niczym rak. Przecież sobie na to nie zasłużyłem, byłem naiwnym gówniarzem, trochę pod kłosem matki. Dała mi wtedy na siłę zieloną kamizelkę. I oto śnieżynki w maju i dzieci pośród lasu zrodziły młodego pisarza. Nieuleczalna kraina dzieciństwa zadziałała naiwnie po raz ostatni. Dławię się tym już czas jakiś, wciąż zastanawiam się, że nieuleczalnie. Jedyna nadzieja w nocnej chemii chwili, wtedy wszystko z człowieka wychodzi. Eksperci przyglądali się sprawie i tylko jeden był w stanie coś z tym zrobić. Muszę kiedyś zaprosić go na piwo. Ciągle sprawdzam ile tego jeszcze mi zostało...

W pewnym momencie zakręciło mi się w tym pijanym widzie i zacząłem nucić *Jaskółkę uwięzioną*. Jakby zabłysnął czarny brylant każdego Opola, każdego święta, każdego wesela. Jaskółka dryfująca nad wydarzeniami, świętościami, kibicami. Jaskółka uwięziona w mitologii i patosie, latająca choćby nad Laosem, lecz zawsze nie w sosie. Jaskółka warszawska i krakowska. Minąłem zamknięty sklep, pod którym stał ostatni klient w świetle lampy i nucił wraz ze mną: „Jaskółka, mózgu kotwica”.

To specyficzne pijane mrowienie, obecne u naparstka. Młoda dusza wstaje przed tymi dorosłymi. Dlatego ci wrażliwi bu-

dzą się na kacu wcześniej przed innymi. Miło byłoby obudzić się na Sycylii, ale bez krzyków wokoło. Polonistyka funkcjonuje i krąży, w tym od Włoch po myśl na Wyspach Szcześliwych. Awionetka zagwarantuje spanie zaimprezowanym. Obudzą się pośród wodospadów i doświadczą czegoś poza polskim rozumowaniem. Tam mężczyzna nie musi być macho, a kobieta produktem. Skoro piekiel jest wiele, to niebo też nie powinno być jedno.

Mimo kreowanego pretensjonalnie nihilizmu, jestem zasranym szczęściarzem, którego jedynym zadaniem jest tego szczęścia nie zmarnować. Tylko w jaki sposób zagasić w sobie zapach duszy Amy Winehouse? „To nie karnawał, ale tańczyć chcę i będę tańczył z nią po dzień”. Zawsze zastanawiało mnie dlaczego Wisła to kierunek ku krainie czarów. I teraz już wiem dlaczego zachwyty pralkami, dlaczego fobia owadów i owady w bębnach pralek, a pralki tylko w mojej głowie. Obok pralek stoi śmierć i miesiąc w miesiąc pierze ubrania kolejnej ważnej dla mnie osoby lub ubrania śmierci osoby ważnej dla mnie. Bęben wieloznaczności kołem się toczy. Dla rozluźnienia poszukam jutro konstelacji gwiazd w czułym zlewozmywaku Olgi Tokarczuk.

Dziś niezwykle praktyczni życiowo, codzienni użytkownicy pisma obrazkowego, nie kłopotczą się artykulacją myśli. Pełniące funkcję Arystotelesa media „Myśli cukrzają nazbyt rzeczy one”. Dzięki temu szczęśliwi chłonący je „Mają takie...”, po którym to następuje kontekstowa krzywa mina. Lub nic nie następuje. I istnieje w tym rdzeń ludzkości. Przecież ludzie „mieli takie...” sceptyczne poczucia wobec wszystkich przełomowych historycznych kwestii. „Mieli takie...” groźne miny, gdy szarżował na nich smaczny drapieżnik. „Mieli takie...” wątpliwości przed zejściem z drzewa. W tym kontekście Tik Tok i Instagram, narzucające wzorce posiadania i upowszechniania relacji ze swego posiadania, wydają się kolejnym krokiem ludzkości. „Mam takie...” wrażenie. Przyłóż tylko ucho w autobusach.

„Pyleczknij się do sklepiczku po piweczko”, powtarza matka w jej śnie (i to wielokrotnie, bo to przecież tylko sen) i staje się coraz większa. Każde kolejne powtórzenie „Pyleczknij się do sklepiczku po piweczko” wybrzmiewa coraz bardziej szeleszcząco, jakby z braku piweczka matka wypijała kolejne samogłoski. „Plczknij się do sklpczku po pwczko”, „Plczknijśdsklpczkppwczk”; dokonuje się włam chmaryczarnych jak spółgłoski karaczanów i nagle słychać szcęk roztrzaskiwanych przez nie talerzyczków i szklaneczek. Szybko tak zatłamszają jej oczy i uszy te „pyleczknięcia” swoją ciemną migoczącą barwą... aż nie nadejdzie kura i nie wydziobie jedynej spośród nich sztuki, o której istnieniu ma świadomość, czyli jej samej. Bogu ducha winna kobieta obudziła się o wyznaczonej przez organizm porze pół godziny przed budzikiem i stwierdziła, że jej organizm coraz ciekawiej radzi sobie z wątpliwościami wobec mężczyzny.

Podobno nową powszechną chorobą stała się prawostronna migrena. Przychodzi jedynie mokrą wiosną, po wypiciu choćby niewielkiej ilości piwa. Powoduje niezwykle opryskliwość wobec rodziców i wstręt do światła. Niepotwierdzone plotki mówią, że jedynym lekiem jest masturbacja. Kręgosłup, zatoki, migdałki, depresja; lekarze są bezradni. W swych nudnych kitlach nie skrywają dopaminy, zainteresowania, ani nawet chęci łapówki. Chorzy doktorzy chodzą do bosych szewców słuchać głodnych kasków z ust piekarza i rzeźnika. I jak tu uwierzyć w zbawienie, słysząc w konfesjonale napominanie „Ciszej, ciszej!”?

Fale, podobnie jak ludzie, ich historie i motywacje, pozostają różne. Podlegamy nieustannej dynamice naszych przywar, a kultura to tylko pełen ich dziurawy worek. Ale nago byłoby jeszcze gorzej. Staramy się wypuszczać drugim uchem to, co usłyszeliśmy od rodziców i rodzicami, kulturą i kulturami, wyobraźnią i wyobrażniami. Racja, krążyśmy, ale czy według czyjejkolwiek definicji? Jedyną stałą jest czuła chęć drugiego i wszystkiego.

I trącić będzie świata dech perfumowanym szlamem historii, i wracać będzie, czasem nawet chętnie, głównie w dwudziesty wiek...

Śmierć wioski Ding

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Yan Lianke (chiń. 阎连科) urodził się 24 sierpnia 1958 roku w rodzinie ubogich rolników, w chińskiej prowincji Henan. Były to lata wielkiego głodu i absurdalnych akcji społecznych po konflikcie Ma Zedonga z Chruszczowem, gdy ten poddał krytyce morderczą politykę Stalina. Jego rodzina była bardzo uboga i jedyną szansą na zdobycie wykształcenia i osiągnięcie wyższego statusu społecznego było wstąpienie do wojska. Zanim osiągnął wyższą świadomość twórczą pisywał żenujące teksty propagandowe, o których teraz zapewne chciałby zapomnieć. Póki to czynił, był potrzebny armii i partii komunistycznej, ale gdy zaczął indywidualizować swój styl i tworzyć opowiadania i powieści zawierające komentarze polityczne, i seks, zaczęto mu stawiać liczne zarzuty, a potem w 2004 roku wydano go z wojska. Znalazł schronienie na pekińskim uniwersytecie Renmin, ale zabrano mu paszport i na trzy lata zakazano wyjazdów za granicę. Nic to nie dało, bo zaczynała już rosnąć sława pisarska Lianke, lawinowo tłumaczono jego utwory i od 2006 roku publikowano je w licznych krajach, co spowodowało, że co roku pisarz ten jest wymieniany jako kandydat do Literackiej Nagrody Nobla. Obecnie może się szczycić nominacją do Nagrody Księcia Asturii (2011), *The Man Booker International Prize* oraz przyznanymi mu znaczącymi nagrodami krajowymi – *Nagroda Literacka im. Lu Xuna* (2000), *Nagroda Literacka im. Lao She* (2004) oraz Międzynarodowa Nagroda Franza Kafki (2014). Wzrost wagi literackiej i szeroki rezonans społeczny, a także ekranizacja *Snu wioski Ding* spowodowały, że dwie z jego powieści (w tym omawiany tu utwór) zostały w Chinach zakazane. Jego świat – jak u Faulknera, Marqueza, Mo Yana – to prowincja, w której się urodził i wyniósł z niej takie pierwiastkowe wspomnienia, jak te, które opisał na początku *Snu wioski Ding*: *Wieczór u schyłku jesieni. Równina wschodniego Henanu w świetle zachodzącego słońca okrywa się szkarłatem. Niebo i ziemia stają skąpane we krwi. Wszędzie rozpościera się czerwień. Jesienny zmierzch ma odcień czerwieni, czerwień ma odcień jesiennego zmierzchu. Z końcem jesieni chłód staje się coraz bardziej dokuczliwy. Pustoszeją drogi we wsi. Psy chowają się do bud. Kury sadowią się na żerdziach.*

Krowy grzeją się w oborach. Wieś pogrążona jest w gęstniejącej ciszy, milkną głosy i oddechy. Wioska Ding żyje, ale jakby umarła. W ciszy, w jesieni, w mroku, wieś więdnie i ludzie więdną. Dni usychają jak zwłoki pogrzebane w ziemi (s. 11). Twórczość każdego pisarza zaczyna się od zauroczenia lub refleksji nad czasem i miejscami, w których się pojawił – refleksji uogólniającej, próbującej włączyć opisywaną krainę do obiegu światowego, pragnącej ją unieśmiertliwić i uczynić z niej model autentycznej rzeczywistości, pulsującej odcieniami barw i odgłosami natury. Lianke dodatkowo wprowadza do swego dzieła aurę metafizyki i snu, przedśmiertnego znieczulenia zmysłów i egzystencji *post mortem*.

Rzadko się zdarza by w jednej powieści pojawiło się tyle śmierci, grobów i trumien, tyle beznadziei i łatwej zgody na odejście spośród ludzi żywych. Opowieść Yana Lianke podejmuje temat handlu krwią w Chinach i zakażania się AIDS z powodu używania brudnych strzykawek, igieł i tamponów. W kraju tym ludzie zawsze żywiołowo angażowali się w narzucane im odgórnie akcje, bo zawsze było to sposobem na zdobycie jakichś dodatkowych środków do życia. Czy to było piętnowanie prawicowców w latach 1957–1958, czy wytapianie stali w prymitywnych dymarkach podczas wielkiego skoku (1958–1962), albo stosowanie gęstego zasiewu, głębokiej orki i prowadzenie walki z czterema plagami (m.in. zabijanie wróbli). Podobny zakres miało pobieranie krwi od wieśniaków na potrzeby medyczne i przy tej okazji szybkie rozprzestrzenienie dżumy się XX wieku. Lianke przenosi nas do hipotetycznej wioski Ding, leżącej niedaleko Kajfengu w prowincji Henan, gdzie ludzie zaczęli masowo handlować krwią, a uzyskane środki przeznaczać na budowę i rozbudowę domów, ogrodów, dróg, uprawę roli i różnorakie dobra codziennego użytku. Pokusa rodzinnego rozwoju była dla nich tak wielka, że zapominali o podstawowych zasadach higieny, przekazywali sobie igły i strzykawki, godzili się też na wyniszczenie organizmów poprzez zbyt częste oddawanie krwi. Magia łatwo zdobywanych juań powodowała, że powstała skomplikowana infrastruktura poborców, pośredników i handlarzy czerwonym złotem. Jednocześnie całe wioski zaczęły zapadać na AIDS i ludzie przyzwyczaili się do po-



Yan Lianke

wolnego umierania, przeistaczania się ciała w mozaikę strupów, wrzodów, ropiejących ran i czerniejącej skóry – jak u wujka narratora: *Na wysokości paska od spodni cały jego tułów dookoła pokryty był wrzodami. Czerwonymi, wilgotnymi, jak gdyby miała z nich zaraz wytrysnąć krew* (s. 285). Codziennie docierały do nich wiadomości o kolejnych zejściach śmiertelnych w ich wiosce i we wioskach granicznych, dzień w dzień miały też miejsce pogrzeby, absurdalne ceremonie, na których pojawiało się coraz mniej żywych. Przerazające jest owo chińskie schylenie głowy przed nieuniknionym nieszczęściem i ma zapewne swoje korzenie w przeszłych wiekach, kiedy to byle pan mógł świsnąć mieczem i ściąć głowę poddanemu. Widywało się wtedy całe ciągi kłęczących skazańców, nad którymi pojawiali się oprawcy i w mgnieniu oka, jednym machnięciem broni, dekapitowali ich bez litości. Mieszkańcy wioski Ding w taki sam sposób pochylają głowę przed nieuniknionym ciosem nowej czarnej zarazy i nie buntują się, bo doświadczenie nauczyło ich, że nie można walczyć z chorobą, która ma swoje stadia i prędzej czy później wejdzie w krótki okres terminalny: *– Zostało mi kilka dni życia – powiedział z uśmiechem, który wydawał się ciężcy mu coraz bardziej, wyglądało, jak gdyby lada chwila miał odpaść z jego twarzy jak kora drzewa i uderzyć o ziemię. – Wiem, że mam niewiele czasu. Niedługo umrę, nie mam nic do stracenia. Pomyślałem sobie więc, że chciałbym przyjąć z tobą o czymś porozmawiać* (s. 351–352). To pogodzenie tkwi głęboko w naturze Chińczyków i oprócz wskazanych wyżej zachowań z przeszłości, jest częścią ich świadomości, kształtowanej przez ogromy, kosmiczne perspektywy i nieustannie zmieniającą się naturę.

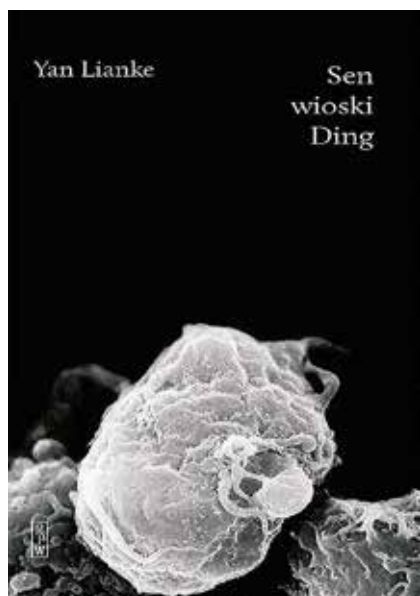
Codzienna śmierć dotyka każdego człowieka i – jak mówi Philippe Ariès – *Poufała prostota jest jedną z dwóch nieodłącznych cech śmierci. Drugą jest jej publiczny charakter, który utrzyma się aż do końca XIX wieku. (...) Umierano zawsze publicznie. Stąd głęboki sens słów Pascala, że człowiek umiera samotny, bo w tych czasach, w znaczeniu fizycznym, w chwili śmierci nigdy nie było się samotnym. Dzisiaj ma to bardziej banalne znaczenie, bo właściwie każdy ma wszelkie szanse, że umrze w samotności szpitalnej Sali (Człowiek i śmierć, przeł. Eligia Bąkowska, Warszawa 1989, s. 31–32).* Właśnie z powodu lęku przed samotnym odejściem mieszkańcy wioski Ding przenoszą się do lokalnej szkoły i zaczynają w niej wieść życie przypominające eschatologiczną komunę. Śmierć ich jednoczy, szczególnie w okresie terminalnym, gdy na pierwszy rzut oka widać, że ktoś niebawem umrze. Tak próbują zanegować ostateczność aktu, który niebawem się wydarzy i próbują jeszcze trochę pożyć jak w dawnych czasach, gdy nie wisił nad nimi miecz Damoklesa. Zamknięcie się w komunie zwalnia ich z licznych obowiązków, które w obliczu śmierci stają się wręcz absurdalne. Nie muszą już gotować i przyrządzać sobie posiłków, odpadają też obowiązki rodzicielskie i małżeńskie, oddala się lęk o zarażenie innych członków rodu. Mogą bezkarnie wylegiwać się w łóżku, rozmawiać w grupach chorych, gapić się na wschody i zachody słońca, palić papierosy i pochłaniać słodczyce. Prawie wszystko staje się dozwolone, a coraz więcej strupów, ropiejących ran i utrata masy ciała nie może im odebrać radości obcowania ze sobą. Patriarchą tej wspólnoty staje się dziadek narratora Ding Shuiyang, który: *Widział we śnie, jak w miasteczku powiatowym Wei i mieście Kaifeng kanałami biegnącymi pod ziemią niczym pajęcza sieć płynie krew. Z nieszczelnych rur wy-*

tryska w powietrze czerwoną fontanną i opada jak szkarłatny deszcz, zapachem drażnić nozdrza. I zobaczył, że na równinie woda w studniach i rzekach stała się czerwona i unosił się od niej kwaśny zapach krwi (s. 12). To jakby podsusowanie wynaturzeń małych społeczności, którym pozwolono handlować ludzką krwią, a zarazem symboliczna zapowiedź hekatomb, która niebawem się dokona. Jego starszy syn Ding Hui rozwinie handel krwią na ogromną skalę, czym przyczyni się do wybuchu epidemii i śmierci wielu mieszkańców równiny Henan. Wioska odpłaci mu za to podrzucaniem zatrutej żywności, co spowoduje zdychanie kur, padanie świń, a także śmierć syna, który zatruje się położonym na drodze pomidorem. To on stanie się imaginowanym, pośmiertnym narratorem utworu. Ten zdumiewający zabieg powieściowy spowoduje, że wykreowana rzeczywistość zyska ponadnaturalny, tanatyczny wymiar, a działania ludzi zdominuje popęd śmierci. Według Zygmunta Freuda generuje on niezwykle silną motywację do działania, podejmowania wyznań i osiągania celów. Osoby wyczekujące śmierci lub przekonane, że niedługo ona nadejdzie, miewają wiele zdolności, trzeźwe spojrzenie na świat, wyczuwanie na ludzkie krzywdy, niesprawiedliwość i oszustwa, a nade wszystko umieją analitycznie myśleć. Widać to znakomicie w narracji Qianga Dinga, ukochanego wnuczka twórcy szkolnej komun-y śmierci, skrzywdzonego po raz drugi, gdy chytry ojciec postanowił ożenić go ze zmarłą dziewczyną, kulawą i chorującą za życia na epilepsję. Jego szczątki, wykopane z grobu, zostaną przeniesione do mogiły „pośmiertnej małżonki”, ale reperkusje tego czynu będą trudne do pojęcia.

Aura *Snu wioski Ding* przypomina klimat powieści i opowiadań Franza Kafki, w których śmierć też jest kontekstem dla absurdalnych działań ludzkich. Przy czym bohaterowie rozbudowanej chińskiej relacji z wydarzeń, jakie rozegrały się na równinie wschodniego Henanu, oddalają od siebie śmierć i próbują żyć jakby jej nie było. Widzą realne symptomy zbliżającego się końca, strupy i ropiejące rany na ciele, a wychudzenie i osłabienie staje się finalnym zegarem, którego wskazówki wciąż zbliżają się do ostatnich oddechów. Bunt rodzi zachowania irracjonalne i bezsensowne, gromadzenie mizernych dóbr, kradzieże, intrygi, pozbawianie władzy i wybuch spóźnionego erotyzmu. To są próby oddalenia nieuchronności zgonu, a nawet jego zaprzeczenia, zatrzymywania biegu czasu pośród zdarzeń i zajęć niepotrzebnych. *Śmierć to najciekawsza chwila w życiu człowieka – pisze Isabelle Bricard – Właśnie w ostatecznych okolicznościach ujawnia się siła nasze-*

go charakteru. Nie można wypowiadać się o rodzinie, zanim dostanie się spadek do podziąka. Nie można oceniać przedstawienia, nie obejrawszy go do końca. Podobnie nie można wydać ostatecznej opinii o człowieku, zanim nastąpi kres jego życia. W ostatniej godzinie nie ma już miejsca na kłamstwa. To ona nadaje barwę całemu naszemu życiu, a czasem jest jego odkupieniem (Leksykon śmierci wielkich ludzi, przeł. A. i K. Staronowie, Warszawa 2000, s. 5). Bohaterowie powieści Lianke miewają silne charaktery i nawet w sytuacjach, gdy wygrywa z nimi słabość, potrafią zainicjować zdarzenia, które długo będą się jątrzyć w pamięci współbratymców. Przy tak wielkim nawarstwieniu sytuacji moralnych i pogrzebowych ludzie ci nie poddają się rozpacz i próbują żyć jakby śmierć była takim samym faktem jak śniadanie i obiad, wyprawa do powiatowego miasteczka Wei, zdobycie urzędowego certyfikatu w Kaifengu lub sprzedaż krwi. Lianke wie, że „suchość” narracji zmarłego chłopaka spotęguje efekt tragizmu prezentowanych zdarzeń i przyda dodatkowo metafizyki krainie jego dzieciństwa, tak straszliwie dotkniętej epidemią AIDS. Autor w tytule określa ten stan jako sen i rzeczywiście mamy tutaj do czynienia z ciągłym sytuacją onirycznych, które trafnie dookreśliła tłumaczka powieści w nocie na skrzydełku powieści: *Opowieść o tragicznych losach wioski Ding płynie w łagodnym, sennym rytmie, któremu umysł odbiorcy niemal natychmiast się poddaje. Ów senny stan nie ma jednak nic wspólnego ze znieczulającą narkozą, to raczej hipnoza, podczas której słowa i obrazy zapisują się jeszcze głębiej w świadomości, zasiewając w nas dojmujący niepokój.* Tak dochodzi do sytuacji, gdy byty ludzkie stają się boleśnie osobne i egzystują w chińskiej przestrzeni oddzielone od siebie. To taka sama sytuacja jak w *Dżumie* Alberta Camusa: *Na tych krańcach samotności wreszcie nikt nie mógł spodziewać się pomocy sąsiada i każdy pozostawał sam ze swoją troską (Dżuma, przeł. M. Zenowicz i J. Guze, Warszawa 1972, s. 152–153).* Jeśli w *Śnie wioski Ding* pomoc się pojawia, to w tle jest oszustwo, zysk finansowy i zdobywanie pozycji w strukturach urzędowych coraz wyższego stopnia. Trudno się dziwić, że powieść Yana Lianke wpisano na indeks książek zakazanych, wszak jest to wyrazisty obraz zahipnotyzowanego społeczeństwa, które godzi się na wszystko, by tylko ocalić życie i zdobyć dobra stawiące poszczególnie rodziny na wyższym poziomie egzystencji. ■

Yan Lianke, *Sen wioski Ding*, przeł. Joanna Krenz, PIW, Warszawa 2019.



Chińska żaba

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA



Mo Yan

Powieść Mo Yana *Żaby* (2009, pol. przekład Małgorzaty Religi, WAB, Warszawa 2014) została znakomicie skonstruowana, a pomysł narracyjny pisarz oparł na ponawianych listach do profesora Sugitani Yoshito, syna japońskiego oficera który niegdyś przybył do Chin jako żołnierz imperialnej armii i niezbyt chwalebnie się tam zapisał. Po wojnie jego potomek przyjechał do tych samych miejsc, w okolicach miasta Gaomi, w prowincji Szantung i wygłosił wykład pt. *Literatura i życie*. Opowieść tę snuje – zgodnie z prawną tradycją nadawania imion prostych i znaczących – Wan Noga, nazywany też Biegaczem i używający pseudonimu Kijanka. Mówi on, że jeden z pisarzy stworzył powieść o wiejskiej położnej, która wykonała kilka tysięcy aborcji w czasach, gdy partia komunistyczna ograniczyła w Chinach ilość narodzin dzieci. Jak się okaże dzieło to jest jego autorstwa, tak jak i umieszczona na końcu niewielka sztuka teatralna, w której następuje rozwiązanie wszystkich wątków. Ta kobieta to ciotka Kijanki nazywana Wan Serce, pierwsza wykształcona położna, która dzięki swoim zdolnościom i wiedzy uratowała setki istnień i zaczęła wdrażać odgórne zarządzenia: W 1953 roku nowe metody odbierania porodów spotykały się na wsi z niechęcią, głównie z powodu plotek rozsiewanych przez wiejskie „babki”. Opowiadały, że dzieci rodzone po nowemu zachorują na wietrznice. Dlaczego „babki” tak mówiły? Ponieważ nowe metody położnicze zabierały im pracę, z której się utrzymywały. Za każdy odebrany poród otrzymywały posiłek, a poza tym dostawały dwa ręczniki i dziesięć jajek. Na samo wspomnienie o „babkach” ciotka zaczynała zgrzytać zębami. Mówiła, że doprowadziły do śmierci ogromnej liczby noworodków i ich matek. Jako ideowa komunistka bezkrytycznie przyjęła uchwały partyjne, nakazujące usuwania drugiej i kolejnych ciąż, co miało przyczynić się do zmniejszenia liczby ludności w przegromnym kraju. Kijanka opowiadając jej historię jest ambiwalentny, gdyż z jednej strony szczeni się osiągnięciami członkini własnego rodu, a z drugiej strony – nienawidzi jej, tak jak setki ludzi, którym bezlitośnie zaszkodziła. Po raz kolejny Mo Yan opisuje dziwny amok społeczeństwa chińskiego, które

co jakiś czas zaczynało z zapalem realizować chore pomysły partyjnych przywódców. Zwykle generowały one setki tysięcy ofiar, a jeśli dodamy do nich walki wewnętrzne pomiędzy nacjonalistami z Kuomintangu Czan Kaj-szeka a komunistami Mao Zedonga, to zabitych było znacznie więcej.

Ciotka Wana Nogi ustawia się w długim szeregu silnych kobiet z powieści Mo Yana, które swoją postawą przyczyniały się do zmiany obyczajów w absurdalnych latach rewolucji kulturalnej. Nawet jeśli popełniały wiele błędów, to ich punkt dojścia mógł podnosić na duchu jednostki i całe społeczności prowincjonalne. Czym innym bowiem była ideologia, a czym innym cud porodu: Ciotka była osobą o silnej świadomości klasowej, ale w chwili, gdy z dróg rodnych kobiety wydobyła na świat niemowlę, zapomniała o walce klas, a jej radość była nieskażona, czysta i ludzka. Należała zatem do tej grupy urzędników systemu, którzy wykonywali polecenia partyjne, ale w głębi serca nigdy nie przestali marzyć o zmianach. Metodą pulsacyjną pisarz rzuca światło na różne okresy jej życia i ukazuje ją w sytuacjach ekstremalnych, gdy musiała zrezygnować ze swego człowieczeństwa i dokonywała setek aborcji. Tytuł powieści zapewne odnosi się zwyczajowi zabijania żab przez odcięcie im głowy, a potem przyrządzania w kawałkach do zjedzenia. Szczątki płodów ludzkich, tak drastycznie wydobywane z kobiecych macic, mogą przypominać rozczłonkowane żaby, które często są zabijane na targach, przed sprzedaniem ich ludziom. Mo Yan zaciera w powieści granicę pomiędzy rzeczywistością a krwawą wizją i ukazuje komunistyczne Chiny jako przedsięwzięcie hodowli żab (płodów), w którego basenach (prowincjach) trwa nieustanne rozmnażanie – co tak opisuje powieściowy narrator, instruowany przez kuzyna: *Później w snach często widywałem ten basen do rozmnażania. Miał około czterdziestu metrów kwadratowych i wypełniony był głęboką na pół metra mętną wodą. Znajdujące się na powierzchni samce, wydymając białe worki na podgardlu, wydawały z siebie podobne do byczego ryku wołanie godowe; samice z rozciągniętymi kończynami unosiły się na wodzie i powoli zbliżały się do samców. Większość płazów szczepiła się już w pary. Samice*

plywały z samcami na grzbietach; samce obejmowały je przednimi kończynami, a tylnymi bez przerwy uderzały je w brzuch. Z jam rodnych samic wypływał przezroczysty skrzek, a samce wtryskiwały do wody swój przejrzysty mlecz. „U żab następuje zapłodnienie zewnętrzne, wyjaśnił kuzyn, a może Policzek; samica za każdym razem produkuje od ośmiu do dziesięciu tysięcy jaj, lepiej niż człowiek, prawda?”. Ze wszystkich stron dochodziło wołanie żab; fetor unoszący się znad ogrzanej kwietniowym słońcem wody przyparował o mdłości. Oto scena miłosnych zalotów i miejsce rozmnażania. „Żeby zwiększyć produkcję jaj u samic, dodajemy im do karmy specjalny środek”. Żaby, żaby, żaby, gua, gua, gua... Być może pisarzowi udało się oszukać chińskich cenzorów dzięki takim odrealnieniom i wprowadzaniu do narracji opisów snu. A może jego przeszłość w chińskiej armii odegrała tutaj znaczącą rolę.

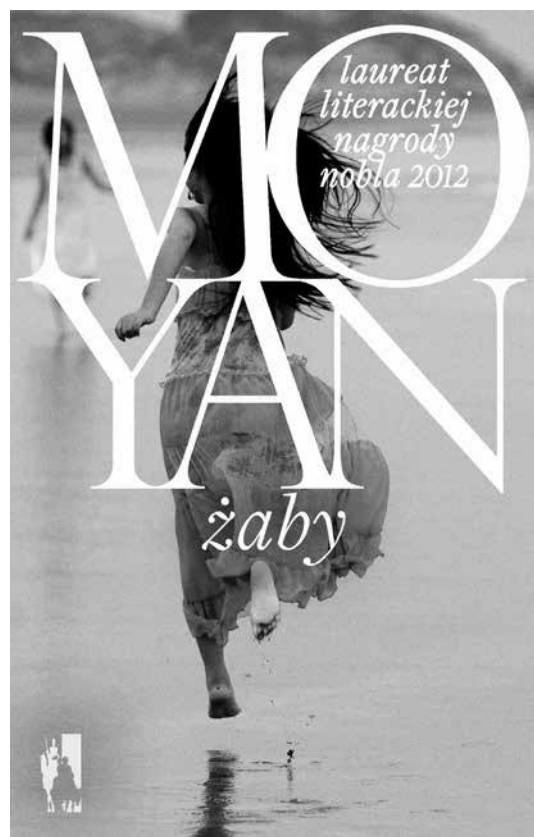
O ile ciotka w okresie zauroczenia komunizmem jest zdeterminowana realizować jedynie słuszną linię partii, to jej siostrzeniec, który zostaje zawodowym wojskowym, ma wiele wątpliwości. Narastają one, gdy w dramatycznych okolicznościach traci żonę Wang Renmei, skazaną przez ciotkę na zabieg aborcyjny, który kończy się krwotokiem i śmiercią kobiety. Mo Yan w mistrzowski sposób ukazuje rozterki wojskowego, który gotów był porzucić służbę i wrócić na wieś, byle tylko jego drugie dziecko przyszło na świat, tym bardziej, że spodziewał się, iż będzie to syn. Później przez lata jego psychika będzie zwichnięta i dopiero nowy związek z asystentką ciotki – Lwiczką – spowoduje, że zacznie on na nowo organizować swoją egzystencję. Niestety

cieniem położy się na tej sytuacji nie-
możność spółnienia potomka i pomysł
Lwiczki, by wykorzystać jako matkę za-
stępczą dziewczynę okaleczoną pod-
czas pożaru fabryki zabawek. Zakazy
związane z posiadaniem wielu dzie-
ci obchodzono w Chinach na różne
sposoby i jednym z nich było „wynaj-
mowanie brzuchów” surogatek, a po-
tem fabrykowanie fałszywych aktów
urodzin. Biegacz i Lwiczka dochodzą
w końcu do porozumienia, że wynaj-
mą brzuch Chen Brwi, pięknej córki
Chena Nosa, ale sytuacja skomplikuje
się po porodzie, gdy surogatka zapala
uczuciem do maleństwa. W komisaria-
cie policji zacznie oskarżać zbrodni-
czy system: *Wy złodzieje, wy bandyci,
wy kradniecie dzieci, łotry! Handlujecie
dziećmi, potwory! Wy mnie nie zna-
cie, ale ja znam was. To wy ukradli-
ście mi dziecko, a potem daliście jesz-
cze proszek nasenny, żebym spała. Jak
się obudziłam, powiedzieliście, że moje
dziecko umarło. To wy obdarliście ze
skóry zdechłego kota i machaliście mi
nim przed oczami! Mówiliście, że to
zwłoki mojego dziecka! Bandyci, za-
braliście mi dziecko i jeszcze nie dali-
ście obiecanych pieniędzy. Powiedzie-
liście, że pięćdziesiąt tysięcy miało być
za syna, ale urodził się martwy, więc
dostanę tylko dziesięć. Zabraliście mi
dziecko i chcieliście jeszcze zabrać moje
pierwsze mleko! Przyszliście do mnie
z kubkiem i butelką, żeby mnie wydo-
ić! Chcieliście zapłacić dziesięć juanów
za mililitr! Bestie! Moje pierwsze mle-
ko jest dla mojego dziecka! Dziesięć*

*juanów! I za dziesięć tysięcy wam nie
sprzedam! Ileż było w maoistowskich
Chinach takich skrzywdzonych kobiet
i ile razy narażano ich zdrowie, doko-
nywano pokątnych aborcji, które koń-
czyły się tragicznie. Rozwiązanie ak-
cji ma miejsce w niewielkiej sztuce
teatralnej, załączonej przez autora na
końcu powieści. Wan Noga od dawna
zapowiadał jej napisanie i gdy wresz-
cie powstała, śpięła niczym kłamra,
liczne wątki wcześniej wprowadzone
do narracji prozatorskiej. Tak histo-
ria małżeństwa Biegacza ze Lwiczką,
zyskuje nagle walor antycznego dra-
matu, w którym życie i śmierć tyle
samo ważą, co pojawianie się i znika-
nie księżycy na niebie. Dziecko, któ-
re urodziło się po dziewięciu miesią-
cach sztucznie wywołanej ciąży, ma
teraz dwie matki i jednego ojca, któ-
ry nie uczestniczył w akcie zapłodnie-
nia, ale jest pełnoprawnym obywate-
lem Chińskiej Republiki Ludowej, co
potwierdzi urzędowy akt urodzenia.
Ból rodzicielski kalek Brwi nie ma
tutaj znaczenia, bo Lwiczka i Biegacz
mają znacznie wyższy status społecz-
ny i w razie komplikacji użyją swoich
znajomości i wpływów.*

W powieści pt. *Żaby* najważniejszą
rolę odgrywa, zdumiewająca w swych
przemianach Wan Serce – ciotka byłego
oficera Wana Nogi, który w listach
do japońskiego pisarza próbuje poskła-
dać kamyczki jej życiowej mozaiki. Do-
myślamy się, że sporo jest w tej opowie-
ści elementów autobiograficznych au-
tora, który w taki sposób dokumentuje
w kolejnych dziełach upad-
ki i linie rozwojowe współ-
czesnych Chin. Czasami też
rehabilituje prezentowane
postaci, kreśląc konteksty
historyczne lub rozmazu-
jąc narrację magią kultu-
rową lub surreálną. W ta-
kim kontekście ciotka jest
ofiara zdarzeń o charak-
terze nieomal mitycznym:
*Pewna śliczna panna wyszła
nocą ochłodzić się nad rzekę,
położyła się i zasnęła, a we
śnie przyszedł do niej ubra-
ny na zielono młodzieniec
i położył się koło niej. Kie-
dy się obudziła, była w ciąż-
ży, a potem urodziła stado
zielonych żab. To wspo-
mnienie poderwało ciotkę
na nogi, a przerażenie do-
dało jej nadludzkich sił. Zo-
baczyła, że żaby jak kawałki
błota spadają z niej na
ziemię, ale inne wciąż trzy-
mają się jej ubrania i wło-
sów, a dwie wpiły się war-
gami w jej uszy jak potwor-
ne kolczyki. Ciotka pobiegła
przed siebie, a błoto na dro-*

*dze, nie wiadomo czemu, nagle przesta-
ło się przylepiać. Biegając, strząsała z sie-
bie płazy, odrywała je rękami, a za każ-
dym razem, gdy poczuła w dłoni żabę,
wydawała z siebie piskliwy krzyk i od-
rzucała ją za siebie. Kiedy ściągała je
z uszu, miała wrażenie, że wyrwie so-
bie skórę; ich pyski trzymały tak moc-
no jak wargi głodnego dziecka gryzące-
go sutek. Tak oto żaby stają się analogo-
nem dzieci, a ich lawinowe rozmnażanie
się w mokradłach wszystkich prowinc-
ji, ma obrazować eksplozję demogra-
ficzną w Chinach. W odpowiedzi na nią
komunistyczni przywódcy kraju uzna-
li, że należy ograniczyć przyrost natu-
ralny i wprowadzić politykę planowa-
nia urodzeń, która obowiązywała w la-
tach 1977–2015. Działania te promo-
wały pary posiadające jedno dziecko
i przyczyniły się do zaistnienia znaczą-
cej nierównowagi płci. Posiadanie więk-
szej liczby dzieci obwarowane było dra-
końskimi opłatami i zaczęto dokonywać
tysiące przymusowych aborcji. Dzie-
ciobójstwo było możliwe dzięki zaan-
gażowaniu się w nie radykalnych leka-
rek i położnych, członkiń partii, pracu-
jących w państwowych szpitalach i przy-
chodniach zdrowia. Taką „urzędniczą”
systemu jest ciotka Wan Serce, której
imię w oczywisty sposób jest ironicznym
komentarzem pisarza, który obser-
wował takie praktyki w rodzinnym Ga-
omi, a potem badał je w granicach ca-
łego państwa. Ta sytuacja rodziła wie-
le patologii – poczynając od niszczenia
psychiki matek i ojców, poprzez trage-
die rodzinne, przekupstwo i handlowanie
pozwoleniami na posiadanie kolej-
nych potomków. Głównie mordowano
dziewczynki poczęte na terenach wiej-
skich, ale w miastach też dochodziło do
podstępnych zwabiania kobiet w ciąży
do szpitali i poddawania ich przymu-
sowym sterylizacjom. Powszechna sta-
wała się też eugenika, która uzależniała
zajście w ciążę od wielu badań, a powo-
dem opiekuńczego wykluczania stawa-
ły się nawet orzeczenia o dysleksji, dys-
grafii i kłótnie w rodzinach, które miały
wskazywać na schizofrenię przyszłych
mam i ojców. Próbowano też wyko-
rzystać te nakazy do ograniczania na-
rodzin w mniejszościach narodowych,
szczególnie u Ujgurów, choć tutaj było
też sporo zaszłości związanych z nacjo-
nalizmem mongolsko-tureckim. Podej-
mując jakże bolesny dla Chińczyków te-
mat, Mo Yan wykazał się wielką odwagą,
a jego dzieło stało się manifestem oby-
watelskiego buntu i zapewne przyczy-
niło się do zniesienia zakazów i wdroe-
żenia w 2016 roku polityki dwójga dzie-
ci, a w roku 2020 – trojga. ■*



Mo Yan, *Żaby*, przeł. Małgorzata Religa, WAB, Warszawa 2014.

Ponowne lektury *Pana Tadeusza*

Polisemia i poliptotony w epopei

JERZY PASZEK

Ponawiane czytania, odczytywania i podczytywania sobie arcydzieła Adama Mickiewicza mogą sprawiać nie tylko wiele przyjemności, ale i satysfakcję z wyszukiwania nowych fraz, metafor, hiperbol czy nawet kalamburów. Ogi poszukiwałem gier słów i dwuznaczników w utworze wieszcz (była to książka jubileuszowa poświęcona prof. Ireneuszowi Opackiemu w roku 2003), a po 2 dekadach widzę „grabliska” (I, 199; w ten sposób cytuję edycję: A. Mickiewicz: *Pan Tadeusz*, oprac. Zbigniew Jerzy Nowak, Warszawa 1995), czyli „GRABLIKA” [lub „GRA BLISKA”], bo czemu nie ma tu słowa „grabiska”? Linde zna wyrazy grabie, grabisko, grabiszcze i grabki. W innym miejscu zastanawia mnie zdanie „Była to MASZKARADA, zapustna swawola, / Po której miał przyjść wkrótce wielki post – niewola!” (I, 24). Tu jednak dykjonarz Lindego na pierwszym planie daje „maszkaradę”, a tylko jako jej synonim słówko „maskarada” (fr. *mascarade*), czyli kalamburowe rozbicie hasła na MA SZKARADA jest bardzo wątpliwe („moja szkarada”), choć Mickiewicz w *Dziadach* pisze „Przebóg! Cóż to za szkarada?”. Wydaje się, że również „smyk” w wersach: „Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzałec, / Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec” (I, 698–699) oraz tym, dotyczącym Saka: „On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie” (VII, 436) – może mieć i sens rzeczownikowy (apozycja, w której smyk oznacza psa myśliwskiego lub odważnego chłopaka), i czasownikowy: ‘szybko się poruszać, umykać; ‘smyknąć’. To nie rzuciło mi się w oczy we wcześniejszych lekturach!

Bo tekst epopei narodowej pełen jest niespodzianek i zasadzek semantycznych! Największa z nich polega na mieszanu prawdy i nieprawdy, pozorów i faktów. Tadeusz z przerażeniem odkrywa brak zębów, a i ciemniejszą skórę na policzkach Telimeny, co czytelnik przecież pamięta, stąd nie może uwierzyć w metamorfozę kokiety na końcu: „A tymczasem Rejenta nadobna kochanka, / Telimena, roztacza blaski swej urody / I ubior od stóp do głów co najświeższej mody” (XII, 427–429). Ta zeugma (roztacza, primo, blaski swej urody, secundo,

ubior [...] najświeższej mody) uczy lektora, iż musi się pogodzić z narracyjnymi niekonsekwencjami i hiperbolami: bo ileż jest tu tych blasków, złocistości i nawet brylantów! Za dużo pewnie – epopeicznych! – interwencji sił nadprzyrodzonych, tej np. burzy, która ułatwia bohaterom zajazdu na Soplicowo ucieczkę poza granice zaboru carskiego!

Wieloznaczność całego dzieła poety przejawia się w poliptotonach, czyli nagromadzeniach leksemów pokrewnych (np. dom, domek, domowy, domostwo), a także deklinacyjnych wersji tych słów i opalizacjach semantyki haseł, należących do tej samej rodziny wyrazów. W związku z tym, że jednym z naczelnych wątków jest tu spór o ruiny rycerskiego zamku, należy oczekiwać powtarzania się takich określeń, jak: budynek, chata, dom, dwór, folwark, gmach, pałac lub zamek. Wezmę pod lupę słowo dom, wymawiane zresztą przez Mickiewicza jako dóm (co widać w pierwodruku i edycji Nowaka: I, 29; X, 853). Naliczyłem przeszło 100 (bo 106) pojawień się w tekście różnych form deklinacyjnych wyrazu dom (domie, domu, domem, domy, domów, domowi). Jest tu oczywiście także zdrobnienie (domek), fraza przymiotnikowa („domowi i słudzy”; I, 224), wspomniane domostwo (w argumentie księgi „Zaścianek”: „Opisanie domostwa”) i domownik (X, 501). Kłopot młodego i niedoświadczonego czytelnika polega na tym, iż hasło dom posiada dość sporą wiązkę niuansów semantycznych. Łatwizną będzie spostrzeżenie, iż bogaty hrabia z ironicznym lekceważeniem powiada o swoim pałacu: „Mój domek zbyt mały, / Nie ma godnego miejsca na dar [chodzi o skórę zabitego niedźwiedzia] tak wspaniały” (V, 564–565). Jest to oczywiście odmieniana sytuacja od tej, gdy Telimena wspomina o mieszkaniu w „Petersburku”: „Mieszkałam w pałacyku, tuż na Nową rzeką, / Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko, / Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku: / Ach, co to był za domek! Plan mam dotąd w biurku” (II, 603–606). Lektor ubogiej kobiety nie posądza o mówienie prawdy, lecz zalotne omijanie o wiele – zapewne – gorzej dla niej przedstawiających się faktów doty-

czących kwestii kwaterunkowych (dziś: „miejscówki”).

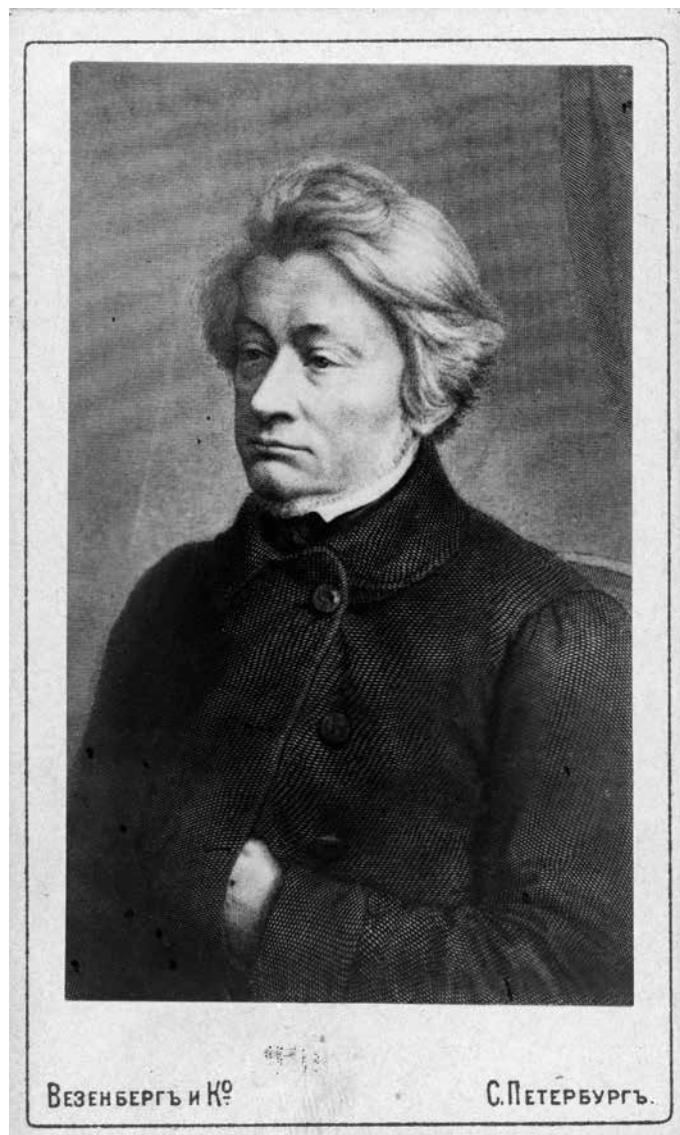
Zresztą i szlachta ma kłopoty z 4-krotnie powtórzonym nakazem Robaka „oczyścić dom”: „A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci; / Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci! / Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie: ‘Jakże to dom oczyścić? Jak to Książdz rozumie?’” (IV, 447–450). Przedstawiona scena zebrania w Panu Tadeuszu odegrać rolę zapłonu potyczki popieczników Gerwazego (zaścianka Dobrzyńskich) i Hrabiego ze zwolennikami sędziego Soplicy. Bo jedni oczyszczanie domu zrozumieli jako szlacheckie porachunki (zajazd na Soplicowo), a tylko nieliczni słowa Bernardyna potraktowali poważniej, czyli jako przygotowanie antycarskiej rebelii na powitanie wojsk Napoleona. Widoczne jest, jak szeroki diapazon znaczeń ma hasło dom: od budynku mieszkalnego, dworu szlacheckiego, pałacyku i pałacu, aż po powiat i okolicę litewską, po kraj rodzinny oraz całą ojczyznę, ogarniającą wówczas i Litwę, i Koronę.

Najczęściej spotykamy parę określeń dom i dwór, obejmującą przede wszystkim zabudowania dla przedstawicieli szlachty i jej najbliższych pracowników („domowi i słudzy”). Tak jest na początku utworu: „Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurwany [...] Dóm mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi, / I stodołę miał wielką [gdzie sypiali co młodszy goście], i przy niej trzy stoły” (I, 25–30); łąny ogromne, „zapewne należne do dworu, / Uprawne dobrze na kształt ogrodowych grządek: / [widać] Że w tym domu dostatek mieszka i porządek” (I, 36–38); „Dobrze, mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził / Do domu [...] I pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu” (I, 171–177). Częstokroć jednak słowo dom odnosi się do obiektów niematerialnych, czyli na przykład rodzin, rodów i narodów. Tak jest w przemowie Sędziego, powtarzającego najważniejsze pojęcia, na których uwydatnieniu szczególnie mu zależy: „Tym łądem, mawiał, domy i narody słyną, / Z jego upadkiem domy i narody giną” (I, 222–223). Gdy Jacek Soplica postanawia, że

jego syn ma nie opuszczać Soplicowa („Oto w **domu** Ojczyźnie potrzebniejszy będzie”; VI, 175), to chodzi mu o dom, obejmujący obszar całej Litwy. Na początku księgi V („Kłótnia”) o bogatym arystokracie Telimena tak sobie roi: „Hrabia panicz młody, / Wielkiego **domu** dziedzic, powabnej urody” (V, 7–8); jest tu oczywiście „wielki dom” uogólnieniem, charakterystycznym dla idiomu, wskazującego na rodowód i klasę społeczną. Sędzia twierdzący, że chce „plamę **domu** zmazać” (VI, 241), myśli bez wątpienia o tym, by przysłużyć się społeczeństwu i w ten sposób oczyścić z hańby nazwisko Sopliców, czyli rozrastającą się rodzinę pana Tadeusza.

Hiperbolę dostrzegam w opisie olbrzymiego dębu, w którego wnętrzu można było jakoby odprawiać całe wystawne uczty: „Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie / Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym **domie**, / Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?” (IV, 27–29). Zresztą Stanisław Pigoń zauważa, iż baublis to nazwa pospolita, oznacza ptaka; gwarowo też grube drzewo, wewnątrz spróchniałe; dąb ten w roku 1811 wysechł i po tym roku go ścięto (A. Mickiewicz: *Pan Tadeusz*. Oprac. S. Pigoń. Wrocław 1967, s. 199; edycję tę cytuję jako BN). Zgrabniejszą hiperbolą jest moim zdaniem opis gniazd jaskółczych jako domków: za bocianem, „krzykliwym nadciągawszy pułki, / Gromadziły się ponad wodami jaskółki / I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe **domki**” (XI, 26–27; Pigoń, aby lepiej – dla oka! – zrymować „pułki” i „jaskółki”, zapisuje nieortograficznie te ptaki, czyli przez „u”; BN, 501). Tu przypomina mi się niedokończona nigdy przez filologów dyskusja o „pułkach” czy też „półkach” serów w sernicy, czyli serowni soplicowskiej; Pigoń w tym fragmencie księgi „Zaścianek” proponuje zrymować „pułki serów”, mając na myśli ich długie szeregi, z „jaskółkami”, zapisywanymi zgodnie z wymogami ortografii: „Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby; / Lecz armaturę – serów zasłoniły **pułki** / I zasklepiły gęsto gniazdami **jaskółki**” (BN, 332). Nowak odwołuje się do innego obrazu, a mianowicie półek z serami, czyli nie dostrzega tu wojennej me-

taforyki: „Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby; / Lecz armaturę – serów zasłoniły **półki** / I zasklepiły gęsto gniazdami **jaskółki**” (VI, 466–468). To



znakomity i jakże wymowny przykład pięknego sporu filologów o jedną literę! [Zob. w tej kwestii „Appendix”]

Gdyby brać pod uwagę „Epilog”, to trzeba byłoby wspomnieć o marzeniu poety: „Żeby te księgi zbłądziły **pod strzechy**” (Epilog, 108). Ani Pigoń, ani Nowak nie tłumaczą tej frazy, a dziś trzeba już przypominać dwuznaczność owej metonimii: 1. jest to bowiem „słomiane lub trzcino-we pokrycie dachu; poszycie”; 2. albo „**dom** rodzinny, zwłaszcza na wsi” (cyt. za: *Uniwersalny słownik języka polskiego*. Pod red. Stanisława Dubisza. T. III. P – Ś. Warszawa 2003, s. 1426). Oto chyba nie tak oczywista pointa dociekań nad polisemią tekstu *Pana Tadeusza*. Żeby strzcha konkurowała z dworami i pałacami, zamkami i zamczyskami? Dziwne bywają losy obrazowych czy metaforycznych skojarzeń Polaków, a i etymologia oraz semantyka ich słownictwa.

Appendix

Juliusz Wiktor Gomulicki w swojej znakomitej libelli *Aleje czarów. Spacerzy, sylwety, zagadki i zwierzenia literackie* (Warszawa 2000) zamieszcza 3 także interesujące eseje: *Walka z Belzebubem. O jedną literę w „Tęczy” Norwida*, *Jeszcze raz o jednej literze w „Tęczy”, Księżyc, dym i anioły. Trzy emendacje do trzech utworów Słowackiego*. W tym ostatnim studium chodzi o tekst *Anhellego*. Dotąd drukowano w nim następujący werset Szamana: „Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w **domie** pożaru i ciała wasze już wiodły”. Gomulicki pyta: „co to znaczy, że dzieci zasypiały w **domie** pożaru?” i odpowiada, że sensowniej byłoby wprowadzić emendację – w **dymie** pożaru – bo to jest bliższe okolicznościom „zasypiania” i „wiednięcia”. Ciekawe, że redaktorzy ostatniej edycji zbiorowej pism wieszcza (J. Słowacki: *Poematy. Nowe wydanie krytyczne*. T. I: *Poematy z lat 1828–1839*. Oprac. Jacek Brzozowski i Zbigniew Przychodniak. Poznań 2009, s. 404) nawet się nie zająknęli nad tak trafną i cenną propozycją Gomulickiego!

Dwa eseje długoletniego edytora i badacza Norwida dotyczą wiersza tegoż emigracyjnego poety. W *Tęczy* można przeczytać opis ruin zamkowych: „Zamków dwóch gruzy powylamywanych / Po obu stronach sterczały przede mną, / Jako jędz dwojga kły nieprzejednanych, [...] Ironii jakaś siła niezgadniona / Zamków dwóch **szczyty** uwieńczyła – tęczę”. W pierwodruku utworu („Kłosy” 1884) nie było żadnych szczytów, lecz **szczęty**. I to stało się zarzewiem sporu pomiędzy Konradem Górskim a Gomulickim, drukującym w roku 1962 w tomie *Vademecum* właśnie wersję zawierającą „szczyty” (czyli nie „szczęty”)! Po stronie Gomulickiego stanął Pigoń, ale chociaż przyznał mu 95% racji, to zaniepokoił krakowskiego uczonego brak autografu (zob. *Aleje czarów*, s. 244, przypis z roku 2000). Mnie i przy „dymie pożaru”, i przy „szczytach” (a nie „szczętach”) zamków przekonuje Gomulicki, ale filolodzy bywają niekiedy zbyt zacie trzewieni (czyli brak im powietrza do oddychania!), by przyznać się do swoich błędów lub nieoczytania...

Wioletta Grzegorzewska jest docenianą, choć nieco trzymającą się z boku mainstreamu, bo od wielu lat mieszkającą poza granicami Polski autorką kilkunastu książek: tomów poetyckich i prozatorskich, które – uproszczając nieco sprawy – przetwarzają literacko doświadczenia biograficzne pisarki i pozwalają na poddawanie się swoistej (auto)terapii. Z tego zapewne powodu jej dotychczasowa twórczość zdaje się wewnętrznie spójna, obracająca się wokół tych samych miejsc, ludzi i zdarzeń, naświetlając z różnych perspektyw tkwiące głęboko w prozaicznej zadry. Nie potrafiąc bowiem pracować pewnych kwestii, Grzegorzewska mimowolnie do nich powraca, by starać się (z)mierzyć z traumami przeszłości. Nie inaczej będzie w przypadku jej najnowszej powieści zatytułowanej *Tajni dyrygenci chmur*, będącej swego rodzaju dopowiedzeniem do wydanych dziesięć lat wcześniej, nominowanych do finału nagrody Bookera czy literackich nagród Nike i Gdynia *Guguł*. Trzeba przyznać, że ryzykowny to pomysł, zważywszy na fakt, że dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki. Ale, moim zdaniem, ze względu na to, że mamy do czynienia ze świadomym, wypływającym z potrzeby ukojenia samej siebie, przypomnianiem tego, co bezpowrotnie minione i utracone, rezultat jest całkiem zadowalający, zaś snuta przez autorkę *Dodatkowej duszy* opowieść się broni. I tym razem otrzymujemy wszakże prozę, co warto podkreślić już na wstępie, ujmującą, porywającą i wciągającą w świat, którego dziś już właściwie nie ma. Dzieje się tak chociażby dlatego, że snuta przez Grzegorzewską narracja – do czego pisarka zdążyła nas przyzwyczaić – jest niebywale sugestywna, synestezyjna, wiarygodna, po prostu: literacko dojrzała. Prozaiczka cofa się przeto do swojego dzieciństwa, by – wykorzystując własne wspomnienia – (od)tworzyć życie z końcówki Polski Ludowej w położonej na skraju Jury Krakowsko-Częstochowskiej przy „gierkówce” wsi Hektary. Na szczęście nie dostajemy tu łatwej nostalgii, melancholijnego samograja czy idealizowania czasu dzieciństwa, a próbę spojrzenia na przeszłość z dystansem. Grzegorzewska, jak można się domyślać, nie tylko chce pogodzić się ze zdarzeniami sprzed lat, ale pragnie także zachować w pamięci słabnący coraz bardziej obraz domu rodzinnego i najbliższych: rodziców, dziadków, sąsiadów, przyjaciół ze szkolnych ław. Narratorka jej opowieści żyje zgodnie z rytmem natury i większych przyzwyczaję, próbując poznać przede wszystkim samą siebie. W związku z tym tropi historię swojej rodziny, starając się rozwikływać różne rodzinne sekreciki i wypełniać luki w niedopowiedze-

Z(a)nikający świat

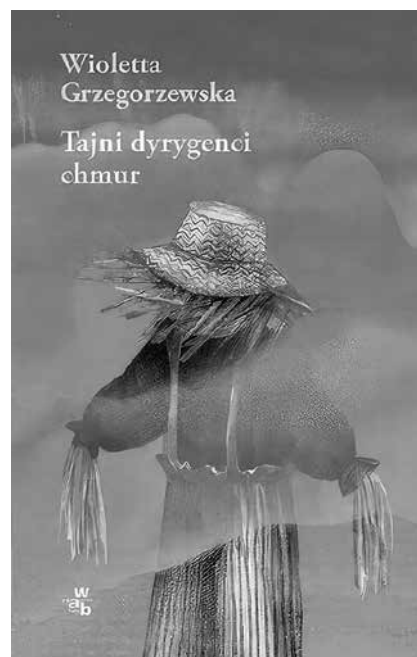
KSIAŻKI

AGNIESZKA NĘCKA-CZAPSKA

niach. A luk owych jest, jak się okazuje, całkiem sporo. Dziadkowie Loli – bo takie imię nosi główna bohaterka *Tajnych dyrygentów chmur* – do pewnych spraw (jak chociażby przeżycia wojenne) nie chcą lub nie mogą wracać. Próby rekonstrukcji czasami spełniają na niczym, jak w przypadku pradziadka Józka Walo, o którym nikt opowiadać nie potrafi być może dlatego, że „nie poległ bohaterską śmiercią pod lasem, nie został zastrzelony czy porwany przez powódź ani nie popłynął statkiem do Kanady, ale umarł, jak większość zapracowanych i udręczonych swym losem chłopów, z przepicia” (s. 120).

Z tego po części powodu fabuła *Tajnych dyrygentów chmur* jest poszarpana i fragmentaryczna. Ale jest też taka dlatego, że w przypadku najnowszej prozy Grzegorzewskiej mamy do czynienia z poddawaniem się wspomnieniom, którymi steruje kapryśna, zawodna i selektywna pamięć. W efekcie narratorka mimowolnie skacze po zdarzeniach, wydobywając zaledwie strzępki przeszłości i przebląski z roku na rok coraz bardziej z(a)nikającego świata, który jawi się jako usytuowany na granicy rzeczywistości i zmyślenia, realizmu i iluzji, prawdy i fikcji. Grzegorzewska, bazując na własnych intymnych przeżyciach, stara się zatem zuniwersalizować swoją opowieść i – jak można się domyślać – przekonać (samą siebie?) do tego, że ów powrót jest nadal możliwy.

Szansem na taki powrót dawać może przypomnienie języka, jakim się w dzieciństwie mówiło, dlatego w *Tajnych dyrygentach chmur* wiele uwagi poświęca się właśnie jemu. Ale nie powinno to dziwić, przecież to język kształtuje



świat dorastającego dziecka. Wszak, jak zauważa Lola, „Większość ludzi z Hektarów była dwujęzyczna, w zależności od sytuacji i od tego, w której wsi się urodzili, mówili po polsku albo po swojemu: jurajsku czy po »łykowemu« ze śląskimi naleciałościami. Mnie do piątego roku wychowywała babcia, więc na początku porozumiewałam się jej językiem, a w szkole próbowali mi tę zachwaszczoną gwarą mowę wybić z głowy, ale im się to do końca nie udało, bo ona się we mnie zakorzeniła jak rosnący przy najstarszych domach na Hektarach kokoczek (...). O ile mnie pamięć nie myli, babcia papierówkę nazywała augustką, porzeczkę świętojanką, stanik zapisany z przodu na haftki cynikiem, znamiona na skórze myszką, zaparzoną w czajniczku herbatę asyncją, słodcyce pozołdami, kij dziadka kryką” (s. 39).

Ów swoisty etnolekt, oddając specyfikę tamtego regionu, z jednej strony nawiązuje do „mądrości ludowej”, z drugiej natomiast pokazuje przenikanie się czy też nakładanie się na siebie języków z różnych części Polski. Przejmowany przez następne pokolenie ulega rozmaitym przemianom, z czasem niestety blaknąc. Podobnie – jak przypomina Grzegorzewska – dzieje się ze wspomnieniami. Narratorka *Tajnych dyrygentów chmur* próbuje przeto skonstruować z pojedynczych słów lub zwrotów, luźnych fragmentów wspomnień, okrucich historii spójną opowieść o przeszłości, o trudach dorastania, o egzystowaniu w latach osiemdziesiątych XX wieku i o wpływie zdarzeń politycznych na życie jednostki. Lola powraca zatem chociażby do wspólnego wykonywa-

nia wraz z rodzicami i dziadkami prac w gospodarstwie i na roli, do kupowania produktów na kartki, ubijania jakiej trzepaczką, ucierania kremu do tortu w makutrze czy obserwowania rosnącego ciasta pod szybką prodiża, do szycia ubranek dla lalek ze skrawków materiałów otrzymanych od krawcowej i zajądania się serkiem homogenizowanym zostawianym w pustych bańkach przy drodze w zamian za oddanie mleka do skupu. Pokazuje, jak kiedyś radzono sobie rozmaitymi sposobami, by w tym trudnym świecie nędzy i niedoborów przetrwać. Mimo iż groza tamtego czasu pobrzmiewa w tle tej narracji, to jednak walka o przywołanie domu rodzinnego i bliskich wysuwa się na plan pierwszy. Zupełnie tak, jakby dzięki (auto)terapeutycznemu snuciu narracji możliwe było scalenie i zatrzymanie tamtego świata, a tym samym posklejanie własną osobowość. Wszak *Tajnych dyrygentów chmur* daje się czytać właśnie jako (z)mierzenie się z rzeczywistością, która odchodzi w niepamięć. Chłopskie zabobony i zwyczaje czy obrzędowa religijność zanikają, z każdym rokiem coraz słabiej tłąc się w pamięci mieszkańców terenów wiejskich. Ważne więc, by zachować jakikolwiek ślad będący przeciwieństwem wpływającym na tożsamość, a tym samym zachować integralność swojej podmiotowości.

Nie tyle więc najnowsza powieść Grzegorzewskiej będzie opowieścią rozrachunkową, ile gawędą ocalającą własne korzenie, próbującą uporządkować i zrozumieć to, co minione, oddając tym samym swoisty hołd swojej małej ojczyźnie, z którą wiązały się przecież – bo wiązać się musiały – zarówno pozytywne, jak i negatywne doświadczenia. Obok zatem wspomnień przyjemnych, poświęconych na przykład huśtaniu Loli przez matkę w poszewce, ich wspólnym zabawom czy wędrówkom do krawcowej lub pierwszym wyjeździe na kolonie dziewczynki i pierwszym miłosnym doznaniom pojawiają się i takie, jak między innymi: ciężka praca na polu przy sianokosach, uciekanie przed domowymi obowiązками, „zakurzone, osnute pajęczynami” żyrandole z pogrubionymi szkiełkami” (s. 211), nierówna walka z wszami, waczenie kleju, szorstkość dorosłych i zbyt częste pozostawianie dorastającego dziecka samego czy przywołanie dramatycznego pobytu w szpitalu. Bo też Lola – mimo młodego wieku – doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że świat bywa bezwzględny i groźny. Być może z tego po części powodu tworzy swój *Atlas strachów na wróble*, próbując na swój własny sposób oswoić beboki, utopki i strzygi, a także zrozumieć otaczającą ją rzeczywistość, która nieustannie stawiała przed dziewczynką

nowe wyzwania i testowała jej odporność. Nie zawsze też Lola była w stanie sprostać oczekiwaniom czy sytuacji, w jakiej się znalazła, jak to miało miejsce w momencie, gdy nie potrafiła porozumieć się z kuzynkami – córkami zamordowanej ciotki.

Ale, co mocno wybrzmiewa z opowieści autorki *Wilczej rzeki*, wychowywanie w „starym stylu” i próby wymykania się srogiej dyscypliny w ostateczności ukształtowały silną, inteligentną, potrafiącą zawalczyć o siebie dziewczynę. Bohaterką *Tajnych dyrygentów chmur* jest zatem Lola, którą można uznać za *alter ego* Grzegorzewskiej, będąca w latach osiemdziesiątych „chudą i rozczochną dwunastolatką”. Pisarka, przywołując siebie sprzed lat, przyznaje: „mieszkałam w kamiennym domu nad stawem, no siłam wodę ze studni, bo dziadek nie zgodził się na podłączenie wodociągu, wspinałam na drzewa, zrywałam mleczkę dla królików i nierzadko prześiadywałam w ich klatce. Z okorowanych kijów leszczyny i sznurka do snopowiązałki robiłam sobie łuki, a z dętek proce i całymi dniami biegałam po polach, tocząc zaciekle pojedynki z bebokiem” (s. 10).

Wywodząca się z biednej robotniczo-chłopskiej rodziny Lola jest, co widać już na pierwszy rzut oka, dzieckiem wrażliwym, ambitnym, kreatywnym, uwielbiającym czytać i chcącym osiągnąć w życiu „coś więcej”, co oznaczało „być lyczką, mieszkać przy rynku, chodzić do nowoczesnej szkoły z centralnym ogrzewaniem, ubikacjami i biblioteką z prawdziwego zdarzenia” (s. 8). Lola miała przeto konkretne i dość przyziemne marzenia, choć umiała też dostrzegać piękno i niesamowitość otaczającej ją przyrody, potrafiąc korzystać z siły wyobraźni. Ta bowiem w jej przypadku miała moc ocalającą, pozwalając przetrwać traumatyczne momenty. Bo opisywany przez autorkę *Stancji świat* pełen jest biedy, brutalności i mniejszych czy większych tragedii. Dość wspomnieć napastowanie Loli przez kolegę ojca, morderstwo ukochanej ciotki, nadużywanie przez ojca alkoholu czy ostre kłótnie rodziców sprawiające, że w dziewczynce wytworzyły się mechanizmy obronne. „W wieku dwunastu lat sposoby na wyłączenie się miałam opalone do perfekcji. Kiedy rodzice się kłócili, potrafiłam czytać książkę, układać wieżę z zapalek, wycinać papierowe książeczki – chociaż talerze latały mi nad głową” (s. 67–68). Gdzieś w tle opowieści pobrzmiewają również zdarzenia zbiorowe, mające wpływ na życie ludzi tamtego czasu, w tym Loli. Mowa choćby o stanie wojennym, katastrofie w Czarnobylu oraz związanymi z kataklizmem strachem i konsekwencjami, a także sporami o socjalizm.

Ale w *Tajnych dyrygentach chmur* najważniejsza wydaje się próba zrekonstruowania stanu wewnętrznego dorastającej na wsi u schyłku PRL-u dziewczynki, która – co uświadomić może sobie dopiero po latach – przejawiała autodestrukcyjne zachowania. Podobnie jak jej matka podatna bywała na stany depresyjne. Warto przywołać jeden z fragmentów opisujących odczucia dziewczynki: „Z picą (nazywałam tak tę chorobę, jakby była zgagą) wreszcie zaczęłam wygrywać. Strzepywałam dłonie, a potem ułożona wygodnie na tapczanie pod kocem, szukałam w sobie niewidzialnej wystającej końcówki, która mnie uwierała. Czasem były to słowa babci, przezwiska kolegów ze szkoły, którzy wrzeli na mnie rogalik od mojego nazwiska Rogala (...) niezacerowana dziura w skarpecie lub w trampkach, czwórka z polskiego, uwaga w dzienniczku, za mała suma na mojej książeczce oszczędnościowej PKO, niezapłacona składka na komitet rodzicielski, brak pieniędzy na nowy zeszyt czy wkłady do długopisów, zbliżająca się klasówka z rosyjskiego albo jeszcze gorzej, z matematyki, czy kłótnia rodziców. Kiedy wreszcie tę końcówkę w sobie znalazłam, nawijałam ją w wyobraźni na palec, wypłutując się w ten sposób ze złych myśli. Byłam jak kot śledzący wzrokiem rozwijający się kłębek wełny” (s. 79–80). Bo też i świat, jaki opisuje Lola – o czym była już mowa – nie był sielankowy czy wyidealizowany. Przeciwnie – był niebezpieczny i srogi. Ale był też jedynym światem, jaki знаła i był tym światem, który ją ukształtował.

W *Tajnych dyrygentach chmur* Wioletta Grzegorzewska momentami wzrusza i emocjonalnie porusza, momentami bawi i pobudza dawne (także te ponadczasowe) sentymenty. Umiejętnie budując nić porozumienia z czytelnikami, potrafi w niesztampowy sposób problematyzować obcość, inność, przemijanie, trudy dojrzewania i traumy wymuszające nieustanne przepracowywanie przeszłości. W tej opowieści rzeczywistość miesza się ze snem, beztroska z powagą, radość ze smutkiem, liryzm z brutalnością, tradycja z nowoczesnością. Świat bowiem – co stara się przypomnieć pisarka – jest niejednorodny i wieloaspektowy. To proza, która niesie swego rodzaju pocieszenie, dając nadzieję na przetrwanie w brutalnej rzeczywistości i na zachowanie w pamięci – przynajmniej iluzoryczne – owego z(a)nikającego świata.

Wioletta Grzegorzewska, *Tajni dyrygenci chmur*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2024, s. 272.

Kreślę te słowa kilka dni po premierze najnowszej powieści Szczepana Twardocha. Pojawiły się już pierwsze komentarze, na ogół dość chłodne, tu i ówdzie żerujące na tytule utworu, o co nie wypada mieć pretensji, ponieważ fraza „powiedzmy, że mogło być lepiej” poniekąd sama ciśnie się na usta. Aliści wczytując się w głosy nieusatsfakcjonowanych opiniodawców, nie czuję się przekonany. Twardoch, w mojej ocenie, jest w formie, dał powieść atrakcyjną, zabawną, lotrzykowską. Że przy okazji nie odniósł się do fundamentalnych problemów współczesności? Że nie wstrząsnął naszymi sumieniami? Powiedzmy, że nie musiał.

Nagłówek utworu jest ważny, i to nie tylko dlatego, że słowo „powiedzmy” pojawia się w tekście pewnie ze sto razy. Twardoch wykorzystuje jego dwojakie znaczenie, z jednej strony wskazując na umowność, niedosłowność, hipotetyczność (powiedzmy, że coś się zdarzyło lub nie zaszło wcale), z drugiej zaś strony odsyła wprost do aktu opowiadania, żywiołu gawędy, epickości, której, jak wiemy, źródła są oralne (powiedzmy o czymś, podarujmy słuchającemu opowieść). A „nawijać” autor „Dracha” potrafi jak nikt inny. Nieustający podziw, nieodmienny szacunek!

Trudno rzecz zatytułowaną *Powiedzmy, że Piontek* przedstawiać w konwencjonalny sposób, czyli poprzez streszczenie. Jak tu nie popuścić zabawy tym, którzy lekturę najnowszych dzieł Twardocha mają jeszcze przed sobą? Co zatem mogę powiedzieć? To, że Erwinów Piontków jest trzech: pierwszy – w kolejności pojawiania się na scenie powieściowej – urodził się w 1946 roku, drugi w r. 1868, trzeci w r. 1979. Piontkowie pochodzą rzecz jasna z Pilchowic, ale nie są z sobą spokrewnieni; są raczej trzema wariantami tej samej figury, trzema fantazjami zrodzonymi w głowie czwartej i najważniejszej postaci: powieściowego Szczepana Twardocha, który pojawia się na kartach utworu osiem lat po tym, jak opublikował *Powiedzmy, że Piontek*.

I jeszcze jedna „wrzutka” z tych, które bezkarnie mogą się tu pojawić: fabuła rozgrywa się w trzech planach czasowych, przy czym pierwszy – świat aktualny – stanowi ramę opowieści. Powiedzmy, że to, o czym czytamy, jest snem Erwina Piontka, emerytowanego górnika, który stał się groteskowym hanysem żeglarzem. Zapraǳął samotnie opłynąć świat niczym jego idol z dzieciństwa, Leonid Teliga, ale niedosłownie, jeno w sensie „wyrobienia” mil morskich, bo tak naprawdę kręci się w kółko po Zalewie Rybnickim. No i jeszcze kilka słów o dwu pozostałych planach czasowych. Otóż najstarszego z Piontków widzimy jako osadnika, który kilkadziesiąt lat spędził w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (dzisiejsza Namibia), wszedł w interakcje z ważnymi historycznymi postaciami, zwłaszcza z Hendrikiem Witbooiem, wielkim bohaterem narodowym Namibii, i w ogóle doświadczył – niczym Tomek Wilkowski – wielu ciekawych przygód na Czarnym Lądzie. Z kolei najmłodszy Piątek został częściowo obdarzony życiorysem Twardocha – działa w przyszłości, w świecie, w którym nasz kraj, po konserwatywno-populistycznym przewrocie roku 2028,

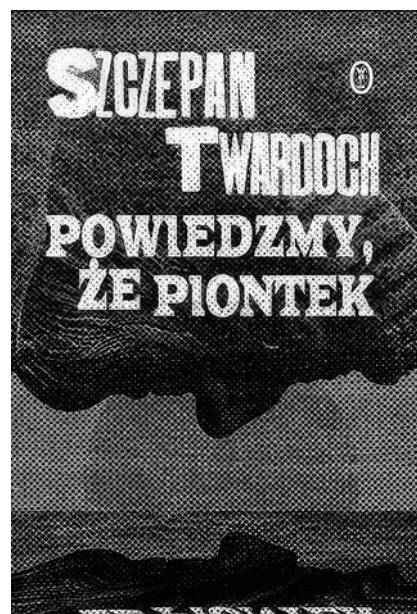
Trzech Erwinów, dwóch Szczepanów

KSIAŻKI

stał się protektoratem Rosji i nazywa się Ludowe Państwo Polskie.

Ufam, że pod spojlerowanie nie podpadnie ta oto informacja, że pilchowski pisarz wymyślił nowy atrybut śląskości – szczególne zamięszanie mieszkańców naszej krainy do żeglarsstwa. Według niego zew mórz i oceanów wziął się stąd, że kiedy w latach 70. XIX wieku Cesarstwo Niemieckie tworzyło swoją marynarkę wojenną, często wykorzystywało kompetencje techniczne pracowników z Górnego Śląska; ponoć wielu tutejszych mężczyzn przeprowadziło się do Hamburga czy Bremy. To oczywiście legenda, prawda bowiem jest taka, że owo powiązanie Ślązaków z wodą zrodziło się później: w PRL-u inwestowano niemałe środki w górnicze kluby żeglarskie, przyczyniając się do umasowienia tej szlachetnej pasji. Sam zaś Zalew Rybnicki – jak podpowiada autor w wywiadach – stał się dla niego akwenem pierwszego żeglarskiego wtajemniczenia.

Najnowsza powieść Twardocha została wyposażona w rozbudowaną warstwę meta-tekstową. Samozwrotności jest tutaj ogrom; pisarza chyba bawi to, że może sobie pogadać ze swoimi bohaterami, że jest – jak przyznał jeden z Piontków – „ojcem całego świata”. Tak naprawdę ojców jest dwóch: Szczepan wewnątrz tekstu oraz Szczepan z krwi i kości. W niektórych komentarzach – z tych pierwszych, jakie zdążyły się pojawić – gesty Twardocha urosły do rangi „eksperymentu z formą”. Ekscytować się tym, że bohaterowie uwalniają się spod władzy autora, albo tym, że pisarz wchodzi między swoje postacie, może tylko ktoś, kto zapomniał (lub nigdy się nie dowiedział) o tradycjach awangardowych sprzed siedemdziesięciu lat, choćby spod znaku francuskiej *nouveau roman*. To, co teraz zaproponował prozaik z Pilchowic, jest oczywiście uproszczoną, popkulturową wersją tamtych zabiegów literackich – kiedyś traktowanych serio, dziś już raczej niepoważnych, od początku do końca naznaczonych właśnie zabawą. I to mi się



DARIUSZ NOWACKI

podoba – gdyż zabawa to obustronna – autora i moja. W żadnym razie nie kojarzę jej z eksperymentem, lecz wyłącznie z inteligentną rozrywką literacką, której przecież współczesna proza polska nie oferuje zbyt wiele.

Zwykliśmy lekceważyć motta. Tutaj warto zrobić wyjątek i dobrze się wczytać we fragment pochodzący ze *Śniadania mistrzów* Kurta Vonneguta. Mowa jest w nim o pożegnaniu pisarza z własnymi bohaterami, a precyzyjnie mówiąc – o ich wyzwoleniu w takim trybie, w jakim ongiś zwracano wolność niewolnikom (niech od teraz idą, gdzie chcą). Chciałbym, żeby autor *Króla* wziął sobie do serca treść owego motta, uwolnił wreszcie swoich pilchowskich krewnych, no i samego siebie wydobył z ciasnego świata Pilchowic. Rzecz w tym, że o tych podgliwickich bohaterach i ich sprawach czytaliśmy wielokrotnie, co najmniej od wydanego równo dekadę temu *Dracha*. Znamy na pamięć ich chłopsko-górniczne rodowody; ich stosunek do życia i pracy, do niemieckości i polskości, znamy czyny wojenne antenatów Twardocha (od wojny prusko-francuskiej do Stalingradu) i tak dalej. W związku z *Powiedzmy, że Piontek* należy zadać pytanie: ileż można? Mam nadzieję, że na horyzoncie pojawił się kres, że Twardoch ma dziś świadomość wyczerpania śląskocentrycznego monodyskursu.

Wyimek z Vonneguta inicjuje zdanie: „Zbliżam się do swoich pięćdziesiątych urodzin (...) robię generalne porządki przed wkroczeniem w zupełnie nowy okres życia”. Powtórzę zatem: wypada mieć nadzieję, że Szczepan Twardoch literacko molestuje swoich krewnych i wyciska znaczenia ze swej małej ojczyzny po raz ostatni lub – niech mu będzie – przedostatni. I basta!

Szczepan Twardoch, *Powiedzmy, że Piontek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024, s. 251.

Każda śmierć jest dramatem – zarówno dla odchodzącego, jak też jego bliskich. Być może jednak źlej żegnać się z życiem, gdy było długie, pracowite, twórcze. Myślę też, że publikacja wyboru wierszy stanowi piękne podsumowanie, daje satysfakcję, poczucie bycia docenionym, umierania „nie wszystkim”. Marek Zacharyasz doczekał tego honoru. Pod koniec zeszłego roku Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” opublikowało tom zawierający kompilację utworów z jego sześciu książek poetyckich. W maju bieżącego roku, w wieku osiemdziesięciu czterech lat, zmarł.

Marek Zacharyasz mieszkał w moim rodzinnym Chorzowie, lecz nie znałam go osobiście. Przed dwudziestu laty przeczytałam kilka (niezapamiętanych na dłużej) wierszy w antologii *Jak smagnięcie gałązką*. Mając napisać recenzję książki podsumowującej jego twórczość, zaczęłam szukać informacji o autorze. Działacz Narodowego Odrodzenia Polski, a do tego lefebrysta – przeraziła mnie przynależność do tych organizacji. Czy znajdę jakąkolwiek płaszczyznę porozumienia z poezją człowieka wyznającego poglądy nacjonalistyczne i ultrakonserwatywne, nawet dla katolików? Czy zdołam dostrzec walory formy, jeżeli treść okaże się skrajnie sprzeczna z moimi poglądami i wartościami? Czy jest sens wchodzić w polemikę z autorem, który nawet gdyby żył, to prawdopodobnie nie przyjąłby żadnego z moich argumentów? Czy odnosząc się krytycznie do niedawno zmarłego, starszego i poważanego człowieka, nie zranię lub nie zyrutuję wielu osób? Z drugiej strony nie wyobrażam sobie stosowania autocenzury, udawania, że „zachwyca, kiedy nie zachwyca”. Pisać należy albo szczerze, albo wcale.

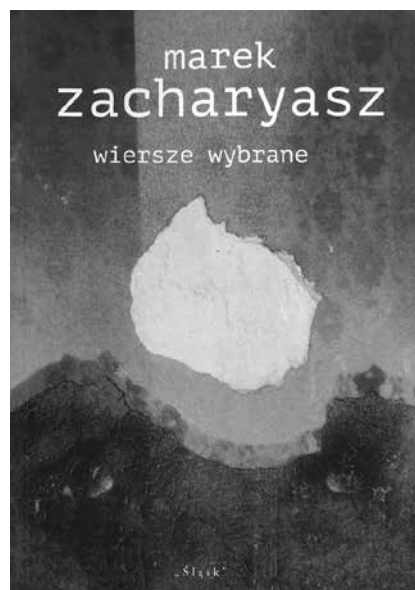
Lektura wierszy Marka Zacharyasza poniekąd wybawiła mnie z tych dylematów. Co prawda, to nie „mój” poeta, nie trafia do mnie mistycyzm ani zawierzenie zewnętrznemu, niepodważalnemu autorzytutowi, dociekanie, jaka jest jego wola zamiast badania woli własnej i bliźniego. Na szczęście jednak w tekstach literackich – w przeciwieństwie do publikowanych w mediach społecznościowych – nie okazał się radykałem wymachującym szabelką. Przeciwnie, w niektórych dostrzegłam łagodność, otwartość na dialog, czasami nawet wątpliwości: „czy życie którym żyję / jest właściwym życiem / czy byłem już kiedyś / i kim byłem / czy bóg którego wybrałem / to bóg właściwy” (*mistrz Innocenty w cieniu magnolii*). Jeżeli potraktować boga metaforycznie, w rozważaniach tych odnajdzie się również ateistka, zastanawiająca się nad słuszością poczynionych wyborów, nad tym czy, jak pisał Jean Paul Sartre, nie przekreśla one tego, kim było się wczoraj, nie zmienia esencji naszego bytu.

Przemówił namysł nad problemami w komunikacji, nad różnicami potrzeb,

KSIAŻKI

emocji, a także sposobów ich wyrażania: „po drugiej stronie muru / są ludzie // mur tylko / z twojej strony” (*mur*); „co ten zabrzmiął / tamten milknął / potem długie lata nic / nie było słychać” (*dwa głosy*). Zastanowił utwór badający dwóistą naturę człowieka, sprzeczność jego pragnień i dążeń: „ktoś w tobie / mówi gdy milczysz / milczy gdy mówisz / śmieje się gdy płaczesz / płacze gdy się śmiejesz / rozmowa z nim beznadziejna” (*ktoś w tobie*). Rozczuliła franciszkańska miłość do natury, dostrzeganie w niej boskości: „oczy które patrzą / oczy zamknięte / oczy boga – ptaki” (*oczy*); „twoja ręka dotknęła jesieni / jak gwiazdy / i zapaliły się brzozy / światłem z nieba” (*twoja ręka...*). Wszak jednym z punktów zapalnych między mną a ortodoksyjnymi katolikami jest ich gatunkowy egoizm i krótkowzroczność. Przeświadczenie, że należy „czynić sobie ziemię poddaną”, a do bry Pan zachowa wyznawców od pożarów, suszy, powodzi bądź przeciwnie, ześle na nich wszelkie kataklizmy, jeżeli taki będzie jego boski plan, co trzeba przyjąć z hiobową cierpliwością.

W poezji Marka Zacharyasza dominuje eschatologia. Wiara w życie pozagrobowe to jedna z fundamentalnych kwestii, w której ateistka nie porozumie się z człowiekiem religijnym. Jednak poza negatywnymi stronami tej postawy (dyskredytowanie zarówno piękna, jak też cierpienia doświadczanego tu i teraz), może dostrzec pozytywne – oswajanie umierania, wyzbywanie się strachu przed nim, a wręcz zastępowanie poczucia straty przekonaniem o zysku. We wstępie do *Wierszy wybranych* Tomasz Pyzik pisze: „Czytając wiersze Zacharyasza, przenośnie wchodzimy w nadnaturalny sen, który odcina nas od zwykłego oglądu rzeczy. (...) Jeste-



WERONIKA GÓRSKA

śmy świadkami wewnętrznej metamorfozy lirycznego »ja«, polegającej na przechodzeniu w nieistnienie, które ma zakończyć śmierć rozumiana jako wybudzenie się ze snu doczesnego życia już w transcedentalnej sferze bytu”. Próbuję wczuć się w tę perspektywę, chociaż trochę ją zrozumieć. W moim przekonaniu źle umierać, gdy ma się za sobą spełnione życie, ale zarazem czuje się postępującą słabość, niemożność kontynuowania ulubionych działań. Natomiast osoba wierząca osładza sobie nieuchronną śmierć nie tylko poprzez patrzenie z zadowoleniem wstecz, lecz także z nadzieją na to, co jeszcze ją czeka: „zaczaiłem się w zaułku / na śmierć / – ona będzie stara i brzydka – myślałem / (...) zjawiła się młoda dziewczyna / patrząca oczyma z innego świata / więc pokochałem śmierć” (*zakochanie*).

Czytając wiersze Marka Zacharyasza, zadaję sobie podstawowe recenzentkie pytanie: jak odczytywać twórczość – łącznie czy rozłącznie z poglądami i czynami autora? Jeżeli łącznie, to czy tylko wtedy, gdy te czyny i poglądy wywierają silny wpływ, czy również wtedy, gdy zdają się czymś odrębnym, nie do końca kompatybilnym? Zastanawiam się również nad tym, co ciekawi mnie w kontakcie z każdym religijnym człowiekiem – czy wiara pomaga stawać się lepszym, czy raczej czuć się lepszym od innych? Czy znalazłabym wspólne – niezapalne – tematy z chorzowskim poetą, lubianym i cenionym przez bliskich mi ludzi? ■

Marek Zacharyasz, *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2023, s. 170

Smolarnia w Kobiórze

STEFAN GIER LOTKA

Smole znano już i produkowano w czasach biblijnych. Noe dla uszczelniania budowanej arki wysmarował ją smołą od zewnątrz. Po narodzinach Mojżesza kosz, w którym został uratowany w wodach Nilu, uszczelniono smołą i żywicą (Wj 2,3). Przy budowie wieży Babel, smoła jest wymieniona jako środek wiążący gliniane cegły (Rdz 11,3).

Smoła drzewna uzyskiwana była w przeszłości z suchej destylacji drewna. Najlepszym drewnem do pozyskania smoły była karpina z drzew iglastych zwłaszcza sosny. Najwydajniejsza była ta, która przez kilkanaście lat leżała w ziemi. Drzewa ścinane były na wysokości metra. Pozostawiony pień był na obwodzie częściowo okorowany, co pobudzało silne żywicowanie. Po kilku latach nasączony żywicą pień i jego korzeń wyrwano końmi z ziemi i przewożono do smolarni. Takie przygotowanie surowca gwarantowało dużą zawartość żywicy oraz efektywne pozyskanie produktów destylacji.

Smolarnie budowano głównie na polanach śródleśnych, aby ogień nie stanowił zagrożenia dla domostw oraz aby koszt transportu surowca był jak najniższy. Sposób wytwarzania smoły i pozyskiwanych przy okazji dziegieci, nie zmienił się w Europie od średniowiecza.

Piec smolarski, zwany mielerzem, był to dół o kształcie lejkowym obudowany walem o średnicy kilkunastu metrów i głębokości 1,5 m. W środku pieca układano ciasno pnie w stos stożkowaty, które dla uszczelnienia obsypywano gliną, darnią i ziemią. Po bokach i na powierzchni uszczelnionego obsypką pieca rozpalano paleniska. Wnętrze pieca rozgrzewano do temperatury 500 °C, gdyż w tej temperaturze rozpoczyna się proces pirolizy. W stożkowym rdzeniu pieca smolarskiego znajdował się kilkunastocentymetrowy otwór do podziemnej komory wylepionej gliną. Tam umieszczano kadz, do której ściekała smoła podczas procesu destylacji. Do komory można się było dostać przez ocembrowany korytarz, którym wytransportowano beczki napelnione smołą.

Czas wypalania zależał od oczekiwanego produktu. Po około 12 godzinach wypalania zbierano terpentynę, po której wyciekał dziegieć. W drugiej dobie pojawiał się olej drzewny. Dopiero po kilku dniach, do beczek zaczynała ściekać smoła. Cała operacja, trwała kilka tygodni. Gdy już wszystka smoła wyciekła do kadzi, w środku pozostawał tylko węgiel drzewny. Po wystudzeniu pieca rozbierano go i wydobywano węgiel drzewny, który sprzedawano do kuźnic. Wydajność pieca zależała od rodzaju i jakości drewna poddanego destylacji. Z 2 m³ drewna sosnowego można było otrzymać 15 litrów dziegieci i 6 smoły. Dla wytworzenia 1 m³ węgla drzewnego, będącego produktem ubocznym, potrzeba była 10 m³ drewna wsadowego.

Wytwarzana smoła drzewna służyła do impregnacji drewna, uszczelniania drewnianych dachów i naczyń. Szczególnym rodzajem smoły drzewnej jest dziegieć. Jest to produkt o gęstej, smolistej konsystencji pozyskiwany procesem suchej destylacji kory drewna brzoźowego, wierzbowego, dębowego oraz jałowca. Dziegieć wykorzystywano do garbowania skór zwierzęcych, impregnacji płótna i butów oraz jako smar do osi wozów. Stosowano go również w medycynie ludowej, gdyż posiada właściwości antyseptyczne i bakteriobójcze. Był też niezastąpionym preparatem przy leczeniu racic zwierząt domowych i końskich kopyt.

Pod koniec pierwszej połowy XIX wieku w Kobiórze pomiędzy Tychami i Pszczyną, przy starym trakcie leśnym rozpoczęła działalność wytwórnia smoły. Otoczona była ze wszystkich stron zwartymi kompleksami leśnymi, stanowiącymi pozostałość po dawnej Puszczy Pszczyńskiej. Na przyległych gruntach, powstało kilka niewielkich zabudowań mieszkalnych i gospodarczych. Wśród miejscowej ludności przyjęła się potoczna nazwa Smolarnia. Na starych mapach miejsce smolarni opisane jest Pechhutte, a w dokumentach z 1906 roku zabudowania gospodarskie określane są Pechfabrik.

Kobiórska smolarnia, której pozostałości są zachowane, zbudowana została w 1847 roku na ziemi nabytej od Księcia pszczyńskiego rodu Anhaltów – Cöthen. Obecnie w miejscu dawnej smolarni znajduje się Muzeum Regionalne „Smolarnia” w Kobiórze. Muzeum powstało z inicjatywy Związku Górnośląskiego w 2003 roku. W zbiorach Smolarni zachował się rejestr dostawy surowca z 1896 roku, dowożonego ze wszystkich rewirów leśnych należących do Księstwa Pszczyńskiego. Sam budynek muzealny pochodzi z końca XIX wieku. Wzniesiono go z drewna, ma dwie kondygnacje. Szczyty dekorują ozdobnie wycięte deseczki.

Wytapianie smoły drzewnej w tradycyjnych piecach zaczęło tracić na znaczeniu po pierwszej wojnie światowej. Przyczyną zaniku smolarstwa był rozwój technologii przemysłowego wytwarzania produktów w procesie koksowniczym i produktów o zbliżonych właściwościach pochodnych rafinacji ropy naftowej. Książęta pszczyńscy po pierwszej wojnie nie byli zainteresowani eksploatacją drzewostanu, traktując swoje lasy głównie jako miejsce terenów łowieckich.

Przekazywana jest z pokolenia na pokolenie opowieść o tragedii rodzinnej, jaka rozegrała się w tym miejscu. Poglaski mówią, że 18-letnia córka właściciela smolarni, popełniła samobójstwo wieszając się na haku tkwiącym do dziś w suficie izby paradowej. Samobójstwo to było wynikiem odprawienia ukochanego „absztyfikanta” do jej ręki. Ojciec, nosząc w sobie poczucie winy za tragedię, nie mógł pogodzić się z jej śmiercią. Wszystko wokół przypominało mu o tym dramacie i postanowił sprzedać smolarnię i wyjechać.

Kobiórscy smolarze stanowili specyficzną zamkniętą społeczność. Ich praca była związana z brudem i specyficznym, nieprzyjemnym zapachem. Podobny charakterystyczny zapach występował jeszcze w połowie XX wieku w warsztatach szewskich i garbarskich, gdzie powszechnie używano dziegieci do konserwacji skóry. Krążyło kiedyś powiedzenie: „Pijaj, a dobrze jadaj, ale z szewcem nie zasiadaj, bo choć tylek zatka wiechciem, przecie zawsze śmierdzi dziegiem”.

Patronem smolarzy był św. Teobald z Provins, którego wspomnienia obchodzono 30 czerwca.

Patronem smolarzy był św. Teobald z Provins, którego wspomnienia obchodzono 30 czerwca.

Patronem smolarzy był św. Teobald z Provins, którego wspomnienia obchodzono 30 czerwca.



Niejaki Olek

RYSZARD JASNORZEWSKI

Jedenastoletni Wojtek Szczęsny poznaje tajniki sztuki bronięcia bramki w klubie Agrykola Warszawa. Chłopcu nie brakuje pilności, lecz w drużynie rówieśników są od niego lepsi. Miejsce między słupkami zajmuje utalentowany Grzesiek Robakiewicz. Wojtek zrazu nie jest nawet pierwszym zmiennikiem. „Numerem dwa – wspomina po latach – był niejaki Olek. W pewnym momencie trener wołał jednak mnie od Olka, bo byłem wyższy, co w tym wieku ma znaczenie”.

Grzesiek Robakiewicz kilka lat temu widziany był w bramce LKS Różyca, klubu klasy okręgowej. Wcześniej zatrudniały go między innymi Warta Sieradz i Zawisza Pajęczno. Natomiast niegdyśjszy numer dwa w Agrykoli pozostał postacią anonimową. Może zrezygnował ze sportu na długo przed maturą, może został inspektorem w urzędzie gminy lub właścicielem restauracji dla wegetarian. Skądinąd autorem kariery nie stał się również Janek Szczęsny, bramkarz starszego rocznika w Agrykoli. Bratu Wojtka przeszkodził poważny wypadek, na pociechę zarządza dzisiaj „Akademią Piłkarską Szczęsnych”.

Wszystkie bajki mają przejrzysty morał, a lekcję życia (nawet jeżeli to życie wymyślone) otrzymują zarówno postaci, które w bajce wygrały, jak i nieodwracalnie przegrały. Yvette Żółtowska-Darska, autorka książki o tytule *Szczęsny*, wybrała postać zwycięską. Utwór z gatunku literatury niefikcyjnej (już z adnotacji na okładce dowiadujemy się: „Wydarzyło się naprawdę”), polecany jest jako jeden z cyklu „piłkarskich bestsellerów dla młodzieży”. Wydaje się, że uwzględniono także oczekiwania tych rodziców, którym zabrakło sił i pomysłów dydaktycznych, a których pociechy marzą o profesjonalnej piłce i wiążącej się z nią apanażach. Niewykluczone, że futbolową, biograficzną aktywnością Żółtowskiej-Darskiej (przed Szczęsnym opowiadała między innymi o Messim, Ronaldo, Mbappe, Benzemie i Lewandowskim) dałoby się nawiązać do zarzuconych osiągnięć wydawniczych z lat Polski Ludowej – zastępując serię „Poczytaj mi mamó” nową, bardziej dostosowaną do współczesności inicjatywą pod hasłem „Poczytaj mi mamó o piłkarzu”.

Autorce *Szczęsno* nie można odmówić dobrej, moralnej woli. Już po kilkudziesięciu stronach przestrzega: „Życie piłkarza to nie są wille z basenem i szybkie samochody. Te wille i samochody to jest ewentualnie nagroda za ciężką pracę wykonaną wcześniej. No i co Wy na to?”. Raz po raz Żółtowska-Darska podkreśla, jak niełatwy jest żywot

(„odważnych i dzielnych”) dzieci trenujących futbol (dorosły Szczęsny wspomina: „czułem, że muszę zapracować na cokolwiek, że muszę pracować więcej i ciężiej niż inni”), ale bardziej interesuje pisarkę szkicowanie pewnego wzorca – nie tyle według schematu od zera do milionera, ile od dziecka do dziecka szczęścia.

Komuś o nazwisku Szczęsny łatwiej o szczęśliwe dyrygowanie życiem, prawda? Na pewno – przynajmniej w dyrygowaniu na boisku – pomogły geny, bo nie każdy dziedziczy je po ojcu, swego czasu znakomitym bramkarzu, reprezentancie kraju. Maciej Szczęsny próbował przekazać synowi także garść dobrych rad, ale że nie skąpił uwag krytycznych, jakoś nie stał się tatą marzeń. Pewno i dlatego, że Wojtkiem i Jankiem opiekowała się (po rozwodzie) przede wszystkim mama. Alicja Szczęsna, ekspiłkarka ręczna, nie oponowała przeciwko ambicjom synów. Kierowały nią – odnotowuje Żółtowska-Darska – pobudki bezinteresowne: „W przeciwieństwie do wielu rodziców treningów synów nie traktowała (...) jako inwestycji na przyszłość. Nie oczekiwała, że zrobią karierę jak ich tata. Po prostu chciała, by robili to, co lubią. By uprawiali sport, bo sport, o czym dobrze wiedziała, pomaga w wychowaniu”.

Rzeczywiście nic nie wiadomo o brzydkich postępkach młodzieńczego, dorastającego i dorosłego Wojciecha. Za najbardziej zatrważający, niegodny sportowca czyn uchodzi po dziś dzień papieros, wypalony pod prysznicem w szatni Arsenalu Londyn, po porażce z drużyną Southampton. Powiedzmy jednak uczciwie, nie każdemu miłośnikowi nikotyny dane było dostąpić zaszczytu puszczania dymów w szatni legendarnego klubu piłkarskiego – i to na dodatek w charakterze czynnego zawodnika. Incydent zbiegł się ze słabszą dyspozycją warsztatową bramkarza. Wcześniej – zapewnia autorka biografii – „Maszyna o nazwie Wojciech Szczęsny nabierała coraz większego rozpędu” i pokonywała jedną przeszkodę za drugą.

Opowieść sklejona jest z dwóch, niewspółmiernych z perspektywy ontologicznej kawałków. Pierwszy przybliża najpierw skorego do psot Wojtusia, a później uparte go Wojtka. Prologiem drugiego jest wyjazd utalentowanego, czternastoletniego Wojciecha (mimo że nadal Wojtka) do Anglii, gdzie zrazu zasili młodzieżowe zaplecze Arsenalu, a po podpisaniu zawodowego kontraktu będzie piął się w hierarchii, by już w wieku dwudziestu lat osiągnąć status numeru jeden w bramce londyńskie-



go zespołu. Dorosły Szczęsny to sportowa osoba powszechnie znana i opisana na wszystkie sposoby. Na pewno większą zagadką jest dzieciństwo aktualnego zawodnika Juventus Turyn. Z dużym zainteresowaniem przyjąłem informację, że Wojtuś „miał w swoim pokoju tapetę w misie i wielką kolekcję rozczulających pluszaków”. Znacznie późniejsze w czasie zaślubiny z Mariną Łuczenko – w stylu greckim, „w zjawiskowej scenerii hotelu na skale, nad brzegiem morza i z widokiem na sąsiednie wyspy” – dowiodły, że w skłonności do rozczulania można dostrzec trwałą cechę nastawienia Szczęsnego do życia.

W chwili, gdy kreślę te słowa, krążą pogłoski o transferze tytułowego bohatera do Arabii Saudyjskiej. Nie wątpię, że będzie mu tam bogato i pomyślnie. Właściwie wszędzie było mu pomyślnie, a jak inaczej, to już za moment lepiej. Skłoniło to Żółtowską-Darską do uniwersalnej refleksji: „pewnie sami to wiecie – że nie ma to jak być w miejscu (klubie, drużynie, szkole, klasie, grupie...), gdzie mamy pewność, że jesteśmy potrzebni i ważni”.

Panowie Daniel Trzaskowski i Łukasz Trzaskoma, autorzy publikacji *Szkolenie bramkarzy w piłce nożnej. Wiek 12–16 lat*, zachęcają trenerów, by niekiedy mówili do podopiecznych bajkami i metaforami. Za odpowiednią uznali między innymi cytację z koszykarza Michaela Jordana: „Zawodziłem wiele, wiele razy w moim życiu. Ale dlatego odniosłem sukces!”. Co o tym wiadomo Olkowi z Agrykoli?

Yvette Żółtowska-Darska, *Szczęsny. Chłopak, który odważył się być bramkarzem*, Wydawnictwo SQN, Kraków 2024, s. 243.

Już mi przeszło, przeszło mi

MARIA BLANKA GRZYBOWSKA

Pierwsze wizje zaspokojenia pragnienia pojawiają się w naszej młodszej młodości, w które – jak zakładamy – wpisujemy się w dorosłym życiu. Te wizje zostają z nami na długo i powodują ciągły dysonans, na który każdy reaguje inaczej. Wykreowane wyobrażenia, a tym samym oczekiwania, powodują przekonanie, że rzecz, której tak bardzo pragniemy, jest na wyciągnięcie ręki: przecież cały czas widzimy ją w naszych perfekcyjnie zaprojektowanych przyszłościach.

Joanna Ambroz w najnowszych obrazach odsłania przed nami reakcje na niespełnione pragnienia, które odbiegają od tego, co zostało nam obiecane. Każda postać opowiada historię tego, co często dla bohaterów bolesne albo wstydlive. Tego, co próbują zamaskować odpowiednim słownictwem, kolejnym romansem czy komiczną pozą, nie chcąc zdradzać nikomu swoich pragnień w obawie o niemożliwość ich spełnienia. Postacie występujące na obrazach spotykamy w drodze do spełnienia ich pragnień, które dopóki nie zostaną osiągnięte, będą jedynie projekcją zasłaniającą nicość. Artystka pozwala nam na odwiedzenie tej pustki.

Ważnym kontekstem dla stworzonych prac jest psychoanaliza, a w tym przypadku interpretacja koncepcji pragnienia. Joanna Ambroz skupiona na rozszyfrowaniu uczuć, ambicji i potrzeb wyraża przekonanie o tym, że nie tworzy świata sama, co pozwala jej stanąć w nowej pozycji i czerpać inspiracje z najbliższego otoczenia. Skupiając się na niezrealizowanych pragnieniach artystka opowiada historie, w których niespełnione obietnice mogą być dla jednych budujące, pozwalające na odkrycie nowych możliwości. Dla innych będą siłą popychającą ku ciągłemu oddawaniu zbyt dużej części siebie, z nadzieją, że kiedyś pragnienia kierowane poza siebie pozwolą zaspokoić bezwarunkowe żądanie miłości.

Inspiracją do podjęcia tego tematu przez artystkę był wyjazd do Bośni i Hercegowiny, dzięki któremu mogliśmy się poznać. Obie byłyśmy podobnie niepewne tego, co nas czeka, ale zdeterminowane, żeby przekształcić to doświadczenie w przyszłą współpracę, dzięki której będziemy mogły celebrować wolność wyrazu i ciekawość perspektyw, przez które patrzymy na relacje międzyludzkie. Celem wspólnej podróży było odbycie kursu dla edukatorów seksualnych, w którym udział wzięły oso-

by z różnych krajów. Niecodzienna sytuacja, w której osoby z różnych środowisk bez skrępowania mówiły o relacjach, miłości, seksie oraz swoich doświadczeniach, zmuszała do otwarcia się na inne sposoby myślenia i uważne wsłuchiwanie się w nasze różnice, ale też podobieństwa. To właśnie te zbieżności zainteresowały Joannę Ambroz i skierowały ku decyzji postawienia się w pozycji obserwarki odsłaniającej przed nami emocje i potrzeby, które nie są nam obce, a jednak często pozostają zakamuflowane.

Wystawa *Już mi przeszło, przeszło mi*, która odbyła się w Salonie Goldenmark w Warszawie, w tym roku stała się przestrzenią dialogu dla różnych cykli malarstwa artystki. Można było zobaczyć tam również prace, które są częścią doktoratu, który Joanna Ambroz obroniła w 2023 roku na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Ważnymi symbolami są w tych pracach kolor niebieski, przestrzeń piwniczna i noże. Jednym z ciekawszych zabiegów jest wykorzystanie codziennego przedmiotu, którego używamy do krojenia, by opowiedzieć o przeżyciach związanych z bolesnym doświadczeniem utraty bliskiej osoby. Na pierwszy rzut oka obiekt jest czymś, co znamy dobrze. Rozpoznając konkretne przedmioty uświadamiamy

sobie, że ból, o którym pisze artystka, towarzyszył jej w nawet najprostszych czynnościach. W tych przedmiotach widzimy bezpieczeństwo, a jednak mogą ranić tak samo jak w przypadku opowieści Joanny Ambroz słowa bliskich. Przede wszystkim symbolizują odcięcie od czegoś, co wcześniej było znajome i potrzebne.

Oglądając obrazy, widzimy jak przeżycia artystki wyraźnie kształtują jej twórczość oraz wpływają na jej sposób kształtowania rzeczywistości. Wcześniej płótna ukazywały proces, w którym autorka obrazów znalazła metodę na przetwarzanie osobistych problemów. W późniejszych źródłem inspiracji staje się nieosiągalne uczucie, które mimo to towarzyszy nam na co dzień.

Artystka zajmuje się tym, od czego najczęściej odwracamy wzrok. Skupiając nasze spojrzenie na swoich płótnach każe nam zmierzyć się z problemami, wstydem czy bólem. Jednocześnie zaprasza nas do gry, w której korzysta z obserwowanych przyzwyczajęń i znanych mechanizmów, do których podchodzi z ciekawością. Dodatkową siłą jej obrazów jest sposób ukazania procesu rozszyfrowania namietności czy ulotnych uczuć, które na stałe zapisują się w naszej historii. Joanna Ambroz odważnie opowiada swoją historię, wiedząc, że będziemy chcieli być jej częścią. ■

Joanna Ambroz zajmuje się malarstwem, plakatem, badaniami w sztuce i książką w sensie totalnym. Interesują ją bieżące wydarzenia oraz ból i namietności. Chce podkreślać uniwersalność egzystencji człowieka w kontekście doznań i konfliktów oraz inicjować dialog na temat współczesnej kondycji jednostki. Obroniła doktorat na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (2023) a jej praca praktyczna, książka *Chodź, pokażę ci moje noże*, została dołączona do zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu, a opisana przez nią metoda tworzenia książek refleksyjnych była tematem jej wykładu na seminarium naukowym w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii. Studia magisterskie ukończyła z oceną celującą i Wyróżnieniem Rektora. Również studia licencjackie ukończyła z oceną celującą i Medalem Rektora w ASP Katowice (2016) w katedrze Projektowania Graficznego. Jej dyplom licencjacki, książka *Cięcie – włosy ludu polskiego* został wydany przez Wydawnictwo BOSZ i dołączony do zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu. Prace wystawiała m.in. w Korei Południowej na DIAS International Art Show czy National Museum of Art w La Paz w Boliwii. Jest laureatką wielu stypendiów, a jej prace są w zbiorach kolekcjonerów w Polsce i na świecie.

Maria Blanka Grzybowska – kuratorka, organizatorka wydarzeń kulturalnych, animatorka kultury i edukatorka. Absolwentka wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną warszawskiej ASP oraz na kierunku Kuratorstwo i Teorie Sztuki na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. W projektowaniu kultury inspirowała się mokrą i ciemnymi materiałami, szukając nieoczywistych przestrzeni wymiany myśli.



Joanna Ambroz, „Trafna zmiana dekoracji”, 2021





Joanna Ambroz, „Myślący Vittorio V. Alberti”, olej na płótnie, 46×61 cm, 2023-2024



Joanna Ambroz, „Powinien mieć ręce przyłapane na kradzieży”, olej na płótnie, 50×70 cm, 2024

Człowiek w cieniu

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

15 kwietnia zmarł człowiek, którego zawsze szanowałem i podziwiałem. 15 kwietnia – dzień po swoich osiemdziesiątych drugich urodzinach. Przeżył więc długie i pracowite życie. Przeżył je, dodam, skromnie, z godnością, poświęceniem, poszanowaniem bliźnich, wykazując przy tym wyrozumiałość nawet wobec tych, którzy mu szkodzili, a takich było sporo; cóż, nawet święci kończyli na krzyżach. Przeżył je tak jak i ja chciałbym przeżyć moje, choć już mi się to nie uda, bo za mało czasu zostało, nawet jeśli osiągnę wiek, w którym odszedł.

Joachim Pichura był trwale związany z Katowicami, gdzie urodził się 14 kwietnia 1942 roku. Od dzieciństwa wykazywał bezsprzeczne uzdolnienia muzyczne i wielką odwagę. „Dlaczego odwagę?”, zapyta ktoś. Ano dlatego, że trzeba było być odważnym, by związać się zawodowo z instrumentem, który jeszcze i dzisiaj wielu słuchaczkom i słuchaczom, ba, wielu muzykom, kojarzy się jarmarcznie z ogórkiem i półlitrowką – akordeonem czyli, po śląsku, cyją. Pichura nie wybrał np. żadnego ze standardowych instrumentów: fortepianu, skrzypiec, wolonczeli, organów, ale akordeon traktowany jako instrument, którym w istocie jest – szlachetny, technicznie wieloaspektowy, dający olbrzymie możliwości kształtowania dźwięku, obdarzony oryginalnym brzmieniem.

Pewien znany mi muzyk określił akordeon pogardliwie jako „karłowate organy dla biedaków”. Zapytałem go wtedy, czy kiedykolwiek rzeczywiście wsłuchał się w ten instrument, czy starał się, choćby na próbę, na ten instrument „coś” skomponować. Oczywiście na oba pytania udzielił odpowiedzi przeczących. A ja mu na to, że w takim razie opinia, którą o akordeonie wyraził niezbić dowodziła jego ignorancji, gdyż tak naprawdę trzeba „od środka” poznać to, co się krytykuje. Ciągłe słyszę, że ktoś nie słuchał i nie słucha muzyki współczesnej, bo jej nie lubi. Jak można nie lubić muzyki, której się nie słuchało? Ku mojemu zdumieniu akurat ten muzyk przyznał mi rację i teraz ma już w dorobku kilka udanych kompozycji na akordeon. Ja, przyznam, ani jednej, bowiem jeszcze nie czuję się na siłach, by zmierzyć się z tym wymagającym instrumentem, na który trudniej pisać niż na organy. Wielu (większość?) kompozytorów pisze na instrumenty zupełnie ich nie znając lub „znając” je na podstawie zawsze niewystarczających, przestarzałych podręczników instrumentoniedbalstwa. Zaś akordeonu trzeba się rzeczywiście nauczyć. Komponowanie na akorde-

on to wyższa szkoła jazdy – to nie fortepian, na który pisać może każdy muzyczny nieuk. Tu sytuacja jest inna – trzeba ten dęto-klawiszowy instrument znać jak mało który, bo inaczej można wyjść na durnia.

Młody Joachim podjął studia w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej (PWSM, obecnie to Uniwersytet Muzyczny) pod kierunkiem pioniera polskiego akordeonu „klasycznego” Włodzimierza Lecha Puchnowskiego (1932–2014; nb. interesująca jest ta zbieżność dekady dzielącej daty zarówno ich urodzin jak śmierci). (PWSM w Warszawie była naówczas jedynym w Polsce miejscem, gdzie oferowano studia akademickie w tej dziedzinie.) Po uzyskaniu dyplomu w roku 1968 zaangażował go Wydział Instrumentalny PWSM w Katowicach, przekształconej w roku 1979 w Akademię Muzyczną, w której z biegiem czasu doszło do powstania osobnej Katedry Akordeonu, w czym nie mała zasługa Joachima Pichury. W katowickiej uczelni przeszedł wszystkie szczeble akademickiej kariery uzyskując tytuł profesora zwyczajnego w 1991. Jako administrator akademicki przysłużył się uczelni pełniąc kolejne funkcje prorektora (1982–1987) oraz rektora (1987–1990), więc w czasie niesłychanie trudnym, jak się potem na szczęście okazało przełomowym dla całego kraju. Z pewnością nie było mu łatwo – choć zawsze łatwo krytykować ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w takich przejściowych okresach – niemniej jak mi wiadomo wykonywał swoją stresującą robotę dobrze, kładąc podstawy pod późniejszy rozwój szkoły podczas politycznej, gospodarczej i społecznej przebudowy, może raczej odbudowy, państwa.

Był światłym pedagogiem. Jego studenci tacy jak m.in. Marek Andrysek, Piotr Biazik, Piotr Chołoiwicz, Daniel Lis, Jakub Mielta, Bogdan Precz (1960–1996; utalentowany kompozytor i mój serdeczny przyjaciel), Franciszek Prus (1953–2012), Marcin Wyrostek zapisali się na trwale w annałach muzyki akordeonowej w Polsce i na tzw. arenie międzynarodowej. A przy tym był Pichura autorem i współautorem cenionych publikacji specjalistycznych, które znać powinni nie tylko akordeoniści, ale i teoretycy oraz kompozytorzy.

Jednak będziemy go pamiętać przede wszystkim jako mistrza wykonawstwa akordeonowego. Swe umiejętności potwierdził serią nagród i wyróżnień, które zdobył uczestnicząc w ważnych krajowych i międzynarodowych konkursach. Kulmi-



nacją tego rozdziału jego kariery były złoty medal otrzymany podczas Grand Prix d'Europe (1985) oraz I nagroda na prestiżowym Premio Internazionale Citta di Castelfidardo (1986).

Konkursy konkursami, lecz jak to wyglądało (brzmiało) w życiu codziennym? Otóż w tym przypadku Joachim Pichura jawi się jako zarazem uosobienie sztuki interpretacji oraz inspirator. W 1984 przeprowadziłem z nim rozmowę dla popularnego „Wieczoru”. W wywiadzie skoncentrowaliśmy się na działalności Śląskiego Kwintetu Akordeonowego, w którym Pichura występował u boku swoich byłych i aktualnych uczniów. Zapytałem go dlaczego Kwintet poświęcał tyle uwagi śląskiemu kompozytorom. Warto zacytować jego odpowiedź: *Działają tutaj tylu utalentowanych twórców, że byłoby niewybaczalnym błędem z ich talentów nie skorzystać. Pisali dla nas Józef Świder, Jan Wincenty Hawel, Edward Bogusławski, a ostatnio Stanisław Kosz. Chciałbym zainteresować naszym zespołem również paru młodszych kompozytorów. Przecież nawet nazwa – Śląski Kwintet Akordeonowy – obciąża nas do takiej polityki repertuarowej. Lubimy grać nowe rzeczy, rozwiązywać nieznane problemy. W nowym, z reguły trudnym, dziele można się, by tak rzec, „pokazać”. Jeszcze inna sprawa. Wykonawca współczesnego utworu jest tylko zwykłym odtwórcą. On współtworzy niejednokrotnie to dzieło, tym samym satysfakcja wzrasta.*

Tę odpowiedź dedykuję wszystkim wykonawcom i wykonawcom, którzy zamiast poświęcać się najnowszemu rodzinnemu repertuariowi tracą czas na granie tego, co inni przed nimi grali tysiące razy – i to daleko lepiej. Przez całe życie ten wielki artysta nie był postacią pierwszoplanową; pozostawał w cieniu innych, ponoć „ważniejszych” kolegów i koleżanek. Ale z punktu widzenia śląskiej muzyki to właśnie Joachim Pichura jest ważniejszy niż oni wszyscy razem wzięci.

Litania śląska

czyż ja nie jestem godzien pochylić swoje czoło i oczy zapłakane przed Tobą,
Śląska Pani?

czyż nie jest godzien komunii krupnioka i złotego ementalera?
czyż nie wart jest ewangelii trybuny robotniczej?

a czy to nie ja czwarte skrzydło powstańcze stawiałem za Edwarda Gierka?
czy to nie ja popędziłem ospałych pod trybunami Zdzisława Grudnia w maju?

więc ja mówię, że jako syn tej ziemi, żurek w liturgii w chleb przemienienie
że rolady będą płakały boczkiem
a sztandary Giszowca płonące zamienię w bez smogu gorejące słońce

tylko, daj mi Pani, szczyptę wiary
daj mi sprawić, aby tyskie znowu było księżące, a nie coca cola

daj mi Pani łyk przyzwoitości, bo już źródła nie znajduję
i z Pyrzowic do nieba wniebowstąpienie
z wiankiem pszenicy na głowie
ze święconym paszportem obywatela znikąd
daj mi pannę z Nikisza z warkoczem lnianym jakby z Kutna była
a niechże mnie przez trzy stawy sucha stopa przeprowadzi

i pójdziemy do Kostuchny
i tam już ostaniemy
na wieki wieków
amen

Czytając *Marnotrawstwo serca*

Wilhelm Szewczyk wcielony do Wehrmachtu ląduje we Wrocławiu
jest początek roku 1941

na jednej z wielu przepustek udaje mu się kupić butelkę bimbru
szuka spokojnego miejsca, żeby wypić, marząc o Lou Andreas-Salomé,
której nieszczęśliwie oświadczył się już Nietzsche,
który został tak zmyty jak Zaratustra zbiegający z gór,
młody Wilhelm pozwala sobie na rozmarzenie, które czasami będzie go
ogarniało na egzekutywach Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej
Partii Robotniczej

w Katowicach, które już wtedy zaciągały się grafitem jak familoki w Czerwionce
i nawet nie śniły o mieście ogrodów,

wtedy we Wrocławiu znalazł zaciszne miejsce na rekolekcjach cichej modlitwy
organizowane przez Kościół Episkopalny,

w czasach, kiedy najbardziej ceniona cechą jest siła, zawsze znajdują się tacy,
którzy odwrócą się ze smutkiem i obrzydzeniem od pędu wysiłku i szukają
Boga, spacerując po ogrodzie w chłodne dni i mówią:

„Myślisz, że pośród całej tej potężnej sumy

Rzeczy na zawsze mówiących,

Że nic samo z siebie nie przyjdzie,

Ale wciąż musimy szukać?”

to było wtedy, gdy potęga pogaństwa została wzmocniona

pod rządami Dioklecjana przeciwko chrześcijanom

Czeszko i Machajek, którzy kupowali wódkę w butelkach po wodzie sodowej

w sejmowym barze twierdzili inaczej, w co można uwierzyć

Moja spowiedź

pukanie

z pokorą i żalem wyznaje grzechy moje

PRZERWA NA REKLAMĘ

więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie żałuję i chcę się poprawić

pochylam głowę, biję się w piersi i powtarzam

Panie Jezu, przebac mi...

pukanie

otwierają się drzwi konfesjonału, wychodzi Jezus, ciągnie mnie za kołnierz i rzecze, żeby nie rzeć ryczy, jakby się Boga nie bał w Jego domu

ty łachmyto, wszystko bym darował, ale nie to OC i AC

cichutko odpowiadam Panie Księdzu, to cudowna porównywarka, możesz Pan zaoszczędzić połowę

na co Jezus tu jest góra, a tu dół, tu jest całe, a tu pół, chodź za mną bluźnierco

poszedłem: i tak szliśmy czterdzieści dni przez pustynię bez wody i picia

aż dotarliśmy do zbocza góry zwanej Łysą Pałą

i to tutaj ukazał się moim oczom wrak czerwono krwistego forda mustanga A.D. 1969

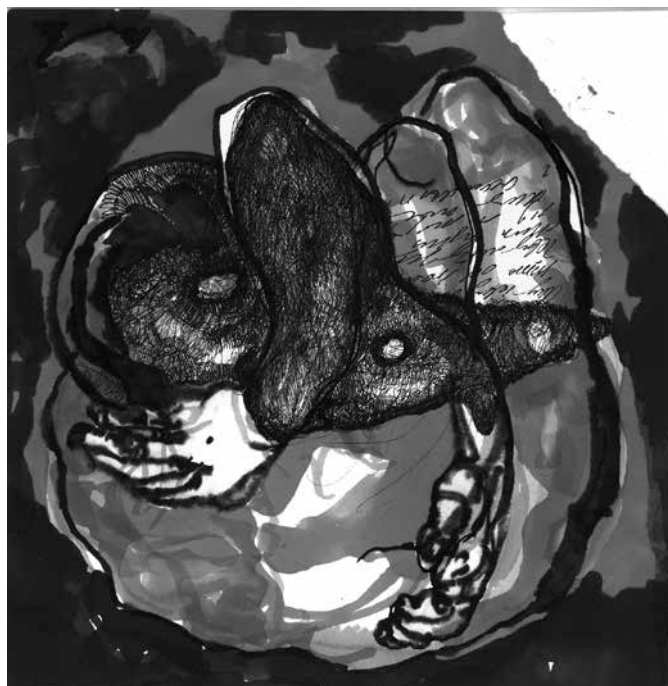
rzekł Jezus i kto mi za to zapłaci? Duch Święty?

po chwili zastanowienia odparłem Panie pozwól, że zacytuję Księgę Hioba, w której napisano, że człowiek zrodzony z niewiasty żywiąc przez czas krótki a pijąc coca colę rdzewieć nie będzie, a póki na ziemi wystarczy fishburgerów, to ziemia będzie mu uległa, ergo proponuję, żebyśmy dalsze rozważania kontynuowali udając się do najbliższego McDonald'sa

i Jezus poszedł za mną, a kierowałem się gwiazdami zwanymi drogowskazami, poszedł dźwigając na ramieniu wrak mustanga, który na ulicach jedno tudzież dwukierunkowych zostawiał ślady tudzież odpryski farby ciemniej jak krew, ale wszystkie McDrive'y były zamknięte na okoliczność cudownego nieodmrożenia, zwanego pospolicie lockdownem, ale szczęśliwie, kiedy już na niebie jaśnieje gwiazda Słońce, dotarliśmy do gospody zwanej Starbucks, gdzie uraczono nas kawą z cynamonem i wanilią oraz kanapkami z barankiem i mango kiedy spożyliśmy śniadanie, zażądałem lodu i napełniłem plastikowe kubki obfitą porcją Absoluta, Jezus odpuścił mi moje winy i wyszedł na autostradę czekając na okazję, która z pewnością zaprowadzi go do nieba

a ja? cóż, ruszyłem w drogę z powrotem; pewnie bym szczeł, gdyby nie pewna Weronika, która zaprosiła mnie do siebie do smutnej gospody z neonem Hilton, a po wszystkim położyła na moją twarz chustę lekko zmoczoną w olejku różanym ale to nie byłem ja

Panie Jezu, przebac mi...



rys. Bogna Skwara

„Praca nudna, mozolna i nader przykra”

O *Dykcyonarzyku jeograficznym* Józefa Lompy

JAN MALICKI

Gdy Wojciech Janota przygotowywał edycję niezwykle cennego rękopisu o sygnaturze R.27/IV spoczywającego w Zbiorach Specjalnych Biblioteki Śląskiej, a noszącego tytuł: *Dykcyonarzyk jeograficzny czyli wyszczególnienie miast, wsi i mniejszych osad jako też rzek i gór Szląska Pruskiego z dodatkami historycznymi*, nikt nie przypuszczał, że natrafimy na szereg spraw, które sprawią historykowi dawnej kultury tak wiele przyjemności. I to w szerokim spectrum zadziwień; od biograficznych – wszak w żadnej swojej autobiografii drukowanej, choćby ukazującej się w cieszyńskiej „Gwiazdce”, o dziełku tym, ani o pracy nad nim, autor nie wspomina. Poprzez kontekstualne, historyczne, ukazujące ogromne zainteresowanie toponomastyką u współczesnych badaczy Śląska, ale nie tylko. Nie wspomina również losów ukończonego, choć i dopełnianego jeszcze przez kilka lat, manuskryptu; wreszcie nie przypomina tajemnic ocierających się niemal o skandal. Ale czy w połowie XIX stulecia można było mówić o skandalach prasowych?

Przypomnijmy, że wydanie przez Bibliotekę Śląską tej niezwykle intrygującej książeczki było związane z dwusetną rocznicą urodzin „szkolnego z Lubczy”, owego „patriarchy piśmiennictwa polskiego na Śląsku”. Z tej też okazji zadedykowałem „Ziemii lublinieckiej, ziemi poetów” antologię, równie nieznanych tekstów, zatytułowaną *Faust, Abu Zajd i książęta śląscy. Imitacje literackie Józefa Lompy*. To jednak już zupełnie inna opowieść.

Ale mnie szczególnie zainteresował właśnie *Dykcyonarzyk*. Zapewne od 1962 roku rękopis ten znany jest szerszym

kręgom badaczy, a więc od momentu opublikowania przez Janinę Woźnicką pracy *Józef Lompa. Katalog centralny*. Dowiadujemy się też, że nasz manuskrypt był własnością ks. Emila Szramka, współzałożyciela i prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, który zakupił 9 września 1935 roku dwa rękopisy Józefa Lompy za kwotę 151 zł. W tym i *Dykcyonarzyk*. Wiemy też, że



powstał w czasach ogromnego zainteresowania badaniami historycznymi związanymi z ziemiami nadodrzańskimi w szerokim rozumieniu tego pojęcia. Pierwsza połowa XIX stulecia, to w rzeczy samej czas weryfikacji wcześniejszych ustaleń historiograficznych

samych faktów, domysłów, interpretacji, jak też i uogólnień. Toczono więc spory o etnogenezę, teorię kwadyjsko-elijską, samą nazwę Śląsk. Pisał o tym swego czasu prof. Henryk Barycz. Jednak szczególną pozycję wśród polemistów zajmował Jerzy Samuel Bantkie (1768–1835), znakomity uczony, przez dwie dekady przebywający we Wrocławiu, z czasem już w Krakowie – dyrek-

tor Biblioteki Jagiellońskiej. Jego poglądy były wyraziste i poparte źródłami naukowymi. W opublikowanych we Wrocławiu w 1820 roku *Dziejach Królestwa Polskiego* – cytuję za Wojciechem Janotą – „Wszystkie miasta w Czechach i w Górnym Śląsku, mają jeszcze oprócz niemieckich imion i słowiańskie, to jest czeskie w Czechach, polskie w Szląsku, a nawet i w Dolnym Szląsku jest wiele miast, co mają szczególne imiona polskie i niemieckie; a toż samo i o wielu wsiach trzeba wiedzieć; ale niemało miast utraciło swoje dawne słowiańskie nazwiska...”. A nieco dalej: „Życzyć by można, aby kiedyś wyszedł Słownik geografii słowiańskiej w doskonałości jak najdoskonalszej”.

Podobne słowa powtórzy Jerzy Samuel Bantkie raz jeszcze w *Wiadomościach o języku polskim w Śląsku i o polskich Ślązakach*, które ukazały się w Poznaniu w roku 1821. Lompa zapewne znał i czytał obydwie prace, już wówczas od wielu lat profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który stał się dla lubuszyckiego nauczyciela i organizatora autorytetem a zarazem przewodnikiem w poczynaniach naukowych. Od niego bowiem w przyszłości przejmie metodę opracowania i postulowaną strukturę hasła. Wcześniej jednak 12 lutego 1821 roku wysłał list rozpoczą-

Józef Lompa

Dykcyonarzyk jeograficzny
czyli wyszczególnienie miast, wsi i mniejszych osad
jako też rzek i gór Szląska Pruskiego
z dodatkami historycznymi

Katowice 1997

Tytuł:
Dykcyonarzyk jeograficzny
czyli wyszczególnienie
miast, wsi i mniejszych osad,
jako też rzek i gór Szląska
Pruskiego
z dodatkami historycznymi.
Wydany p. J. Lompa.

20

nający się od słów: „Wielce Szanowny Panie Profesorze! Jego Wielmożność opuściła Śląsk, ale żyje dalej w nas przez swe sławne i pożyteczne pisma, a przez rozgłos uzyskany w obecnym kręgu swej działalności pozostaje stale w świeżej pamięci. Wielmożnego Pana nie miałem co prawda szczęścia osobiście poznać, mam jednak nadzieję, iż mimo to wysłucha Pan najpokorniejszej prośby i nie odmówi mi swej dobrej rady i pomocy”.

Niestety, nie spełniając warunków i wymogów formalnych, Lompa nie został studentem krakowskiego uniwersytetu. Nie wiem, czy profesor odpowiedział na list. W każdym razie nie zachowała się żadna wzmianka, czy najmniejszy nawet jego ślad. Jednak pozostała chęć realizacji jego zamierzeń. I tak *Notacya do dykcyonarzyka niniejszego* zaczyna się od słów: „Myślą ś.p. godnego Jerzego Bandtke powodowany, zająłem się pracą niniejszą,

atoli trudności, jakowe on przeczuwał, poznałem. Jest to praca nudna, mozolna i nader przykra...”

Dzisiaj już dopełnić możemy naszą wiedzę nie tylko o inspiratorze, patronie przedsięwzięcia, informatorach i dwóch przesyłających hasła współpracownikach, a byli to panowie: Gruchel z Rybnika i Prusse z Wałczyna, ale też wskazać precyzyjnie czas powstawania. Co więcej; i sam moment wpisywania haseł. Nadzwyczaj to rzadki przypadek.

Zachował się bowiem list z pierwszych dni lipca 1843 roku, do Kazimierza Władysława Wójcickiego, redaktora „Biblioteki Warszawskiej” i historyka „obyczajów i starożytności polskich”, który wędrując po Śląsku, chciał się spotkać właśnie z Józefem Lompą we Wrocławiu. Do spotkania nie doszło; ale „szkolny z Lubszy” tak się tłumaczy: „Chciałbym tam być [we Wrocławiu – JM] na początku żniwnych wakacji, mianowicie dnia 6 m.b. [tj. lip-

ca – JM]. Dnia 3, poszedłszy w małym interesie do miasteczka pobliskiego Woźnik, pół mili tylko odległego, powracając do domu i będąc ledwo 700 kroków od pomieszkania mego, pośliznąłem się na gładkim kamieniu i złamałem nad kostką prawą nogę. Wycierpiałem okropne bóle, dzisiaj jeszcze na pościeli swojej piszę, a ledwo za tygodnie z niej powstanę. We Wrocławiu chciałem się starać o nakładcę, na zbiór mój bogaty pieśni katolickich kościelnych, zamyślałem czerpać w bibliotece centralnej nazwy dawne osad szląskich zniemczających do dykcjonarzyka, nad którym pracuję”.

A pracował długo; można przyjąć, że *Dykcyonarzyk* powstawał między pierwszą połową 1843 roku a styczniem 1846, choć i ta konstatacja nie zamyka ciekawej historii tego dzieła. Lompa zaczyna bowiem w owym czasie współpracę z najstarszym na Górnym Śląsku „Tygodnikiem Polskim dla Włościan” wydawanym przez Krystiana Schemmla w Pszczynie. Miasto i cały powiat w *Dykcyonarzyku* tak scharakteryzował: „miasto główne Księstwa i powiatu; od Opola 15 mil. Zamek piękny z ogrodem wielkim. 2205 mieszkańców (900 ewangelików, żydów 140). Kościół katolicki filialny, Kościół ewangelicki, synagoga żydowska. Szkoła katolicka, szkoła ewangelicka, szpital książęcy dla 24 ubogich. Rok 1163 przy odłączeniu Szląska od Polski była już wzmianka o Pszczynie. Mowa większą częścią polską”.

Współpracując z leszneńskim „Przyjacielem Ludu” i pszczyńskim „Tygodnikiem Polskim dla Włościan” Józef Lompa zaczął gromadzić i publikować lokalne bajki, podania, przypowieści, które otrzymywał od czytelników jako odzew na niewielki artykuł zatytułowany *Tradycje*, „by tym sposobem literaturę naszą podnieść”. Apel ten powtórzy w roku 1848 w „Dzienniku Górnośląskim” redagowanym wspólnie z Emanuelem Smolką i młodym, 23-letnim Józefem Łepkowskim. Lompa drukował tu ludowe teksty narracyjne, jak i fragmenty *Dykcyonarzyka*. I nagle zaskoczenie: w „Bibliotece Warszawskiej” w 1849 roku ukazuje się *Słownik jeograficzny* podpisany nazwiskiem Józefa Łepkowskiego, łączący topografię z podaniami ludowymi. Przypadek?

To ostatni ślad dzieła, które nie tylko utrwaliło nazwy, często już zapomniane w polskim brzmieniu językowym; które wskazuje, „gdzie jeszcze język polski góruje, wiele kościołów i szkół istnieje, gdzie lud do Boga w mowie macierzystej modli i dzieci w szkołach religii uczą, jak wiele tedy jeszcze książek dla ludu tego potrzeba”.



Hiperdokładność nieposkromiona

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Inteligencja sztuczna powoli wypiera z rynku usług korektę prawdziwą. Ten nieunikniony proces ma zalet w bród i wad po pas. Półautomatyczna kontrola pisowni to pomoc, z której od lat 1990. korzystają wszyscy autorzy. Ale pomoc zwodnicza, bo naprawia tylko proste, przewidziane przez kogoś błędy. Zresztą korektorzy zawodowi, zanim przystąpią do korekty właściwej, też zaczynają pracę od oczyszczenia przedpola z grubszych felerów ortograficznych za pomocą takiego automatu. Nie rezygnują jednak z możliwości zatwierdzenia każdej poprawki, bo komputer nie zawsze ma rację.

Znaj proporcję

Drobny, nieznan sztucznej inteligencji błąd może wiele kosztować, co pokażą na kilku przykładach. W polskiej praktyce sądowej, politycznej i naukowej nie praktykuje się bowiem zasady, że kara musi być proporcjonalna do winy, a nagroda do zasługi. Zresztą o nagrodach nie warto pisać. O niczym tak chętnie nie zapominamy, jak o zasługach naszych bliźnich. Za to ich winy wyolbrzymiamy i pilnie szukamy igły, z której da się zrobić widły.

Kary uzasadniamy formalnie. Oto dr Jacek Bartosiak – człowiek, który przełamał rosyjską narrację geopolityczną i spopularyzował w Polsce NATO-wskie rozumienie geostrategii – 14 czerwca 2024 traci stopień doktora, bo błędnie zacytował amerykańskie źródła (omawiam doktoraty zawsze z pozycji korektora, a nie znawcy problemu. W tej roli nie interesuję się zawartością merytoryczną dzieła, ale tym, co może obciążać konto korektora lub braku korekty).

Jedna praca – jeden system

Nigdy dość przypominania, że w jednej pracy (doktoracie, artykule, książce) należy zachować styl jednolity, zgodny z obyczajami panującymi w danej dyscyplinie lub redakcji. I to zarówno w cytowaniu, jak i w wielu innych elementach formalnych dzieła (przypisy, odnośniki, rysunki, bibliografia, szczegóły edycyjne itd.). Dr Jacek Bartosiak sam przyznał, że pod tym względem nie dochował należytej staranności.

Wygląda też na to, że w nowatorskiej dysertacji, pragnąc zaprezentować zachodnią myśl geostrategiczną, zbyt dużo cytował, czyli wszedł w paradygmat antologiczno-podręcznikowy, niezgodny z czysto formalnymi zasadami, obowiązującymi polskich doktorantów. Widziałem błahę, bezwartościowe dysertacje, które jednak dawały swoim autorom stopień naukowy dzięki temu, że pod względem formalnym nic im nie można było zarzucić, a względu merytoryczne wymagałyby od krytyków znajomości tematu, o co niełatwo.

Doktorant nie jest prawodawcą stylu. Rozprawę musi zredagować tak, jak się tego wymaga w danym, nawet najbardziej skostniałym i wrogim środowisku naukowym. Alternatywą jest walenie głową w mur z kamienia łupanego.

Tymczasem dr Jacek Bartosiak błędnie i niesystemowo cytował publikacje zagraniczne. Taka zbrodnia zasługuje na wytknięcie, ale unieważnianie z tego powodu całego doktoratu – to groteska. Jeśli sprawa trafi do sądu, za X lat poznamy wynik. Radziłbym jednak Autorowi zakpić z kpiarzy: nie czekać na sprawiedliwość, lecz oddać manuskrypt korektorowi prawdziwemu, usunąć wytknięte błędy i ponownie otworzyć postępowanie. No tak, ale wtedy posadzą go o... autoplagiat. Kwadratura koła.

Partie tracą dotacje

Ustawowy absurd z innej beczki. Jak wiemy, w Polsce po wyborach partie polityczne otrzymują dotacje z budżetu państwa, co ma uchronić demokrację przed ukrytymi wpływami grup przestępczych i zagranicznych. Tu znów: nie uczestniczę w dyskusji o zasadności takich dotacji. Wskazuję tylko ciężkie skutki lekkich błędów.

Zdarzało się, że partie traciły wielkie (dla nich) pieniądze z powodu drobnego niedopatrzania lub może nawet złośliwego działania. Niektóre partie po takim ciosie już się nie podniosły, inne przetrwały, choć są mocno osłabione. Piszę tu o partiach, które nie zadbały o korektę własnych dokumentów.

Gdyby kara była proporcjonalna do przewinienia, należałoby takie stronnictwo obciążyć zwrotem trzykrotności, a choćby i dziesięciokrotności złe zaksięgowanej wpłaty lub innego błędu. Ale proporcjonalność tu nie obowiązuje. Pomyliłeś się o grosz, więc całej partii miliony przejdą koło nosa, bo nie ustalono dopuszczalnej granicy błędu. Jest drobny błąd formalny – musi być kara maksymalna. Innej nie ma.

Czeski błąd

Niedawno prasa donosiła o gigantycznych skutkach finansowych drobnej – wydawałoby się – pomyłki. Oto klient opłacił (przez internet) ratę ubezpieczenia pojazdu OC. Ale zamiast kwoty 234,84 zł, wpisał 234,48 zł. I nie dowiedział się, że firma odrzuciła wpłatę, a ubezpieczenie się nie przedłużyło.

Właścicielowi auta grozi kara 7.000 zł za brak OC, a gdyby bez OC spowodował wypadek, obciążiliby go karą do dwóch milionów zł. Oprócz nieproporcjonalności winy i kary – mamy tu pułapkę, o której pisałem w poprzednim odcinku: hiperdokładność. Dlaczego rata wynosi 234,84 zł, a nie np. 235 zł? Klient by te 16 groszy dopłacił bez zmruczenia oka. Widocznie w ubezpieczeniach siedzi tępy kalkulator, który coś tam mnoży i dzieli według wzorów, coś dodaje i odejmuje, ale... nie myśli! Chyba że kazali mu zastawić pułapkę.

Precyzja doskonała

Za miesiąc „używania” (do czegokolwiek) radia płacimy 8,70 zł, ale za dwa miesiące: nie 17,40, lecz równo 16,90. Z kolei za cały rok używania radia i telewizora należy się 294,90 zł. Nic tylko używać i to szybko, bo abonament może zostać zniesiony.

Teraz idę dalej, by sprawdzić, skąd się bierze szaleństwo hiperdokładności. Czytam więc ustawę abonamentową i doznaję szoku poznawczego. Oto nasi cudowni posłowie prawie dwadzieścia lat temu ustalili, że w roku 2006 płacić się będzie za miesięczne „używanie” radia: 5,94 zł, a jak do tego dojdzie telewizor, to: 18,68 zł. Z kolei w następnych latach ustawa każe to rewaloryzować o wskaźnik inflacji i już. Nie wiadomo z jak niedokładnych danych wyśmażono tak hiperdokładną kwotę, która zresztą z roku na rok musi tracić jakikolwiek związek z owymi danymi.

Jeszcze lepszy kalkulator mają dietetycy internetowi. Piszą, że stugramowa kanapka z masłem i boczkiem wędzonym ma 1262 kilodżuli, czyli 303,67 kilokalorii. Aż pięciocyfrowa precyzja! Korektor musi to sprawdzić: stosowana w dietetyce kaloria termodynamiczna ma 4,184 J, więc 1262 kJ to: 301,62 kcal. Dietetyczny błąd! Współczuję tym, którzy codziennie zliczają wchłonięte kalorie. Poza tym – masło z boczkiem wędzonym? Oryginalna kompozycja.

Hiperkalkulator działa też w Intercity. Za przejazd z Gliwic do Płaszowa zapłaciłem wprawdzie 22,54 zł, ale za to na bilecie zieloną czcionką zapewniono mnie, że kolej wyemituje z mojego powodu tylko 3,6 kg CO₂, blisko pięć razy mniej niż samolot (15,4 kg)! I to poskromiło moje obawy o poczytalność. Biletuff. ■

Nowa ikona Gliwic: Kościuszki 44–46

MAŁGORZATA LICHECKA

Po czterech latach zakończyła się odbudowa dwóch budynków wchodzących w skład zabytkowego zespołu mieszkaniowego przy Kościuszki 44–46 w Gliwicach. W jednym i drugim, poza elewacjami, których odnowienie kosztowało prawie milion złotych, wszystko jest nowe. Renowację i rozbudowę prowadziło konsorcjum MW Invest, czyli firmy Mal Drew oraz Wall Invest.

– Ten budynek zasługuje dziś na miano jednej z ładniejszych renowacji w ostatnich latach – mówi Rafał Franz, współwłaściciel spółki Wall Invest. I podkreśla, że była to bardzo trudna inwestycja przede wszystkim ze względu na zniszczenia wewnątrz kamienic: ściany, stropy, okna, drzwi, dach – w pierwszym budynku wszystko trzeba było skuć i wyburzyć. Prace zabezpieczające zakończyły się wiosną 2020 roku, a remont ruszył w roku 2021. Nowy projekt wnętrz, elewacji i funkcji obiektu, przygotowany przez pracownię architektoniczną P.A. NOVA, konsultowano z miejskim i wojewódzkim konserwatorem zabytków.

Skazany na wyburzenie

Charakterystyczne bryły z powtarzalnym wykuszem stanowiły wyrazisty element tej części ulicy Kościuszki. I choć przez lata zielen dominowała detal, wprawne oko wyłapało ciekawie rozplanowany układ okien, oszczędne zdobienia nad drzwiami czy półkolistą bramę prowa-

dzącą na podwórze. Miasto w 2019 roku chciało te budynki sprzedać, w ofercie znalazł się zapis o tym, że przyszły właściciel będzie mógł je wyburzyć. Gdyby nie aktywność społeczników i zaangażowanie profesjonalistów, być może zabytkowa zabudowa z Kościuszki podzieliłaby los willi z Jasnogórskiej czy też zabudowań z Zygmunta Starego: obróciły się w gruz, uwalniając atrakcyjne działki w ścisłym centrum.

Było ich trzech. Schabik, von Poellnitz i Ballestrem

Kościuszki 42–46 to nie były jakieś zespoły mieszkaniowe. Stoją za nimi znaczące nazwiska, które zapisały się w historii miasta i Śląska. Mowa o Karlu Schabiku, radcy budowlanym Gliwic w latach 1919–1945, Hansie von Poellnitzu, wybitnym architekcie i projektancie pracującym dla koncernu Ballestremów oraz hrabim Mikołaju Ballestremie, dziedzicu rodzinnej fortuny, ale też skutecznym przemysłowcu.

Losy trójki spłotyły się właśnie pod tym adresem. Schabik wymyślił taki rodzaj budownictwa mieszkaniowego, a von Poellnitz, na zamówienie Mikołaja Ballestrema, zaprojektował nowoczesne, jak na tamte czasy, przestrzenie. Kompleks powstał w 1922 roku, zaraz w początkach urzędowania Schabika. W archiwum miejskim zachowała sięteczka z kompletem dokumentów i planów,



fol. Michał Buksa

w najdrobniejszych szczegółach opisujących inwestycję.

Wspólnie z Bogusławem Małusekim, szefem archiwum, pochylaliśmy się nad plachtami z rysunkami i notatkami, zachwycając wycuciem i zmysłem projektanta, a także... trwałością, a raczej jakością, atramentu. Do dziś zachowały się bowiem odręczne notki wykonane kolorem czarnym, czerwonym i zielonym!

Z planów widać myśl projektanta z jednej strony spełniającego wytyczne radcy budowlanego co do charakteru zabudowy tej części Gliwicz, z drugiej – hrabiego Ballestrema, dla którego miało być nowoczesnie i funkcjonalnie, zarówno we wnętrzach, jak na zewnątrz: z widnymi pokojami, łazienkami z toaletami i schludnie zaaranżowaną zielenią, będącą oczkiem w głowie radcy Schabika. Na czym polega fenomen bezcennego dla substancji miasta zespołu mieszkaniowego? Stanowił on część działań planistycznych Schabika, dotyczących tego kwartału miasta. W latach 20. XX wieku uczynił go salonem Gliwic, zaś ulicę Kościuszkę jego najważniejszą arterią. Taki wybór nie był przypadkowy: chodziło o kierunek wiatrów – wzywey z zakładów przemysłowych zza kanału i torów kolejowych omijały to miejsce. Powstały tu świetnie rozplanowane ze-



fol. Michał Buksa



Gliwice, budynek przy Kościuszki 44 w roku 2019

społy przy ulicach Korfantego czy Malinowskiego, z willami i zielenią.

To gwałt na zabytku

Dr Justyna Swoszowska, wykładowczyni Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej, fachowo charakteryzuje kamienice: to trzy budynki tworzące symetryczny zespół przestrzenny o spójnej formie architektonicznej i czytelnym układzie urbanistycznym. – Prezentują styl zmodernizowanego historycyzmu, zwane go „stylem około 1800 roku”, charakterystycznego dla reprezentacyjnej architektury mieszkaniowej w Gliwicach w okresie międzywojennym. Budynki połączone są, od strony ulicy Kościuszki, sięgającymi pierwszego piętra murami, wyznaczającymi granice zespołu – tłumaczy Swoszowska.

Kiedy w 2019 roku dowiedziano się o planach miasta, chcącego pozbyć się zaniedbywanych przez własną spółkę kamienic, postanowiono działać. Przygotowano apel do śląskiego wojewódzkiego konserwatora zabytków z prośbą o interwencję, czyli ochronę i wpisanie zespołu do rejestru zabytków. Pod listem podpisało się wielu znanych w kraju i Europie architektów oraz urbanistów z Politechniki Śląskiej, Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach, Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie, Instytutu Dokumentacji Architektury Biblioteki Śląskiej, Uniwersytetu Śląskiego oraz społeczników i mieszkańców Gliwic. Podpisy złożyli m.in.: prof. Ewa Chojecka, Iga Herok-Turska, dr hab. Magdalena Żmudzińska-Nowak, Łukasz Galusek, dr Jerzy Wojewódka, dr Ryszard Nakonieczny, dr Joanna Filipowicz, dr Andrzej Grzybowski, dr Aneta Borowik. Profesor Bogumiła Rouba przyrównała kiedyś pytanie o opłacal-

ność ochrony zabytków do kwestii opiekowania się starymi rodzicami. – Przecież nikt z nas nie zapyta, czy opłaca się dbać o leciwych rodziców. Władze Gliwic odpowiadają: nie warto. Najlepiej pozbyć się problemu i sprzedać, bez stawiania żadnych warunków, z możliwością rozbiórki. I nie ma znaczenia, że zespół wiąże się z historią miasta i regionu, z rodem Ballestremów i architektem Karlem Schabikiem – mówiła w 2019 r. dr Aneta Borowik z Instytutu Dokumentacji Architektury Biblioteki Śląskiej w Katowicach. W ramach działań statutowych prowadzi on Architektoniczny OIOM, a w orbicie jego zainteresowań znalazły się wówczas kamienice z Gliwic, z Kościuszki.

Biuro śląskiego konserwatora zabytków zareagowało bardzo szybko, nawiązując kontakt z miastem i konserwatorem miejskim. Odpowiedziało też na apel architektów i społeczników. Zabytek włączono do wojewódzkiej ewidencji, zaś nowego właściciela zobowiązano do intensywnego kontaktu z konserwatorem oraz konsultowania wszelkich prac.

Nikt nie chciał ratować

W czerwcu 2019 r. budynki sprzedano konsorcjum MW Invest, czyli firm Mal Drew oraz Wall Invest, za 1,2 mln zł. Wall Invest ma na swoim koncie udane realizacje restaurowania budynków z rodowodem: przy Plebańskiej 3 (dawna piekarnia), Długosza (dawna harcówka) czy Stalmacha. Rafał Franz, właściciel Wall Invest, znalazł więc niszę, zaś jego firma odnalazła się w ratowaniu kamienic, których nikt za bardzo ratować nie chciał. Tak, jak Kościuszki.

– Na rynku jest bardzo niewiele wykonawców podejmujących się takich

przedsięwzięć, bo są trudne i niebezpieczne. Trudne, ze względu na czas realizacji: w zasadzie do samego końca jedynie szacunkowy. Jednak udało się w dobrym terminie pozyskać pozwolenie na budowę. Samo projektowanie trwało rok – myślę, że efekt wypracowany z architektami z P.A. Nova, jest dość interesujący. Wierzę, że budynki będą nie tylko wizytówką Kościuszki, ale też miasta – podkreśla Franz.

Większość prac przebiegała zgodnie z planem, choć pojawił się problem – trzeba było rozebrać jedną kondygnację w budynku B, czyli Kościuszki 44. Po zdjęciu dachu okazało się, że ściany są w tak fatalnym stanie, że budynkowi groziło zawalenie.

To była bardzo trudna inwestycja przede wszystkim ze względu na zniszczenia wewnątrz kamienic: ściany stropy, okna, drzwi, dach – wszystko nadawało się do skucia i wyburzenia. Trzeba go było zabezpieczyć i ustabilizować, dlatego rozebrano ostatnią kondygnację i wzmocniono pozostałe. To spowodowało zatrzymanie prac na około 1,5 miesiąca, ale do końca 2022 roku wszystkie kondygnacje, łącznie z odtworzeniem ostatniej, zostały wykonane. – Kiedy przejeżdżałem przez Kościuszki, na której wcześniej, przez piętnaście lat, mieszkalem, moim marzeniem było żeby te kamienice mieć na własność. Po latach marzenie się spełniło. Jako spółka chcieliśmy, i byliśmy bardzo blisko, kupić budynek przy Zwycięstwa 2, dawny dom bławatny Fedora Karpego, ale, ze względu na zawirowania ze wspólnotą, nie udało się, czego bardzo żałuję, bo to dobra architektura – wspomina Franz.

W dwóch budynkach przy Kościuszki 44–46 wszystko jest nowe: żelbetowa konstrukcja, stropy, ściany, dach, okna (drewniane bądź aluminiowe), klimatyzacja, parking podziemny, nowa elewacja, zielen w otoczeniu kamienic. Bardzo starannie przemyślano kwestię materiałów budowlanych. – Żadnego styropianu. To dla nas bardzo ważne. Kościuszki jest salonem miasta a kamienica z rodowodem historycznym zasługuje na wyjątkową renowację.

Po remoncie zmieni się funkcja budynków: na dwóch tysiącach metrów kwadratowych oraz w trzech nowoczesnych łącznikach, jakie zaplanowano między budynkami, powstaną mieszkania, gabinety lekarskie, kancelarie; parter to miejsce na usługi. W budynkach zaplanowano 42 mieszkania, na parterze 6 lokali usługowych. Koszt inwestycji to blisko 13 mln zł.

S Y M P O Z I U M

20 — 31
08.2024
Katowice

Marcin Krupa
Prezydent Miasta Katowice
zaprasza

18. Festiwal Promocyjny Sierpień Talentów

Koncert pierwszy „jeu angelique”

20.08, godz. 18.00
Galeria Sztuki Współczesnej BWA
(al. Korfańtego 6)

Wystąpią: Hanna Węgrzynowska-harfa
Gabriela Dudziak – harfa, Mateusz Wójcik – gitara
Ligia Nowak – harfa i Emilia Schock – skrzypce

W programie m.in. Guillaume Connesson,
Marcel Tournier, Manuel Maria Ponce, Maximo Diego Pujol,
Camille Saint-Saëns, Bernard Andres

Bezpłatne wejściówki
Współpraca: Polskie Towarzystwo Harfowe

Koncert drugi „z obiektywem w tle”

22.08, godz. 18.30
Gdzie: ZPAF, Okręg Śląski
(ul. Dąbrowskiego 2)

Wystąpią: Jan Markowski – gitara
Wiktor Karpas-Lerche – śpiew
Yauheni Navarka – gitara

W programie m.in.: Wolfgang Amadeus Mozart,
Manuel de Falla, J. Marine, Federico García Lorca

Bezpłatne wejściówki

Koncert trzeci „z udziałem Gości festiwalu”

24.08, godz. 18.00
Galeria Miasta Ogródów
(pl. Sejmu Śląskiego 2)

Wystąpią: Elżbiet Mrozek-Łoska – altówka
Zbigniew Raubo – fortepian

W programie: Ludwig van Beethoven,
Robert Schumann, Astor Piazzolla

Bezpłatne wejściówki

Koncert czwarty „z rysowaniem przy muzyce i...”

27.08, godz. 18.00
Akademia Sztuk Pięknych
(ul. Raciborska 50)

Wystąpią: Bartłomiej Fraś – skrzypce barokowe
Szymon Strzelczyka – skrzypce barokowe
Julia Vinci – wiolonczela barokowa
Dr hab. Dariusz Gajewski, prof. ASP Katowice – opieka
artystyczna

W programie: Antonio Vivaldi, Johann Sebastian Bach,
Georg Friedrich Haendel, Jean-Marie Leclair

Bilety: 20 zł

Koncert piąty „per la famiglia”

29.08, godz. 18.00
Dom Oświatowy Biblioteki Śląskiej
(ul. Francuska 12)

Wystąpią: Justyna Krusz-Młynarczyk – viola da gamba
Wiktor Kołodziejczyk – fortepian
Artur Plinta – kontratenor, tancerze Zakładu Tańca
Akademii Muzycznej w Katowicach
Andrzej Warcaba – recytacje
Alicja Przytuła – melomanka

W programie widowisko artystyczne „Lem koncertowo”

Bilety: 20 zł

Koncert szósty „wajenberg competition”

31.08, godz. 18.00
Dział Teatralno-Filmowy Muzeum
Historii Katowic (ul. Kopernika 11)

W programie prezentacje uczestników Międzynarodowego
Konkursu Skrzypcowego im. M. Wajnerberga w Katowicach

Bezpłatne wejściówki
Współpraca: Akademia Muzyczna Katowice

Bezpłatne wejściówki do odbioru w kasie Miasta Ogródów: rezerwacje@miasto-ogrodow.eu, 32 609 03 21/32
Bilety dostępne na miasto-ogrodow.interticket.pl oraz w kasie Miasta Ogródów. 50% zniżki z Katowicką Kartą Mieszkańca
Prowadzenie koncertów: Violetta Rotter-Kozera (TVP Katowice), Agnieszka Nowok-Zych (AM Katowice), Alicja Kotyła, Alicja Przytuła (Katowice Miasto Ogródów).
Idea i koncepcja merytoryczna festiwalu: Alicja Przytuła



Patroni medialni:



polmic.pl



PRODUCJA TYTU FILMOWA

Partnerzy:



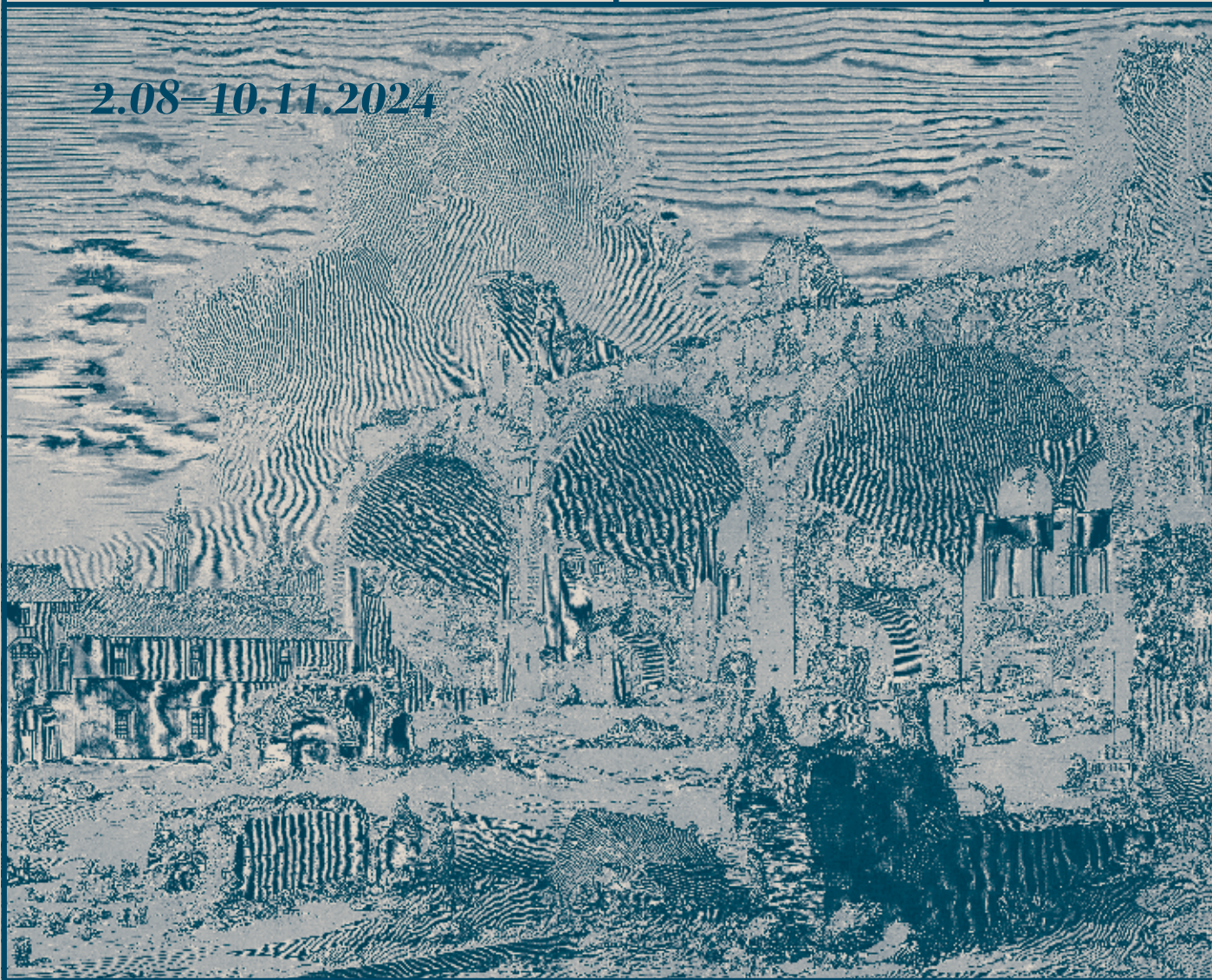
MAŁE

EUROPEJSKA
GRAFIKA DAWNA



95
LAT

2.08 – 10.11.2024



„Złoty Dom Nerona”, Giovanni Battista Piranesi

ARCYDZIEŁA

REMBRANDT / DÜRER / TIEPOLO / PIRANESI / TENIERS / NORBLIN /
VELDE / PICART / DAHLBERGH / HOUBRAKEN I INNI



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl

Współpraca:

